

Joanna
Sokolińska

NAUCZYCIELE

WIELKI
ZAWÓD



Joanna
Sokolińska

NAUCZYCIELE

WIELKI
ZAWÓD



Joanna
Sokolińska

NAUCZYCIELE

WIELKI
ZAWÓD



Spis treści

Część pierwsza. Oni

Strach
Jak zostać nauczycielką
Pierwsza lekcja
Metody i cele
Pokój nauczycielski
Źli nauczyciele
Kryminalna biurokracja
Bardzo małe pieniądze
Szkoły publiczne i prywatne
Mężczyźni w oświacie
O co chodzi z tą Finlandią?

Część druga. My

Strach po raz drugi
Roszczeniowi rodzice
Nasze rozwydrzone dzieci
Najtrudniejsze przypadki i jak je ogarnąć
Poziom i program
Trudności i porażki
Szkolna polityka, polityka w szkole
Na zakończenie: Ginący zawód
O moich rozmówcach
Bibliografia

Część pierwsza

Oni

Strach

Strach przed rodzicem ucznia.

Przed uczniem.

Przed innymi nauczycielami, przed dyrekcją, skargą do kuratorium, przed kolejną reformą kolejnego ministra.

Przed ośmieszeniem.

Przed nagraniem kamerką i byciem bohaterem mema.

Przed śmiercią na covid po przedwczesnym powrocie do szkoły po lockdownie.

Strach rządzi życiem polskiej nauczycielki.

Ale nie tylko on.

Bo polska nauczycielka jest też odważna.

Wprowadza zmiany mimo oporu rodziców, innych nauczycieli, dyrekcji, kuratorium, mimo kolejnych ministrów edukacji.

Zwykle ku radości uczniów.

Uczy się. Na błędach – swoich i cudzych, za własne pieniądze.

Robi coś z niczego i przynosi to do szkoły.

Walczy.

Strajkuje, mimo że się boi. Albo nie strajkuje, bo nie umie zostawić uczniów.

Wbija zęby w ścianę i prowadzi lekcję w kuchni, ze swojego laptopa, a wieczorem nagrywa podcasty na bloga.

W Polsce pracuje ponad pięćset osiemdziesiąt siedem tysięcy nauczycieli, zdecydowana większość z nich to kobiety. Dysproporcja między płciami osób uczących nasze dzieci jest tak ogromna, że pragnąc wiernie oddać obraz szkolnej

rzeczywistości, zdecydowałam, że pisząc o pedagożkach i pedagogach, będę używała przede wszystkim słowa „nauczycielka”, nie „nauczyciel”. Mam nadzieję, że nie ubodę tym nielicznych, ale tak bardzo potrzebnych, mężczyzn uczących nasze dzieci.

Nieliczni z moich rozmówców i rozmówczyń zgodzili się wystąpić pod swoim imieniem i nazwiskiem. Większość, za zgodą Wydawnictwa, chciała pozostać anonimowa, by pozwolić sobie na szczerość. Imiona, którymi się posługują, są fikcyjne.

Jak zostać nauczycielką

Pozycję społeczną nauczycieli obniża negatywna narracja na temat specyfiki ich pracy. Mówiąc o niej, nauczyciele rzadko wspominają o jej pozytywnych stronach. Ich wypowiedzi koncentrują się raczej na przeciążeniu pracą, problematycznej młodzieży i braku wsparcia ze strony rodziców[1].

W Finlandii, która jest obecnie wzorcem dla większości oświatowców, żeby zostać nauczycielem (żeby w ogóle dostać się na studia pedagogiczne), trzeba być półgeniuszem. O każde miejsce walczy bowiem dziesięcioro kandydatów.

Nabór jest trzyetapowy. Pierwszy etap to egzamin wstępny z podstaw pedagogiki, psychologii i filozofii. Drugi to dyskusja panelowa, której celem jest sprawdzenie, jak kandydat pracuje w grupie. Trzeci polega natomiast na rozmowie kwalifikacyjnej.

Kandydaci przechodzą też testy osobowościowe.

Na studiach, tak jak i u nas, odbywają się praktyki. Każdy uniwersytet kształcący przyszłych nauczycieli współpracuje z modelową szkołą, w której studenci mają staż. Jeżeli opiekun praktykanta oceni, że stażysta nie nadaje się do zawodu, zgłasza to uczelni. Taki student opuszcza uniwersytet. Dlatego mówi się, że w Finlandii do pracy w szkole trafiają najlepsi z najlepszych.

A w Polsce? Złośliwi twierdzą, że jest dokładnie odwrotnie niż w Finlandii – do polskiej szkoły idą najslabsi; ci, którzy nie nadają się do innej pracy.

Jak w Polsce zostaje się nauczycielką? Jak w grze planszowej, czyli różnie, w zależności od wylosowanych kart czy liczby wyrzuconych oczek na kostce. Poniżej przykładowe scenariusze.

Od dziecka marzysz, żeby uczyć. Kończysz, nie z własnego wyboru, technikum rolnicze i po maturze zaczynasz uczyć

dzieci w wiejskim przedszkolu. Odnosisz sukcesy, więc po roku trafiasz do szkoły podstawowej. Całym wsparciem jest dla ciebie jeden podręcznik, który kupujesz w księgarni w pobliskim miasteczku i który otwiera ci oczy na metodykę pracy.

Albo inaczej: marzysz o studiach na Akademii Wychowania Fizycznego, ale za późno składasz papiery na uczelnię. Żeby nie tracić roku, zdajesz na historię. Dostajesz się. Po roku znów próbujesz dostać się na wychowanie fizyczne, ale uraz stawu skokowego powoduje, że musisz porzucić marzenia o sporcie. Zdajesz na socjologię. Rzucasz ją po semestrze, bo nie możesz pogodzić planów zajęć socjologii i historii.

Efekt? Przez kilkanaście lat dzień po dniu próbujesz nauczyć bandę kompletnie niczym niezainteresowanych dzieciaków czegokolwiek o ich dziedzictwie historycznym. Jesteś tak sfrustrowana i zgorzkniała, że powinnaś wrócić na pole „start” i zacząć od nowa. Ale nie zrobisz tego, bo masz małe dziecko i doceniasz urok długich wakacji, ferii zimowych i popołudni bez nadgodzin.

Wszystko jednak trafia szlag, gdy w 2020 roku szkoła przechodzi na naukę zdalną. Wtedy, ze swoim zawodem i dzieckiem w wieku wczesnoszkolnym, jesteś na podwójnej przegranej.

Brzmi jak instrukcja gry planszowej – rodzisz się tu i tu, trafiasz na pole takie i takie. Zdajesz albo oblewasz egzamin wstępny, przeskakujesz o odpowiednią liczbę pól. Twoje marzenia, ambicje i ideały nie mają żadnego znaczenia.

Możesz marzyć o pracy w szkole, wbrew opinii lekceważącej cię wychowawczynie, zdawać i dostać się(!) na wymarzoną polonistykę, uczyć i latami doskonalić się, w dużej mierze za własne pieniądze, poświęcając wieczory na przygotowywanie pomocy naukowych.

Albo możesz marzyć o biologii, ale za namową matki idziesz do kolegium nauczycielskiego i na pierwszych praktykach odkrywasz, że tak, matka zna cię lepiej niż ty samą siebie: kochasz uczyć!

Możesz skończyć studia, po których zarabia się kokosy, i zacząć nowe, po których zarabia się jeszcze większe kokosy, po to, by – jak dziecko wywabione z miasta przez grającego na zaczarowanym flecie szczurołapa – pójść za głosem serca do niskopłatnej i niewdzięcznej roboty w ogólniaku.

Nie, moi drodzy, Polska to nie Finlandia. U nas nie ma jednej drogi do zawodu nauczyciela. U nas co człowiek, to historia.

Olga Skolimowska, nauczycielka wychowania przedszkolnego, która przez semestr studiowała w Finlandii: Nie sposób porównywać studiów nauczycielskich w Polsce i Finlandii. Nie tylko ze względu na to, że tam ciężko dostać się na uczelnię. U nas, gdy ktoś nie zda egzaminu na studiach, ma poprawkę, potem kolejną. Tysiąc poprawek. A tam? W każdej chwili można wylecieć. Na studiach trzeba nauczyć się grać na fortepianie, żeby móc akompaniować dzieciom. Przywiozłam sobie na pamiątkę z Finlandii kantele (prosty ludowy instrument). Dzieci w przedszkolu na nim grają – tak jak u nas na trójkacie. Ale w Finlandii po ukończeniu tego etapu edukacji faktycznie potrafią na tym instrumencie grać.

Sylwia Chwedorczyk, doktor nauk humanistycznych, polonistka, nauczycielka, która odeszła ze szkoły, pisarka: Po liceum bardzo chciałam iść na psychologię, ale uznałam, że na pewno się na nią nie dostanę, bo byłam kiepską uczennicą, a psychologia zawsze należała do obleganych kierunków.

Miałam cudowną polonistkę, Annę Świątek, uwielbiałam jej lekcje. Pomyślałam więc, że polonistyka może być ciekawa.

Wybierając kierunek studiów, nie sugerowałam się bowiem tym, co chcę robić w życiu, tylko tym, czego chciałabym się uczyć. A po studiach poszłam do szkoły, o której nie myślałam jak o miejscu pracy, tylko jak o znajomym środowisku. Pomogło mi to, że wcześniej byłam drużynową w ZHP, więc wiedziałam, że mam dobry kontakt z dziećmi. Złożyłam bardzo dużo podań o pracę, przyjęła mnie (na zastępstwo) szkoła katolicka. Zostałam w niej na niemal dziesięć lat.

Irmina, była nauczycielka WF-u ze Śląska: Moja mama była nauczycielką. W technikum i zawodówce uczyła rysunku technicznego. Moja stryjenka, czyli żona brata mojej mamy, uczyła fizyki w technikum mechanicznym. Siostra mojego ojca też była nauczycielką, a jej mąż uczył rosyjskiego i był dyrektorem wiejskiej podstawówki.

Kiedy rodzina przyjeżdżała na imieniny, wszyscy rozmawiali albo o brydżu, albo o szkole.

A ja? Mówiłam, że nigdy w życiu nie zostanę nauczycielką. To było nudne. Rodzina tylko narzekała, że z dziećmi jest trudno, że za dużo mają, że ministerstwo znowu zrobiło coś, co nauczycielom się nie podoba.

W szkole średniej trenowałam piłkę ręczną, więc wybór uczelni był oczywisty: Akademia Wychowania Fizycznego. Studiowałam zaocznie, bo nie mogliśmy sobie pozwolić na to, bym pięć lat nie pracowała. Mieszkałam we Wrocławiu, a studiowałam w Gdańsku. Daleko? Pierwsze podróże bardzo mi się dłużyły, ale po latach ledwo wsiadłam do pociągu, przeczytałam dwie strony książki, a już byłam w Gdańsku Głównym. Nie chciałam się przeprowadzać. We Wrocławiu miałam chłopaka i pracę. Byłam kelnerką i barmanką w knajpie Lascała, dzięki czemu poznałam kuchnię włoską. Widzisz ludzi w takim miejscu, w drogich ciuchach, zamawiających drogie

jedzenie i myślisz, że oni są inni, z innej gliny. Dopiero później uświadomiłam sobie, że są tacy jak my.

Dzięki koledze z knajpy dostałam lepszą pracę – w klubie gejowskim Color. To była olbrzymia knajpa w podziemiach: bary, kolory, występy drag queen. Laski na mnie leciały, ale wiedziałam, że z moją posturą zawsze sobie poradzę, więc czułam się tam bardzo bezpiecznie.

Na studiach byłam najmłodsza w grupie, bo akurat zmieniały się przepisy i absolwenci studium nauczycielskiego natychmiast musieli dorabiać studia magisterskie, jeśli chcieli dalej pracować w szkole. A ja, kiedy już się zorientowałam, że nie będę zawodowo grać w piłkę, nie wiedziałam, czego chcę. Uważałam, że jestem dobra tylko w dwóch rzeczach: sporcie i rozmawianiu z ludźmi. Sport odpadł, więc postanowiłam, że zostanę przedszkolanką. Albo żłobczanką. Jest takie słowo? Kochałam małe dzieci, ale starsze okazały się jednak ciekawsze.

Miałam dwadzieścia sześć lat, tytuł magistra, skończyła mi się renta po ojcu, zastanawiałam się, jak długo jeszcze można być kelnerką. Obeszłam wszystkie szkoły, pracę dostałam w zespole szkół budowlanych pięćdziesiąt metrów od domu.

A., polonistka w liceum ogólnokształcącym w mieście wojewódzkim: Nigdy nie chciałam być nauczycielką. Poszłam na polonistykę, bo miałam komfort, jakiego nie ma współczesna młodzież: wybierając studia, nie musiałam myśleć o pieniądzach. Wybrałam kierunek, który mnie interesował. A potem zrobiłam magisterkę i poszłam tam, gdzie była praca, czyli do liceum, w którym uczę do dziś.

Piotr Śmiałkowski, wychowawca klas I–III, nauczyciel historii i angielskiego w starszych klasach szkoły podstawowej: Jestem nauczycielem, bo chciałem nim być. Moja bratowa i żona są nauczycielkami. Od liceum wiedziałem, że chcę uczyć.

Radek, logopeda, były wychowawca przedszkolny: Studiowałem dziennie logopedię i andragogikę, czyli pedagogikę dorosłych, i pracowałem jako barman w Planie B[2]. W klubie byłem od osiemnastej do czwartej nad ranem: impreza, alkohol, odsypianie w dzień. Bardzo mnie to zmęczyło, człowiek nie jest stworzony do takiego trybu życia. Mój kolega pracował w prywatnym przedszkolu. Poprosiłem, żeby spytał, czy mogę odbyć u nich praktyki. Zgodzili się na miesiąc. Odniosłem wrażenie, że nie bardzo im się spodobałem. Dwa miesiące później ktoś odszedł z pracy, a ja dostałem propozycję całego etatu. Gdy pracowałem w przedszkolu, zrobiłem magisterkę z edukacji wczesnoszkolnej i przedszkolnej.

Basia, nauczycielka muzyki i WF-u w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapeutycznym: Nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić po studiach, trafiłam więc na staż do urzędu pracy. Przekładanie papierów, praca „od-do”. To nie było dla mnie. Poszłam do szkoły, bo co innego można robić po historii?

Ewa Narożniak, nauczycielka biologii w społecznym Wielokulturowym Liceum Humanistycznym im. Jacka Kuronia w Warszawie: Po maturze, jeszcze przed rozpoczęciem studiów, organizowałam wycieczki edukacyjne dla uczniów drugich klas o profilu biologiczno-chemicznym. Po drugim roku studiów zaczęłam uczyć w szkole, do której wcześniej chodził mój brat.

Jarosław, nauczyciel wychowania fizycznego w kieleckiej szkole podstawowej: Mój starszy brat poszedł do liceum. Pomyślałem: „Zda maturę i co? Nie będzie miał fachu”. Zatem poszedłem od technikum mechanicznego. Ale po maturze zdałem sobie sprawę z tego, że nie będę mechanikiem. Poszedłem do dwuletniego studium nauczycielskiego, po którym od razu mogłem uczyć, ale tylko w podstawówce.

Praktyki miałem w szkole, do której chodziłem i w której jeszcze pracował mój wychowawca z ósmej klasy, wuefista. Kiedy mnie zobaczył, przekazał mi wszystkie książki, które zbierał latami. Do tej pory ich czasem używam.

Potem przyszedłem do innej szkoły na zastępstwo, bo mojego poprzednika powołali do wojska.

Koledzy mówili: „Jarek, tylko tu nie zostawaj”, a polonistka oceniła: „Najgorszy chłam idzie pracować do szkoły”. Ale mnie się ta praca spodobała. Chodziłem po mieście, a dzieciaki mówiły mi: „Dzień dobry”. Fajnie. Nawet teraz, gdy gdzieś wyjadę (w góry, nad morze, nad jezioro), spotykam kogoś, kto mnie zna. Albo to ktoś z moich uczniów, albo ich rodziców. Mnie się to podoba.

Danusia, nauczycielka wychowania zintegrowanego w wiejskiej szkole podstawowej na Podlasiu: Jako dziecko bawiłam się w szkołę. Sadzałam lalki i je uczyłam. Od początku chciałam być nauczycielką.

Kiedy w ósmej klasie dostaliśmy od wychowawczynie kwestionariusz, w którym trzeba było wpisać, gdzie chcemy się dalej uczyć, wpisałam: „studium wychowania przedszkolnego”.

Prosiłam rodziców, żeby się na to zgodzili. Ale oni z przykrością zaprotestowali, bo byłam najstarsza z rodzeństwa i musiałam pracować na gospodarstwie. Mama pracowała w sklepie, tata w zakładzie, a ja musiałam rano wyprowadzić krowy. Zapytałam ich: „To gdzie mam się dalej uczyć?!”. Odpowiedzieli: „W najbliższej szkole”.

A najbliżej było technikum rolnicze. Z płaczem złożyłam do niego papiery.

W technikum uczyłam się o uprawie roślin i mechanizacji, czym nie byłam zainteresowana. Kiedy zdałam maturę, powiedziałam rodzicom, że nadal chcę być nauczycielką!

Rodzice znowu zaprotestowali, mówiąc: „Masz dwadzieścia lat, nie możesz się dalej uczyć, bo w domu się nie przelewa. Musisz iść do pracy”.

Do jakiej pracy? Usłyszałam, że we wsi szukają przedszkolanki, ale wstydziłam się złożyć tam papiery, bo w rubryce „wykształcenie” wpisano tytuł „technik rolnik”.

Mama zaniósła podanie za mnie. Na szczęście inspektor pamiętał mnie ze szkoły i przyjął do pracy. Po dwóch latach zaproponował: „Masz wspaniałe podejście do dzieci, może byś przeszła do szkoły podstawowej?”.

Mimo że nie należę do odważnych, bardzo chciałam być nauczycielką i nie wyobrażałam sobie tego, by nie skorzystać z tej szansy.

Aneta Korycińska, była polonistka w I Społecznym Liceum Ogólnokształcącym w Warszawie, autorka bloga „Baba od polskiego”: Z całej mojej edukacji pamiętam jeden kadr: wymiotuję do kosza na śmieci przed budynkiem szkoły. Miałam same piątki i szóstki, zawsze czerwony pasek. Rodzice poszli ze mną do lekarza. „Taki «wyrost»” – powiedział. Zrozumiałam, że to jest normalne, po prostu tak się dzieje, kiedy człowiek rośnie.

Co było dla mnie takie trudne?

Wszystko. Szkoła była opresyjna, a relacje trudne. Pamiętam, jak w czwartej klasie koleżanki wyzywały mnie od dziwek. Do tej pory 1 września i rozpoczęcie roku szkolnego są dla mnie niełatwym dniem.

Skąd więc wzięłam się w szkole? W liceum interesowałam się głównie biologią i fizyką, ale kiedy zdałam maturę z polskiego na dziewięćdziesiąt dwa procent, siostra mojego chłopaka zaproponowała: „Słuchaj, to może ty pójdziesz na filologię polską”. Poszłam na polonistykę na rok, żeby sprawdzić, czy to polubię. I... zakochałam się. Wreszcie miałam z kim rozmawiać!

Z kolegami ze studiów słuchaliśmy metalu i death metalu, piliśmy piwo na cmentarzu.

Codziennie wstawałam o czwartej czterdzieści, żeby zdążyć na pociąg o szóstej czternaście i dojechać na uczelnię. Po zajęciach szłam do pracy, wracałam ostatnim pociągiem, w domu byłam po godzinie dwudziestej trzeciej. Na studiach organizowałam konferencje naukowe, tworzyłam teksty do spektakli teatralnych, założyłam koło naukowe im. Juliusza Słowackiego, wreszcie spotykałam inspirujących ludzi! Napisałam pracę magisterską o powieściach grozy Reymonta i zdałam na studia doktoranckie.

Tam jednak nie było już inspiracji, tylko przerzucanie się cytatami. Powtórki, seminaria – zabrakło mi sprawczości, a chciałam coś zmieniać. Muszę mieć poczucie misji; czuć, że to, co robię, wpływa na świat, zmienia go, pomaga komuś. Tymczasem chodziłam na seminaria i pracowałam w portalu Gazeta.pl, robiąc fotostory o tym, która aktorka była na imprezie w ładniejszej sukience.

Kiedy któregoś dnia rano, po dyżurze w redakcji, szefowa poleciła mi jechać do Łodzi na koncert Justina Biebera, wstałam i powiedziałam, że rzucam pracę.

Wyszłam na ulicę i uświadomiłam sobie, że nie wiem, co dalej. Wtedy przypomniałam sobie, że na studiach zrobiłam specjalizację nauczycielską...

Basia: Poszłam na rozmowę kwalifikacyjną do dwóch szkół. Podczas pierwszej czułam się tak sobie. W MOS-ie zostałam od razu ciepło przywitana przez dyrekcję. Więc wybrałam MOS, choć warunkiem zatrudnienia było to, że skończę podyplomowo socjoterapię. To konieczne, bo u nas są inne priorytety niż w zwykłej szkole i dużo więcej pracy wychowawczej. Ale tutaj od razu, podczas tej pierwszej rozmowy, poczułam, że ta praca ma sens.

Jarosław: Po piętnastu latach pracy chciałem zostać dyrektorem. Poszedłem nawet na kurs. Ale zrezygnowałem, bo taki mam charakter – zamiast obowiązki scedować na kogoś, wolę wszystko zrobić sam. Poza tym dyrektor jest odpowiedzialny za szkołę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wiem, bo moja żona jest dyrektorką. Zrobiła uprawnienia dwa-trzy lata po mnie. Kiedy w święta zamarzyły i pękły rury, zalało szkołę, to kto miał jechać na miejsce? Wiadomo, ona.

Kurs dla dyrektorów jest dość teoretyczny, wszystkiego praktycznie trzeba się uczyć samemu. Najbardziej w pracy pomaga wszytkowiedzący internet – świat tak szybko zmienia, a tu ciągle trzeba być na bieżąco.

Katarzyna Kabzińska, nauczycielka fizyki i matematyki, prywatny zespół szkół w Warszawie: Chciałam uczyć, ale rodzina mówiła: „Po co masz się marnować w szkole”. Uległam jej i poszłam pracować do firmy ubezpieczeniowej, gdzie trafiła mnie szlag.

Wytrzymałam półtora roku. Wolałam zarabiać mniej, ale robić coś, co ma sens. Kiedy zostałam nauczycielką, wszystko się zmieniło.

Dostałam pracę w dużym zespole szkół (technikum i szkoła zawodowa) pod Warszawą. Ta szkoła ukształtowała mnie jako nauczycielkę.

Irmina: Miałam trzyletnią przerwę w pracy. Kiedy utworzono gimnazja, wyjechałam za granicę. Pojechałam „po dzieci”, bo przez dziesięć lat nie udało mi się zająć w ciąży. Od polskich specjalistów słyszałam tylko: „Wszystko jest w porządku, proszę oddychać, będzie dobrze”. Ale tak nie było. Wyjechałam więc do kraju, w którym wspomaganie rozrodu stoi na wysokim poziomie. Do Polski wróciłam, gdy moje bliźnięta skończyły rok. Zamieszkałam z mamą: ja, dzieciaki i mama na emeryturze. Wszędzie słyszałam: „Nie ma pracy, nie ma pracy”. Brałam więc

wszystko, co się nawinęło – opiekę nad dziećmi, lepienie pierogów. Pierwszego września okazało się, że mój kolega nauczyciel idzie na roczny urlop, więc zwalnia się etat. Ale się cieszyłam! Znowu mogłam robić to, co kocham.

Ewelina, nauczycielka chemii w dwóch warszawskich liceach: W ogólniaku wzięłam udział w olimpiadzie chemicznej, więc wybór studiów wydawał się oczywisty. Byłam pewna, że zostanę naukowcem lub ewentualnie zatrudnię się w laboratorium.

Po trzech latach na studiach magisterskich można było dodatkowo wybrać ścieżkę dydaktyczną umożliwiającą pracę w szkole. To świetna opcja i dużo osób ją wybierało. Ale w sesji zimowej trzeba było zdać piętnaście egzaminów! I część ludzi odpadała. Ja wytrwałam. Udzielałam już wtedy korepetycji – dostrzegałam czasem błysk w oczach moich uczniów, dzięki któremu wiedziałam, że dobrze to robię. I to mi się bardzo podobało! Postanowiłam więc, że zostanę nauczycielką.

Działaczka oświatowa (zaangażowana w protesty nauczycieli wobec reformy edukacji, wspierająca pedagogów podczas strajku i podczas ich wystąpień krytykujących kolejne posunięcia ministra oświaty, Przemysława Czarnka): Do tego zawodu łatwo wejść, ale trudno z niego wyjść, dlatego jest tylu przypadkowych nauczycieli. Przyciągają ich warunki pracy. Dyrektor przedszkola pracuje od siódmej do trzynastej. O trzeciej po południu jest już po pracy. A wakacje? Przerwy świąteczne? To przyciąga do pracy w szkole kobiety, które zajmują się dziećmi i domem. Niekoniecznie najlepsze absolwentki. A potem słabych nauczycieli trudno wyrzucić. Osoba zdeterminowana, nawet jeśli słabo uczy, może sobie w szkole uwić ciepłe i wygodne gniazdko na lata.

- [1] M. Smak, D. Walczak, *Pozycja społeczno-zawodowa nauczycieli. Raport z badania jakościowego*, Instytut Badań Edukacyjnych 2015, s. 3.
- [2] Plan B to bardzo popularny klub przy pl. Zbawiciela w Warszawie, miejscu uchodzącym za hipsterskie serce miasta.

Pierwsza lekcja

Początkujący nauczyciele, według badanych, są dziś niewystarczająco dobrze przygotowani do wykonywania zawodu. Wiąże się to w dużej mierze z obecnym systemem kształcenia, którego jakość badani oceniają gorzej w porównaniu do lat 80. i 90. XX wieku. Starsi stażem nauczyciele podkreślają, że w czasach, w których oni zdobywali wykształcenie nauczycielskie koncentrowano się na praktyce, czyli możliwości sprawdzenia się w kontakcie z uczniem bezpośrednio w sali lekcyjnej. Praktyki odbywały się kilka razy w miesiącu po kilkanaście godzin[1].

Czy dwieście siedemdziesiąt godzin podstaw pedagogiki, psychologii i metodyki nauczania to dużo czy mało? Czy to wystarczy, by nauczyć się tego, jak uczyć innych? Jak ich inspirować, zapalać do poszukiwania odpowiedzi, rozwiązywania problemów, korzystania z rozmaitych, nie tylko cyfrowych źródeł? Czy wystarczy, by nauczyć się, jak rozwiązywać problemy, negocjować, mediować między dziećmi, między nauczycielem a uczniem, między nauczycielem a rodzicami, między rodzicami a rodzicami?

Czy dwieście siedemdziesiąt godzin teorii wystarczy, żeby nie bać się, gdy stoi się na wprost dwudziestu ośmiu znudzonych nastolatków, tylko czyhających na to, by człowieka przyłapać na głupocie i czym prędzej ośmieszyć przed całym, najlepiej wirtualnym, światem?

Nie wystarczy – mogę powiedzieć od razu. Głównie dlatego, że większości tych rzeczy nikt polskich pedagogów nie uczy.

Kiedy rozmawiam z osobami pracującymi w polskiej oświacie, uderzający jest pewien rozdźwięk w ich przygotowaniu do pracy. Z jednej strony, jak pisałam w poprzednim rozdziale, nauczycielki i nauczyciele są fenomenalnie wykształceni –

wychowawczynie jednego z moich dzieci latem 2021 roku skończyła swoje czwarte studia, uczy angielskiego, jest psycholożką i absolwentką historii sztuki. Nie mówię, że wszyscy mają taki pęd do wiedzy, ale nie jest niczym zaskakującym to, że nauczycielka ma dwa lub trzy zawody. Jednocześnie jednak ogromna rzesza tych dobrze wykształconych specjalistów ma problem z brakiem umiejętności radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Co zrobić, kiedy ósmoklasista w trakcie lekcji matematyki pyta panią, czym jest spirala? Albo interesuje się, czy wychowawczynie, która zachęca klasę do bardziej sportowego stylu życia, ma solidnie umięśnione pośladki?

No dobrze, to były te łatwiejsze przykłady. Ale co ma zrobić specjalista z dwoma magisterkami, kiedy cztery dziewczynki z siódmej klasy szkoły podstawowej dokonują cyberbullyingu na koleżance, zaszczuwają dziecko w mediach społecznościowych i nawet nie deklarują chęci poprawy?

Jak pracować z dzieckiem, które wraca po nieudanej, na szczęście, próbie samobójczej? Co robić, gdy nieoczekiwanie dziecko wyznaje, że się samookalecza? Że jest gejem? Osobą niebinarną, która wstydzi się przebierać na WF-ie we wspólnej szatni?

Historia sztuki, kurs dla dyrektorów ani nawet psychologia do tego nie przygotowują. Do radzenia sobie z poważnymi problemami w polskiej szkole człowiek musi przygotować się sam. Niestety. Może to zrobić, czytając, biorąc udział w webinarach i otwartych szkoleniach dla profesjonalistów, dostarczających konkretnej wiedzy i – w większości niestety – odpłatnych. Fińskie uczelnie kształcące pedagogów podchodzą do sprawy inaczej niż polskie uniwersytety i akademie. Nie kształcą przyszłego noblisty ani nawet doktoranta z fizyki czy biologii, tylko pedagoga – osobę, która będzie wiedziała, jak w atrakcyjny i skuteczny sposób przekazać podstawy swojej

wiedzy nastolatkowi. A w Polsce? Często do szkoły trafia świetny specjalista, pełen wiedzy, wzorów i rozwiązań, ale nieumiejący wyjaśnić dziecku, jak to jest, że po odkręceniu kranu płynie z niego woda.

A Fin umie. Bo na studiach uczą go, jak objaśniać dziecku świat. Także tego – co może być nawet ważniejsze – że to dziecko nie musi od razu zrozumieć.

Sylwia Chwedorczyk: Niewiele pamiętam z tego, co uczyli nas na studiach. Jakiś głupot uczyli – historii pedagogiki. Na szczęście było sporo praktyk i gdy ktoś dobrze trafił, mógł się czegoś nauczyć w szkole. Ja trafiłam bardzo dobrze, do świetnej nauczycielki. Najpierw kazała mi obejrzeć swoją lekcję, potem pozwoliła poprowadzić mi w swojej obecności.

Moja pierwsza lekcja na tych praktykach dotyczyła jednego z wierszy Kazimierza Przerwy-Tetmajera. Pięknie ją poprowadziłam. Kiedy wszyscy wyszli z klasy, moja opiekunka powiedziała: „Pani w ogóle źle ten wiersz zrozumiała, tu o coś innego chodziło”. Miała rację! Powiedziałam, że na następnej lekcji to odkręcę, wytłumaczę klasie, jak powinno być. I tak zrobiłam. Ujęło mnie, że z poprawieniem mnie moja opiekunka poczekała, aż zostaniemy same. Nie chciała mnie upokorzyć, a mogła, w jej uwadze była życzliwość.

Dopiero po praktykach zorientowałam się, że nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Niektórym w ogóle nie dano poprowadzić lekcji, dostali tylko podpis, że tyle a tyle godzin spędzili w szkole. Za nic.

Olga Skolimowska: Na praktykach podczas studiów zwykle realizuje się gotowy scenariusz lekcji. Albo w ogóle tylko się tę lekcję obserwuje. Nie trzeba dotrzeć do każdego dziecka, nie

trzeba walczyć o utrzymanie uwagi całej grupy, a dzieci rozprasza wszystko!

Aneta, anglistka po nieistniejącym już Kolegium Nauczania Języka Angielskiego: Studia dobrze mnie przygotowały do zawodu, do tej pory korzystam z pomysłów pani prowadzącej metodykę nauczania na UW.

Aneta Korycińska: Pierwszy tydzień pracy. Zawodówka, w klasie sami chłopcy. W programie wiersz Mickiewicza *Do matki Polki*. Biorę książkę, czytam:

*Klęknij przed Matki Boleśnej obrazem
I na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przesyje razem!*

Po mieczu to już był koniec lekcji.

Danusia: Pierwszego dnia pracy jadę PKS-em, do którego wsiadła znajoma z córeczką. Znajoma mówi do dziewczynki: „Widzisz, Małgosiu? To pani Danusia, ona będzie twoją panią”. Tego dnia byłam chyba bardziej przerażona od tych dzieci.

Irmiona: Trafiłam do budowlanki, gdzie sześćdziesiąt procent uczniów nie miało przednich zębów, bo tracili je w bójkach. To byli chłopcy non stop naładowani adrenaliną. Podczas pierwszych zajęć zapytałam, czego potrzebują. Bo program to jedno, a to, jak będę go realizować, to zupełnie inna sprawa. Powiedzieli, że potrzebują wysiłku, więc zarządziłam mecz futbolowy piłką lekarską, dwóch na dwóch, do pierwszego gola albo dwie minuty. Piłki były potężne, skórzane, więc po czterdziestu pięciu minutach chłopcy padali na podłogę. Ale byli szczęśliwi.

Aneta: Na pierwszą lekcję wprowadziła mnie moja dawna nauczycielka rosyjskiego: „Dzieciaczki, to jest pani Aneta. Nie

zróbcie jej krzywdy”.

Basia: Pierwszy miesiąc mojej pracy. Na lekcji chłopiec cały czas dźga koleżankę ostrym ołówkiem w plecy. Jedno upomnienie, drugie, trzecie. Nic. Podeszłam, wzięłam ołówek, złamałam go i odeszłam.

Chłopiec obrzucił mnie takimi inwektywami, jakich w życiu nie słyszałam. A klasa? Klasa, o dziwo, była cicho.

Mariusz, wychowawca w świetlicy, w prywatnej katolickiej szkole podstawowej w Warszawie: Pierwszy rok to ciągle testowanie granic. Dzieciaki skracają dystans, poklepywały mnie, mówiły mi po imieniu, spoufalały się. Do tego ciągle oszukiwanie (wiadomo, że gdy na zastępstwo przychodzi „świątlicowiec”, to nie trzeba uważać na lekcji).

Co robiłem? Staralem się przeżyć. A po roku zrobiłem się srogi. To naturalny etap w rozwoju nauczyciela. Na początku chcesz być ciepły, miły, dobry i wszystkie dzieci to wykorzystują, wodząc cię za nos. Potem orientujesz się, co się dzieje, i odbijasz w drugą stronę: z delikatnością słonia zaczynasz wprowadzać własne, surowe zasady. Straszysz uwagami. Robisz miny. Jesteś surowy, więc zaczynają się tarcia.

I wtedy, jeśli masz szczęście, pojawia się inny, bardziej doświadczony pedagog, który mówi, żeby odpuścić. I od tego odpuszczania zaczyna się etap trzeci – etap pewności siebie i zaufania swoim umiejętnościom. Ta pewność bierze się stąd, że wiesz, czego chcesz, w jakim kierunku zmierzasz. I to ona pozwala ci na przykład przyznać się do błędu. Nie tylko przed swoją dyрекcją, lecz także przed rodzicami albo dzieckiem.

Ewelina: Dzięki studiom czułam się świetnie przygotowana do pracy. Na piątym roku, na specjalizacji pedagogicznej zdawaliśmy egzamin: musieliśmy poprowadzić lekcję na zadany temat dla klasy, która przychodziła do nas na uczelnię.

Dobrze mi poszło, więc gdy szłam na pierwszą lekcję w szkole, w ogóle się nie bałam. Poza tym od samego początku studiów udzielałam korepetycji.

Ksiądz Marek, katecheta w integracyjnej szkole podstawowej w „złej” dzielnicy dużego miasta: Przeniesiono mnie do nowej parafii. Trafiłem jako katecheta do prywatnego zespołu szkół z wyśrubowanym poziomem nauczania, gdzie uczyłem jedną trudną, bardzo rozbrykaną klasę. Ciągłe mnie testowali: „A czy ksiądz nie żałuje, że nie ma rodziny?”, „A ksiądz czytał ostatnie badania na ten temat? Jak to nie? Było o tym w ostatnim «Newsweeku!»”. Dzięki nim wyszedłem ze swojej bańki – zacząłem czytać nie tylko „Niedzielę” i „Tygodnik Powszechny”, lecz także „Newsweeka”, na który ciągle się powoływali.

Pomogło też to, że gram w piłkę. Wychodziłem na przerwie na boisko i z nimi kopałem. W sutannie, więc narzekali, że to nie fair, bo nie można mi założyć kanałku... Już nie byłem „ten nowy ksiądz”, tylko byłem „księdzem, który lubi piłkę”. Zawsze coś.

Sylwia Chwedorczyk: Pierwsza lekcja, już nie na praktykach, tylko po studiach, dotyczyła gramatyki, druga bazowała na tekście z podręcznika. Byłam zbyt przerażona, żeby to zapamiętać.

Po moich dwóch pierwszych dniach w szkole (to była mała katolicka szkoła podstawowa) zorganizowano dzień otwarty. Przyszła do mnie mama jednego z uczniów, znana polonistka z innej szkoły. Powiedziała mi, że jestem świetna, ale żebym wyrzuciła podręcznik do kosza. Jest niepotrzebny i poradzę sobie bez niego. Tak zrobiłam. Zaczęłam uczyć dzieci sposobem licealnym: lektura, a potem rozmowa. I tak już zostało.

Danusia: Miałam dwadzieścia lat, byłam po maturze w technikum i nie miałam żadnego przygotowania do pracy w szkole. Na początku kierowałam się intuicją. Potem za oszczędzone pieniądze kupiłam książkę *Wychowawca i jego klasa*. Czytałam, starałam się jak najwięcej z tej książki zrozumieć, no i pracowałam.

Aneta Korycińska: W szkole w Mińsku Mazowieckim było tysiąc pięciuset uczniów: geodezja, fryzjerstwo, hydraulika, glazurnictwo. Dwie lekcje religii tygodniowo, polskiego – jedna. Większość uczniów miała mnie kompletnie w dupie. Kiedy odwracałam się, żeby coś napisać na tablicy, robili mi telefonem zdjęcia. Z kolei dziewczyny z fryzjerstwa bardzo się starały, niektóre zostawały po lekcjach, bo chciały się uczyć, choć często im to nie wychodziło. Pytam: „Jaki to gatunek literacki?”. Cisza. Podpowiadam: „Ly...”. „Lambada!”. Albo: „Kogo zdradził Judasz?”. „No, Zeusa!”.

Kiedy ktoś nie chciał się uczyć, starałam się, żeby umiał minimum i by poczuł, że jednak może się nauczyć, że wiedza jest w zasięgu jego możliwości. Dobierałam też metody pracy do konkretnych uczniów.

Od 1 września 2019 roku w szkole może uczyć tylko osoba, która ma co najmniej tytuł magistra (zdobyty na studiach jednolitych, czyli pięcioletnich, lub drugiego stopnia – po studiach licencjackich), odbyła kurs podstaw pedagogiki, psychologii i metodyki nauczania liczący dwieście siedemdziesiąt godzin i sto pięćdziesiąt godzin praktyk zawodowych. To są nowe wymagania, nie dotyczą osób, które zaczęły pracować w szkole przed wyżej wymienionym terminem. Wcześniej, by uczyć, wystarczyło ukończyć trzyletnie studia licencjackie, kurs pedagogiczny i odbyć praktyki. Jeszcze

wcześniej, by zostać nauczycielem, można było ukończyć studium nauczycielskie albo trzyletnie kolegium nauczania języka obcego. Jednocześnie ogromna część polskich nauczycieli ma ukończone, często za własne pieniądze, dodatkowe studia, szkolenia i kursy, które dają im możliwość uczenia więcej niż jednego przedmiotu lub prowadzenia dodatkowych zajęć.

Zmieniające się cyklicznie wymagania, stan permanentnej reformy systemu edukacji w Polsce oraz falowanie wyżu i niżu demograficznego zmuszają do ciągłej czujności i nieustannego podnoszenia kwalifikacji. Tym sposobem nauczycielka klas I–III ma dodatkowe uprawnienia do uczenia maluchów gry w szachy, prowadzenia edukacji muzycznej i zajęć rewalidacyjnych, pedagog uczy wiedzy o społeczeństwie, a historyczka prowadzi wychowanie fizyczne.

Im więcej ukończę szkoleń – zakłada polska nauczycielka – tym większe mam szanse utrzymania się w szkole, gdy znowu system zacznie się zmieniać, bo okaże się, że jednak nauczycieli jest za dużo, a dzieci za mało, a nie odwrotnie. I to podejście z reguły się sprawdza. Z reguły, bo choć polska nauczycielka ma wpływ na swoje wykształcenie, to i tak jest raczej pionkiem na planszy niż mistrzynią gry. Niestety. Wystarczy chwila nieuwagi, żeby podpaść na przykład wójtowi gminy, który lokalnie zarządza edukacją, i już odpadasz z gry. Także dlatego lepiej mieć plan B; choćby uprawnienia do nauczania języka angielskiego (na to zawsze znajdą się chętni na rynku korepetycji). Nie mówiąc już o tym, że gdy pracuje się w budżetówce i nie jest się bogatym z domu, zawsze dobrze mieć drugi zawód. A przynajmniej porządne źródło dodatkowego dochodu.

[1] M. Smak, D. Walczak, op.cit., s. 30–31.

Metody i cele

Wzrost podmiotowości uczniów część nauczycieli ocenia negatywnie, zarzucając dzieciom i młodzieży brak poszanowania dla autorytetów. Niektórzy nauczyciele w pracy z uczniem odwołują się do metod opartych na nierównowadze sił, co negatywnie wpływa na ich wizerunek[1].

Nieoczekiwanym skutkiem ubocznym pandemii stała się możliwość podejrzenia, jak wyglądają lekcje naszych dzieci. Kto ani razu nie zakradł się na palcach, by posłuchać, co w 2021 roku w polskiej szkole mówią o powstaniu warszawskim albo o *Ferdynandzie*, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Moje ręce są puste.

Podobno wiele nauczycielek nie chciało zdalnego nauczania ze strachu przed ośmieszeniem. Z jakiegoś wstydu, że świat, a przynajmniej rodzice uczniów, usłyszą, zobaczą, co i jak one tłumaczą. Że znów będą krytykowane, wyśmiewane, niezrozumiane.

Lekcje online części z nich były potwornie nudne. Metody stosowane w klasie nie działały przez internet. Albo inaczej: nie działały już w klasie, a dopiero na Zoomie stało się to boleśnie oczywiste.

Jednych nauczycieli przerosły nowoczesne technologie. Inni w mig odnaleźli się w internetowej rzeczywistości – rozwinęli skrzydła, bawili się nową formą nauczania, nagrywali podcasty, udostępniali swoje lekcje w internecie wszystkim chętnym.

Ta unikalna możliwość podglądania tego, jak nauczyciele uczą, jak walczą o utrzymanie uwagi, o zainteresowanie, o przekazanie czegoś komukolwiek, jak sobie z tym radzą albo nie radzą, pokazuje, jak różni są pedagodzy, jak różne są ich umiejętności, ich horyzonty i empatia.

W jednej szkole za brak włączonej kamerki dostawało się jedynekę. W drugiej – uczniom wolno było używać awatarów, by ktoś z rówieśników ich nie nagrał. W trzeciej wyrzucało się z lekcji za awatar z tęczową flagą albo symbolem Strajku Kobiet[2]. W czwartej nauczyciele tłumaczyli, że ciężko im mówić w pustkę, gdy nie widzą, czy ktokolwiek ich słucha, cokolwiek wynosi z lekcji. Dlatego proszą uczniów, żeby jednak kamery włączali.

Ale i bez pandemii widać było, choć nie tak wyraźnie, że każdy uczy inaczej. Jeden lepiej, drugi gorzej, do trzeciego wszyscy się przepisują, a u czwartego na lekcji śpią, a po lekcji biorą korepetycje.

Iga Kazimierczyk w swojej książce o szkolnej nudzie cytuje wnioski z jej własnych rozmów i badań przeprowadzonych wśród dzieci: *„Uczniowie, opisując potrzebę ciekawych lekcji, nie czekają na zapierające dech w piersiach lekcje z użyciem prezentacji i skomplikowanych technik pracy. To, na czym im zależy, to potrzeba bycia zauważonym, szanowanym, wysłuchanym, potraktowanym jak rozmówca, a nie odbiorca. Jednym zdaniem – lekcja ciekawa jest wtedy, kiedy prowadzi się w czasie jej trwania dialog. Tak z innymi uczniami, jak również z nauczycielem”*[3].

Aneta: Ciągle przygotowuję pomoce naukowe, szukam ciekawostek. Z uczniami w mojej starej szkole miałam grupy na Messengerze, w której rozmawialiśmy po angielsku. Proszę, mam tu w telefonie grupy dla każdej klasy. Oglądam z dziećmi seriale na Netflixie, z zaawansowaną grupą uczyliśmy się słówek z *Chirurgów*. Czasem przynoszę tekst jakiegoś hitu hip-hopowego, w którym zmieniałam parę fraz. Słuchamy go na lekcji, a uczniowie muszą znaleźć miejsce, w którym są moje słowa. To z jednej strony ich ciekawi, bo to muzyka tego

pokolenia, a z drugiej – zmusza do skupienia. Ja naprawdę przykładam się do lekcji i mam satysfakcję, gdy widzę, jak łobuzy tupią nóżką pod stołem przy tym hip-hopie!

Anna, nauczycielka angielskiego, metodyk: Nawet z tego podręcznika, którego jestem autorką, uczę tylko wtedy, gdy nie mam wyjścia. Na co dzień używam materiałów dotyczących aktualnych wydarzeń: gdy w Ameryce odbywają się wybory i wygrywa Trump, analizujemy artykuł o Trumpie. Jak jest koronawirus, to oglądamy filmik, jak wirus się rozprzestrzenia.

Uczenie z podręcznika jest łatwe, bo wszystko jest gotowe, nawet nie trzeba się przygotowywać do lekcji. Ale czy to ciekawe?

Piotr Śmiałkowski: Podczas pandemii i zdalnego nauczania uczeń zapytał, jak ja będę sprawdzał, czy oni nie ściągają na sprawdzianie. Powiedziałem, że wcale. Zapytałem: „Kogo chciałbyś oszukać, ściągając? Mnie czy siebie?”.

Ja nie poluję na uczniów. Po co?

Anna: Kiedy podczas poprzedniej reformy wprowadzono gimnazja, wielu nauczycieli było wściekłych. Przy naszym liceum, mimo dużego oporu kolegów, też powstało gimnazjum. Trzeba było coś wymyślić, być kreatywnym, żeby odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Po paru latach znaczna część tych nauczycieli protestujących przeciwko gimnazjum powiedziała, że błogosławi tę reformę. Bo zasiała ferment, bo zmusiła ich do robienia czegoś nowego.

A potem przyszła kolejna reforma i to wszystko poszło do kosza. Dlaczego ta kolejna zmiana nie zasiała twórczego fermentu?

W gimnazjum dzieciakom się chciało. Chciały więcej, niż oferował program. Chciały na przykład kółek zainteresowań,

więc nauczyciele je dla nich tworzyli. A licealiści? Oni już niczego nie chcą.

X., polonistka: To, czy komuś chce się robić coś więcej, nie zależy od wieku. Dla mnie wzorem i inspiracją jest starsza nauczycielka ucząca w tej samej szkole co ja. Prowadziła lekcję o rusyfikacji. Weszła z hukiem do sali, trzasnęła drzwiami, rzuciła dziennikiem i bez słowa wyjaśnienia zaczęła do dzieci mówić po rosyjsku. A potem je odpytywać. Wow! Dużo można zrobić, nawet bez dodatkowych pieniędzy.

Ewa Narożniak: W pierwszej klasie robię jeden sprawdzian. W kolejnych żadnego. Nie zadaję prac domowych, nie oceniam aktywności. Sprawdziany przeprowadzam tylko wtedy, kiedy uczeń wybrał profil rozszerzony (u nas są to zazwyczaj trzy osoby rocznie).

Wprowadziliśmy zasadę, że nie można nie zdać do następnej klasy. Może inaczej – uczeń musi się zgodzić na powtarzanie klasy. Wygląda to tak, że rozmawiamy, co będzie dla danej osoby lepsze: to, że słabo zda maturę, czy to, że powtórzy klasę maturalną. Wielu uczniów decyduje się iść dalej, uznając, że sobie poradzi. Ale są też tacy, którzy wybierają powtarzanie klasy.

Zdecydowaliśmy się na to rozwiązanie, żeby uczniów nie stresować. Nie chcieliśmy, żeby się bali. Brak ocen, brak sprawdzianów, niemożność niezdania wbrew woli znosi presję, ale jednocześnie powoduje, że odpowiedzialność za naukę w bardzo dużym stopniu spoczywa na uczniach. A oni różnie sobie z tym radzą.

Czasem nauczyciele się skarżą, że ktoś miał napisać pięć zdań do końca października, a jest styczeń i praca wciąż nieoddana. Wyniki matur u nas są bardzo dobre. Zdarzają się tylko pojedyncze przypadki niezdanej matematyki.

Jarosław: Moja żona, polonistka, często jeździ na różne szkolenia. Po jednym z nich ponaklejała w szkole kody QR. Wszędzie, gdzie się dało: na korytarzach, w salach. Dzieciaki biegały z telefonami i skanowały kody, żeby się dowiedzieć, co się pod nimi kryje. Tak je uczyła.

Basia: Przed reformą dzieci kończyły naukę w szóstej klasie, więc było łatwiej. W ósmej klasie dziewczynki dojrzewają i rodzą się zupełnie nowe problemy. Zaczyna się manipulacja, stalkowanie przez telefon i w internecie.

Trzeba to szybko wyłapać i ukrócić. Jak? Namierzamy problemy dzięki rozmowom. Dzieci wiedzą, że mogą przyjść do tego nauczyciela, któremu ufają, żeby pogadać. W tych rozmowach często przez delikatne naprowadzanie problem wychodzi na jaw. I można działać: czasem rozmawiając w cztery oczy, czasem poprzez spotkania grupowe. Przegadujemy problemy, pytamy: „Jakbyś się czuła, gdyby to spotkało ciebie?”, ustalamy zasady.

Ważne, żeby szybko reagować. Jeśli będę udawała, że czegoś nie widzę, dojdzie do eskalacji.

Katarzyna Kabzińska: Kiedyś uczniowie powiedzieli mi, że ja przedstawiam fizykę jako opowieść, historię o czymś. Temat przewodnictwa cieplnego można poruszać, zarzucając uczniów wzorami. Ale po co? Ja zaczynam od jedzenia na wynos. Dlaczego dostawca przywozi je akurat w takim opakowaniu? Po co jest dodatkowa warstwa folii? Dlaczego po wyjściu spod prysznic jest ci zimno, dopóki się nie wytrzesz? Jak trzylatek pytam: Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? I wtedy uczniowie zaczynają myśleć. Zastanawiają się nad tym, stawiają hipotezy. Po burzy mózgów porządkuję ich przypuszczenia i dopiero potem przechodzimy do wzorów.

Ale wtedy oni już rozumieją, że fizyka jest w ich życiu.

Ewa Narożniak: Są nauczyciele, którzy tworzą naturalny dystans. I są tacy, którzy go nie tworzą. Tego się nie da zmienić. Ja zachowuję dystans, mimo że moi uczniowie są ze mną na „ty”. Nie lubię formy „pani”, bo nie lubię nierówności w relacji. Ale to nie zmienia faktu, że nie przyjaźnię się z moimi uczniami. Z kolei mój brat, który uczył w tej samej szkole, a wcześniej do niej chodził, przyjaźni się zarówno ze swoimi byłymi nauczycielami, jak i z byłymi uczniami.

W restrykcyjnych szkołach uczeń oficjalnie zwraca się do nauczyciela per „pani profesor, panie profesorze”, ale mimo to nie ma między nimi dystansu. To widać, gdy ktoś się przejęzyczy i powie do nauczyciela po imieniu zamiast „pani profesor” albo zapyta w pokoju nauczycielskim, czy jest Kowalski.

Jak widać, tak naprawdę nie ma absolutnie żadnego znaczenia to, czy jest się z uczniami po imieniu czy nie. U nas w szkole to decyzja nauczyciela, a nie odgórna zasada. Są dwie nauczycielki, które proszą, żeby uczniowie mówili do nich per „pani”.

Jest też uczeń, który zaznaczył, że życzy sobie, żeby po jego osiemnastych urodzinach wszyscy zwracali się do niego „proszę pana”.

Myślę, że to wszystko nie ma absolutnie żadnego znaczenia.

Weronika, nauczycielka matematyki, po kilkunastu latach pracy w szkole odeszła na wyższą uczelnię: Najważniejsze jest to, żeby z dziećmi rozmawiać. Gdy uczysz matematyki, nie możesz z nimi rozmawiać tylko o matematyce, bo w ten sposób nie zbudujecie relacji. Musisz z nimi rozmawiać o nich. To też pomoże ci w przekazywaniu im wiedzy, bo będziesz wiedzieć, jak do nich dotrzeć.

Jeśli chcesz być dobrym nauczycielem, ciągle próbujesz nauczyć dzieci w taki sposób, żeby się nie zorientowały, że to

robisz.

Aneta: Często korzystam z Facebooka. Mamy swoją grupę, na której czasem piszę: „Kochane dzieci, przekładamy klasówkę, bo Karol źle się czuje”.

Olga Skolimowska: Mamy w naszym publicznym przedszkolu zajęcia z kodowania, podstawy informatyki. Dzieci siadają na dywanie i budują z puzzli ze specjalnymi znakami trasę dla robotów. Roboty odczytują polecenia umieszczone na znakach (start, zawróć, koniec trasy) i wykonują polecenia. Dzieci nie muszą umieć czytać, żeby zaprogramować trasę robota, bo wiedzą, co oznacza każdy kolor puzzla.

Powoli zaczyna to być standard w każdej placówce. Wszystko się zmienia, dziś nie wystarczy wierszyk i pacynka, żeby zainteresować dzieci. A jednocześnie kodowania można użyć w tradycyjnym celu, na przykład układamy trasę dla robota tak, by robił coś specjalnie dla gości z okazji obchodów Dnia Babci.

Mamy też w przedszkolu tradycyjny teatrzyk, z którego korzystamy. Dyrekcja pozwala nam, wychowawczyniom, decydować o tym, jaką pomoc edukacyjną kupić.

Jarosław: Dzieci trzeba zaskakiwać. Gdzieś, nie pamiętam gdzie, wyczytałem, żeby zostawiać im wiadomości na karteczkach. Na jednym materacu przyklejam karteczkę z poleceniem: „Zrób pięć skłonów ze stania”, na drugim: „Dziesięć przysiadów”. To taka sama rozgrzewka co zawsze, ale inaczej podana. Dzieci z zapałem biegają od materaca do materaca, ciekawe, co będzie dalej. Mam indywidualne lekcje z dwoma chłopakami z pewnymi niedomaganiem. Z jednego z nich ciężko coś wydobyć, ale kiedy tylko zobaczył te karteczki... Zrozumiałem, że on musi mieć nowinki. Wymyślam mu choć jedno nowe ćwiczenie na lekcję, bo to go bardziej angażuje.

Aneta Korycińska: Wprowadzam lektury spoza kanonu. Przy *Odysei* omawiam *Penelopiadę*, żeby pokazać, jak ta sama historia wygląda z drugiej strony. Do tego dokładam *Grzeczną*, książeczkę dla dzieci o dziewczynce, która była zawsze cichutka i trudno jej było krzyknąć. Zależy mi na tym, by uczniowie wyszli ze szkoły nie tylko z wiedzą o przygodach Odyseusza (co nie jest przecież istotne w życiu), a z myślami o tym, jak nasze działania wpływają na otoczenie. Nie chcę, by uznali, że Penelopa była wierna i mają się na niej wzorować.

Jestem feministką, uważam, że każdy człowiek ma prawo do własnych wyborów, sam jest odpowiedzialny za swoje decyzje i nie może podlegać innym. Chcę pokazać uczniom, że mają krzyczeć, buntować się, nie mogą siedzieć cicho i pozwalać na coś, z czym się nie zgadzają. W *Grzecznej* dziewczynkę dostrzeżono dopiero wtedy, gdy pozwoliła sobie na to, by krzyczeć, nie być perfekcyjną, prowadzić nieidealne zeszyty i mieć brudne ubranie. Gdy prowadzę lekcje metodą klasy myślącej, uczniowie uznają, że Penelopa była sama sobie winna, bo nigdy nie zawalczyła o siebie.

Ewa Narożniak: Najbardziej dumna jestem z tego, że potrafię się wycofać. Byłam mocno związana z Młodzieżowym Strajkiem Klimatycznym, ale szybko się z niego wycofałam, by uczniowie mogli dalej działać samodzielnie, bez dorosłych.

To nie zawsze jest łatwe. Ostatnio wymyśliłam fajny projekt, klasa to podchwyciła i założyła grupę na Facebooku, żeby tam zajmować się tym tematem. Moja pierwsza myśl była taka, żeby napisać do nich: „Hej, dodajcie mnie!”. Ale tego nie zrobiłam. W gimnazjum na pewno nie uczono mnie samodzielności. Moim wychowawcą był Jarek Szulski, bardzo znany nauczyciel^[4]. Ciągłe wymyślał coś nowego, zaskakiwał nas, nie mogliśmy być pewni tego, co się za chwilę wydarzy. Jedziemy na wycieczkę w góry, tam pobudka w środku nocy, wsiadamy

do pociągu i lądujemy w Gdańsku. W każdej chwili wszystko mogło się wywrócić do góry nogami, a my na nic nie mieliśmy wpływu.

Wiem, jak brak możliwości samostanowienia działał na mnie, więc zależy mi na tym, by jak najwięcej przestrzeni dawać moim uczniom i uczennicom.

Olga Skolimowska: Rodzice bardzo chcieli, bym zorganizowała dla mojej grupy warsztaty mydlarskie. Upierali się, że zapłacą za zajęcia na mieście. Sprawdziłam, jak się robi mydło. Obejrzałam dwa filmiki na YouTube, kupiłam zestaw startowy i byłam gotowa do samodzielnego przeprowadzenia warsztatów.

Aneta Korycińska: Po ciężkim początku pokochałam moich uczniów z zawodówki. Zrozumiałam, że żeby do nich trafić, muszę robić show. Wchodzę do klasy, nikt na mnie nie zwraca uwagi. „OK – mówię – słuchajcie, ja MUSZĘ zrobić z wami lirykę”. I rozdaję im tekst Kalibru 44.

W pierwszej chwili są zbici z tropu, bo to ich muzyka, a nie Mickiewicz, a potem zaczynamy rozmawiać.

Przed lekcją myślałam, że Kaliber 44 i Paktofonikę mam w małym palcu, ale okazało się, że nie. To od nich dowiedziałam się, że „44” to rozmiar fifki, a nie naboju, jak myślałam.

Od nich nauczyłam się, że nie mogę wchodzić do sali cicho, przestraszona. Muszę mieć wejście, muszę być głośna, muszę zaprosić ich do zabawy. Trochę to przypomina układanie psa i – przepraszam za to porównanie – jestem też behawiorystką. Pies musi wierzyć, że jego właściciel jest bardzo atrakcyjny.

Zaczęłam na lekcjach robić z siebie wariatkę. Do dziś tak uczę: macham rękoma, krzyczę, jestem przerysowana. Jeśli zależy mi na tym, żeby poczuli patos dzieła literackiego, czytam je z teatralnym, komicznym nadęciem. I do dzisiaj dostaję na

Facebooku życzenia urodzinowe od moich pierwszych uczniów z zespołu szkół w Mińsku Mazowieckim. Pracowałam tam rok, potem odeszłam, bo nie chciałam dłużej dojeżdżać do pracy.

Katarzyna Kabzińska: Bycie nauczycielem to nie tylko przekazywanie wiedzy, lecz także pokazanie każdemu dziecku, że ono jest ważne i wartościowe.

Sylwia Chwedorczyk: Przyszłam do nowej szkoły, liceum muzycznego. Był piękny, ciepły wrzesień. Wzięłam uczniów klasy maturalnej (pełnoletnich) na lekcję do parku. Siedzieliśmy na trawie, rozmawiając o lekturze. Następnego dnia wezwała mnie pani dyrektor: „Tak nie można”. Czego nie można, przecież biorę za nich odpowiedzialność? „W szkole trzeba się uczyć w szkole”. Dlaczego? Nie wiadomo. Ale najważniejszy był argument: „Bo co powiedzą inni nauczyciele?”.

Ewa Narożniak: Kocham moją szkołę za to, że mam prawo być tam sobą, człowiekiem, a nie tylko nauczycielką. To wspaniałe, ale muszę się też bardzo pilnować, żeby nie przekroczyć granic moich uczennic i uczniów.

Ale taka sytuacja może się zdarzyć w każdej szkole, bo to zależy od osobowości nauczyciela, a nie od stylu relacji przyjętych przez szkołę. W „Batorym” uczył mnie fizyk, który na lekcjach opowiadał nam o swoich żonach.

Aneta Korycińska: Zrzucam z pomników wielkich poetów i pokazuję, jakimi byli dupkami dla swoich żon, bo chcę, żeby moi uczniowie zobaczyli, jak blisko życia jest literatura, z którą mają kontakt w szkole.

Nie obrałam sobie za cel tego, by zapamiętali imiona wszystkich bohaterów *Ludzi bezdomnych*, tylko to, żeby czytali, rozważali, dyskutowali o decyzjach i motywacjach bohaterów, bo dzięki temu budują swój system wartości.

Jarosław: Świat się zmienia, młodzież się zmienia, więc i my musimy co jakiś czas się dokształcać. Jestem instruktorem gimnastyki korekcyjnej, piłki nożnej, siatkowej i ręcznej. Część szkoleń zrobiłem dzięki funduszom unijnym, za część płaciłem sam. Zgłosiłem szkołę do konkursu „Dzieciaki do rakiet”, w którym można było wygrać dla szkoły sprzęt – rakiety, siatki tenisowe i szkolenie sportowe dla nauczycieli. Wygraliśmy. Jakie to było fajne!

Swoją drogą, to nie był trudny konkurs. Wystarczyło nagrać filmik, wysłać go, a potem zadbać o to, by ludzie na niego głosowali. Na osiemset szkół tylko sześćdziesiąt wzięło w nim udział. A sprzęt naprawdę był dobry.

Aneta Korycińska: Nie korzystam z typowych szkoleń dla nauczycieli. Fantastyczną ofertę ma Szkoła Edukacji[5]. Oni ściągnęli na przykład Petera Liljedahla, który opracował metodę klasy myślącej. To jest coś genialnego!

Usuwamy ławki, wieszamy na ścianach sali wielkie arkusze papieru. Ja stawiam pytanie, na przykład: „Co doprowadziło bohatera do tragicznego wyboru?”. Uczniowie, podzieleni na grupy, wymyślają powody, wypisują na arkuszach cytaty z lektury, a na koniec każdy zespół stawia tezę. Wszystko dzieje się w ruchu, na stojąco, można kreślić. To ich ożywia, to nie jest dla nich nudne. A to, że mogą chodzić po sali w trakcie lekcji, traktują jak zabawę. Bo przecież nikogo nie obchodzi prezentacja, którą ktoś puszcza na lekcji z komputera, albo praca odczytywana z zeszytu.

Mój kolega uczy wiedzy o społeczeństwie i religii. Księżę Rodzaju omawia z uczniami, grając w *Minecrafta*.

Olga Skolimowska: Chyba jako społeczeństwo nie bylibyśmy w stanie aż tak zaufać nauczycielom ani aż tak doinwestować pracowni szkolnych, jak to robią Finowie. Tam w niemal każdej szkole jest studio nagrań. Nauczyciele mają do dyspozycji

wiertarki, opalarki do drewna i używają ich razem z uczniami. Czy polscy rodzice zaufaliby nauczycielom i swoim dzieciom na tyle, by wypuścić dzieci same na ulicę z mapą?

W Finlandii nauczyłam się tego, że mogę spokojnie dać czterolatкови nóż, o ile zapewnię mu odpowiednie warunki. Ale też nauczyłam się, że nie wszystko jest dla każdego i że nie ma nic złego w tym, że niektóre dzieci dostaną prostsze zadania. Bo w Finlandii edukacja włączająca jest na zupełnie innym poziomie niż w Polsce. Ze względu na niską gęstość zaludnienia w tym kraju popularne są małe domowe przedszkola. Bywa tak, że w grupie każde dziecko realizuje (ze względu na wiek i możliwości) inny program. To nie jest dla nauczyciela łatwe, między innymi dlatego tak dużo kandydatów nie dostaje się na studia pedagogiczne. Bo trzeba być bardzo dobrym, żeby poradzić sobie z takimi wyzwaniami. Ale, jak widać, to jest możliwe.

Aneta Korycińska: Nie jestem osobą odważną. Zwykle rozmowa z obcymi ludźmi sprawia mi trudność, nie jestem otwarta, a w nowych miejscach robię się nieśmiała. Ale gdy tylko mam możliwość wypowiedzieć na temat tego, na czym – jak uważam – się znam, zmieniam się w ekstrawertyczkę. Nauczanie to jedyna dziedzina mojego życia, w której jestem odważna.

Nie planowałam nigdy uczenia, ale kiedy uświadomiłam sobie, że mogę mieć wpływ na reakcje uczniów, że to ode mnie zależy, czy przedstawię im to, co mnie fascynuje, w interesujący sposób i ich poruszę, odkryłam powołanie.

Uwielbiam uczyć! Nieustannie przeżywam – przepraszam za sformułowanie, ale to jest adekwatne określenie, a jako polonistka z pełną świadomością używam tego określenia – „erekcję intelektualną”. Na scenie przychodzą mi do głowy najlepsze pomysły. Ta siła pojawiła się we mnie już w trakcie

pierwszych lekcji. Poczułam moc, chciałam tworzyć szkołę, która bawiąc, uczy.

Dobrze pamiętam swoje czasy szkolne, więc nie prowadzę nudnych zajęć, chcę pobudzać do działania, myślenia, rozważania. Oczywiście, nie oszukujmy się, nie zawsze mam wpływ na uczniów, ale bardzo się staram. Chcę, by każdy miał szansę i uwierzył w swoje możliwości – to przypomina walkę z wiatrakami, ale jeśli się uda, czuję satysfakcję.

Moje siedemnastoletnie dziecko zna angielski na poziomie C1, o jakim ja nawet nie marzę. Lata temu, mimo nauki w liceum, na prywatnych lekcjach i w szkołach językowych, ugrzęzłam na B1+ i nie mogę zrobić ani kroku dalej. Moje dziecko angielskiego uczyło się wyłącznie w szkole, co prawda niepublicznej, mając od czterech do sześć godzin tygodniowo. W nauce języka pomogło także oglądanie na YouTube filmików o teoriach spiskowych i rozmawianie na bardzo dziwne tematy na FB i Tweeterze.

Nie piszę tego po to, by się popisać nie moim sukcesem, ale dlatego, że mój dzieciak był, jeśli nie jedyną, to jedną z naprawdę nielicznych osób w klasie, które nie chodziły po lekcjach na dodatkowy angielski. Innym rodzicom nie wystarczała nauka w szkole. Nie chodziło o to, że dzieci planowały studia za granicą ani tym bardziej o to, że poziom w szkole był za niski; ani też o to, że koleżanki i koledzy mojego dziecka sobie nie radzili.

Nic z tych rzeczy. Obawiam się, że faktycznie jest tak, jak mówią nauczyciele – my, rodzice wierzymy w to, że takich konkretnych, przydatnych w życiu rzeczy (jak angielski) można się nauczyć tylko „na mieście”. Na mieście, czyli poza szkołą i za pieniądze. Co wydaje się paradoksalne, zwłaszcza że już szkoła

(czy publiczna – z podatków, czy niepubliczna – z podatków i dodatkowych wysokich wpłat) jest właśnie „za pieniądze”.

Gdy jedno z moich dzieci miało problem z matematyką, pierwszą moją reakcją było wykupienie pakietu lekcji (sześćdziesiąt dziewięć złotych za godzinę zegarową) w specjalizującej się w nauczaniu przedmiotów ścisłych placówce nieopodal naszego domu. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby poprosić o pomoc matematyczkę dziecka. Mało tego – nie wiedziałam, że w naszej szkole nauczyciele pomagają nadrabiać zaległości albo rozwiązywać trudne zadania w ramach cotygodniowych konsultacji. Za darmo. To znaczy w ramach chesnego i godzin swojej pracy.

O czym to świadczy? Na pewno o tym, że nie odrobiłam swojej pracy domowej, skoro nie wiedziałam, co szkoła oferuje. Ale czy tylko? Intuicyjnie czuję, że za tą potrzebą płacenia za coś, co możemy często dostać „za darmo” w szkole, kryje się głęboka nieufność. Niewiara, że coś „darmowego” – jak lekcje lub wizyta w rejonowej przychodni – będzie równie dobrej jakości, co korepetycje bądź droga wizyta w profesorskiej prywatnej lecznicy.

A może w grę wchodzi też niewiara w kompetencje ludzi, którym oddaliśmy nasze dzieci pod opiekę? Tak jakbyśmy nie wiedzieli, że pełnopłatnych korepetycji (z matematyki i lepienia mydeł) udzielają ci sami ludzie, którzy uczą w naszej szkole, często w dodatku przyciągający klientów opisem swoich kompetencji: magister tego i tamtego, pracuje w takim a takim liceum, jest członkiem Centralnej Komisji Egzaminacyjnej.

Kiedy byłam mała i miałam dwóję z matematyki, mój dziadek, były nauczyciel, próbował nadrabiać ze mną zaległości. Za każdym razem kończyło się to dzikim wrzaskiem (dziadka), płaczem (moim) i pomstowaniem, że już nigdy więcej (obopólnym). W końcu dziadek doszedł do wniosku, że trzeba poszukać drugiego duetu wnuczka nieuk i dziadek matematyk

i zamienić się nieukami. Może o to chodzi z wiarą w korepetycje i pozaszkolne kursy? Że relacja, jaką mamy z naszymi nauczycielami, uniemożliwia wspólne wyjście z kłopotów?

[1] M. Smak, D. Walczak, op.cit., s. 33.

[2] W kwietniu 2021 roku Małgorzata Moskwa-Wodnicka, wiceprezydent Łodzi, za wiesiła w obowiązkach dyrektora liceum, w którym zakazano uczniom używania awatarów z symbolami politycznymi. Używanie ich wiązało się z ujemnymi punktami.

[3] I. Kazimierzczyk, *Oblicza nudy szkolnej*, Wydawnictwo Naukowe Scholar 2021, s. 123.

[4] Jarek Szulski uczył m.in. w warszawskim II LO im Stefana Batorego. Jest autorem powieści z wątkiem szkolnym oraz publicystycznej książki *Nauczyciel z Polski*.

[5] Szkoła Edukacji to program Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności.

Pokój nauczycielski

Mające miejsce w szkole konflikty w gronie pedagogicznym, nie tylko obniżają komfort pracy, ale też niekorzystnie wpływają na poczucie własnej skuteczności, jednak o tym aspekcie pracy w szkole mówili wyłącznie nauczyciele, którzy odeszli z zawodu. Zdarza się, że nauczyciele są poniżani przez współpracowników lub przełożonych, co znacząco obniża poziom odczuwanej satysfakcji z wykonywanej pracy[1].

Zbierając materiał do tej książki, poznałam dwie przyjaciółki od lat zatrudnione w tej samej szkole. Obie fenomenalne rozmówczynie. Obie ponadprzeciętne w swoim fachu. Znają się od dwóch dekad, jedna drugą sprowadziła do szkoły. Nie rozmawiają ze sobą. Nie witają się, gdy wpadną na siebie na korytarzu, odwracają wzrok, gdy spotykają się w pokoju nauczycielskim. Nie wiem, jak współpracują na radach pedagogicznych ani jak rozwiązują sprawę, gdy któryś z ich uczniów ma problem z przedmiotem, którego uczy koleżanka. Może rozmawiają przez pośredników?

Wiem za to, że zła atmosfera, kłótnie i brak wspólnego działania na rzecz dobra dzieci i szkoły to częsty problem w pokoju nauczycielskim.

Napięcia są powodowane nie tylko przez spory światopoglądowe czy różnice charakterów, ale także przez różnorodne podejście do pracy. Mówiąc krótko: wszyscy w pokoju nauczycielskim wiedzą, kto jest dobry, a kto zły. Kto uczy dobrze i ciekawie, na kogo wszyscy się skarżą, kto przynudza, a kto ma swoich pupilków. Od tej wiedzy atmosfera potrafi zgęstnieć jak powietrze w Krakowie, gdy zaczyna się sezon grzewczy. Przy czym nie zawsze winny jest ten zły. Czasami największą złość budzi dobry nauczyciel. Bo jest solą w oku. Bo pokazuje, że można. Można robić wielkie rzeczy za

małe pieniądze. A to, niezależnie od branży, zawsze kogoś zirytuje, bo wywołuje poczucie winy. Skoro ona może, mimo że dyrektor to kretyn, kasy na szkolenia nie ma, uczniowie są głupszy od dyrektora, w toalecie tynk się sypie na głowę podczas mycia rąk... To, czy dobry nauczyciel, otwarty, ciekawie uczący, innowacyjny, utrzyma się w szkole, w dużym stopniu zależy od tego, jacy są pozostali nauczyciele, w mniejszym – od tego, jaka jest dyrekcja. Dyrektor ma ogromny wpływ na atmosferę w szkole – zarówno tę w pokoju nauczycielskim, jak i na wypełnionych dzieciarnią korytarzach. To dyrektor narzuca styl komunikacji z rodzicami, z podwładnymi, z dziećmi. To dyrektor określa, co stanowi dla szkoły główny problem – brudne podłogi czy mobbing.

Anna: W pokoju nauczycielskim w kolegium ciągle gadało się o pracy. To było niesłychanie inspirujące środowisko. Ludzie ocytani, aktywni, bardzo twórczy. Wróciłam do szkoły, a tam rozmowy o przepisach, zakupach, kosmetykach. Musiała minąć chwila, żebym się zorientowała, że to taka konwencja, taki dość ogłupiający sposób bycia razem. W rzeczywistości nauczyciele czytają gazety i książki, chodzą do kina i teatru. Tylko zamiast wymieniać się refleksjami na temat lektury Tokarczuk, wymieniają się przepisami.

Aneta Korycińska: Bardzo nie lubię nauczycieli. To zawzięci ludzie. W drugiej szkole, w której pracowałam, nie odpowiadali na „dzień dobry”, bo usiadłam na krześle, które od lat było ich. W liceum, w którym aktualnie pracuję, jest inaczej – pokój nauczycielski to miejsce dla nas wszystkich, z wielkim stołem na środku, przy którym toczą się rozmowy. Rozmawiamy w nawet kolejce do ekspresu. Ktoś odpoczywa na kanapie. Jednak mimo że szanuję osoby, z którymi pracuję, i mam z nimi

dobrze relacje, są to tylko relacje służbowe. Nie spotykam się z nikim po zajęciach, nie wiem zbyt wiele o ich życiu prywatnym, raczej mijamy się na korytarzach. A długie przerwy i tak spędzam w bibliotece, która jest w podziemiach – tam przydają się uczniom. Szczerze mówiąc, atmosfera między pracownikami jest pełna niedomówień; rady pedagogiczne są prowadzone w sposób utrudniający komunikację, wiele osób boi się odezwać. Próbowaliśmy szkoleń z komunikacji, bo wszyscy są świadomi dystansu, który powstaje przez plotki i niedomówienia, ale... nam nie wyszło.

Aneta: Lubię ludzi, więc mam ciepłe relacje z kolegami. W szkole, gdzie wcześniej pracowałam, z panem od niemieckiego gotowaliśmy sobie nawzajem obiady, jednej pani przywożę sukienki z Anglii. Dobrze się czuję w pokoju nauczycielskim.

A.: Nie wchodzę do pokoju nauczycielskiego. Przerwy spędzam w mojej pracowni albo u koleżanki. Tak jest od strajku, którego byłam przeciwniczką.

Renata, pedagog szkolny: Koleżanka zbierała w pokoju nauczycielskim zapotrzebowanie na szkolenia, bo akurat były na to pieniądze. Zgłosili się tylko ci, którzy szykują się do egzaminu zawodowego. Inni się nie szkolą, bo po co?

Mówię koledze: „Słuchaj, jest konferencja o bezpieczeństwie w sieci, fajny program, może pójdziesz ze mną?”. „Nie, dzięki, nie potrzebuję, ja już wszystko wiem”. Wydaje mi się, że gdy tak mówi, brakuje mu pokory. Tak jest w moim publicznym liceum. W niepublicznej szkole, w której też pracuję, nie ma takiego napięcia ani strachu. Tam ludzie mówią: „Słuchaj, nie znam tej metody, którą pracujesz. Możesz mnie nauczyć?”.

X.: Kiedyś pracowałam w szkole, w której normą były donosy. Uczniowie donosili na nauczycieli, a nauczyciele na innych

nauczycieli. U mnie na lekcjach było głośno, więc ktoś doniósł dyrektorowi, że sobie nie radzę z klasą. Dyrektor wszedł i krzyknął: „Proszę o ciszę!”. Powinnam była wtedy poprosić go, żeby wyszedł za mną na korytarz i powiedzieć, że sobie nie życzę takiego sposobu zwracania mi uwagi. To była moja lekcja, uczniowie prowadzili pracę w grupach i musieli ze sobą rozmawiać. Nie było hałasu, był szum.

Ewelina: Pracuję w dwóch liceach. Jedno to topowa szkoła społeczna, która ma ugruntowaną markę na rynku, druga – przeciętny publiczny ogólniak. W tej pierwszej nauczyciele na przerwach prowadzą interesujące rozmowy. O filmie, który ktoś zobaczył, o artykule w „Polityce”, o bieżących wydarzeniach w Polsce, o tym, kto co czyta i czy poleca lekturę. Realnie coś wynoszę z tych dyskusji. W drugiej szkole w pokoju nauczycielskim staram się przebywać tylko wtedy, gdy naprawdę muszę, bo potrzebuję coś skserować albo zjeść kanapkę. Uciekam stąd, bo czuję się zażenowana tym, co słyszę. Ktoś nazywa maseczki „namordnikami” i śmiechom nie ma końca. Jedna pani komentuje bluzkę, w której przyszła do pracy koleżanka, ktoś opowiada, co by zjadł – inny poziom kultury i zainteresowań.

Beata, nauczycielka historii w publicznej szkole podstawowej: W szkole dużo osób mnie nie lubi. Dlaczego? Na przykład dlatego, że mnie widać i słyszać, i to się niektórym koleżankom nie podoba. Nie podoba się im, że lubią mnie dzieci, że rodzice proszą, żeby zapisać dzieciaczka do mojej klasy. To jest źle widziane, bo w polskiej szkole ani uczeń, ani nauczyciel nie powinien być wybitny. Dobrze widziana jest przeciętność.

Anna: Wchodzę do pokoju nauczycielskiego i słyszę: „A wiesz, co oni mi dziś zrobili?”, „A, bo oni znowu...”, „A bo oni nie

słuchają”, „A bo oni są w ogóle beznadziejni”. Na radzie pedagogicznej: „Oni ułamków nie umieją dodawać, oni się w ogóle do tego profilu nie nadają”, „Z pierwszego testu musiałam osiemdziesięciu procentom postawić jedynkę”. Moja dyrektorka kiedyś odpowiedziała, że ona od trzydziestu lat słyszy na radzie, że „oni” nie umieją ułamków dodawać. I myśli o tym, że może już czas tę niemoc przeskoczyć. Ciekawe, że osoba, która prawie wszystkim „musi” postawić jedynkę, nie zastanowi się, dlaczego tak się dzieje. I co na to poradzić.

Olga Skolimowska: Pisałam pracę magisterską na temat *Wizja siebie jako nauczyciela u polskich i fińskich studentów*. Odkryłam, że większość nauczycieli, przychodząc do pracy, była pełna ideałów. Sęk w tym, że te ideały były zbyt... idealistyczne. Polscy młodzi nauczyciele mają naiwną wiarę w to, że będą kochani, że wszystko jest możliwe, że wszystko można załatwić rozmową. Gdy zaczynają pracę, okazuje się, że nie da się pracować tak, jak oni to sobie (idealistycznie) wyobrażali. Wierzyli, że wystarczy powiedzieć rodzicom: „Proszę o przyniesienie na jutro marchewki” i następnego dnia każde dziecko będzie miało marchewkę.

A to tak nie działa. Żeby dziecko przyniosło marchewkę, rodzice muszą wiedzieć po co. Dopiero gdy się dowiedzą, że to po to, żebyśmy mogli wycisnąć i wypić sok, dadzą dzieciom marchewki. Czy w Finlandii jest inaczej? Tak, bo tamtejsi studenci nie są tak idealistycznie nastawieni, wiedzą, że będzie trudno, więc nie doznają szoku.

Irmina: Na radach pedagogicznych w budowlance, w której pracowałam, wszyscy ciągle narzekali na naszych uczniów. Ja ich broniłam. Często mówiłam: „Narzekacie na nich, bo nic o nich nie wiecie. A nie wiecie, bo z nimi nie rozmawiacie”. Ale oni mnie nie słuchali. Szkoda.

Ewa Narożniak: W mojej szkole dyrektorka ma bardzo mało władzy, struktura jest płaska. Jesteśmy bardziej grupą nauczycieli niż hierarchiczną strukturą z szefową na czele.

Bardzo lubię moich współpracowników. Z niektórymi się przyjaźnię. Wychodzimy na lunch w ciągu dnia, spotykamy się towarzysko poza szkołą, czasem spędzamy razem część wakacji. Oczywiście bardzo często się też kłócimy, zwłaszcza na radach pedagogicznych. Spotkania trwają po sześć, czasem dziesięć godzin (te na początku i końcu roku szkolnego). Rozmawiamy o każdym uczniu i każdej uczennicy, spieramy się, jakie działania w stosunku do danej osoby podjąć. Dużo rozmawiamy o tym, jaką mamy wizję szkoły, ciągle coś zmieniamy, wzajemnie się inspirujemy. Próbuje wprowadzać zmiany, bo czasem coś nie działa, a czasem świat już tak się zmienia, że coś, co jeszcze niedawno dobrze działało, już się nie sprawdza. Popołniamy błędy i je naprawiamy, i tak w kółko. Bardzo często są to trudne i bolesne procesy.

Nie mamy pokoju nauczycielskiego, mamy klitkę nauczycielską, w której, jeśli się mocno ściśniemy, mieści się sześć osób. Przerwy więc często spędzamy z uczniami i uczennicami. Ale w tej naszej klitce rozmawiamy o wszystkim: o pracy, dużo o uczniach i uczennicach, o trudnych lekcjach, o ciężkim momencie w szkole, o zmianach wprowadzanych przez ministerstwo, o rodzinie, butach, wakacjach, zwierzętach, książkach i serialach.

A.: Ja dla moich kolegów i koleżanek jestem twardą, faszystowską prawicą. Większość grona pedagogicznego w mojej szkole jest lewicowa, wręcz lewacka. Wszyscy są za aborcją, aborcja jest nowoczesna i dobra – ja się nie odnajduję w takiej rzeczywistości. Dlatego nie wchodzę do pokoju nauczycielskiego.

[1] M. Smak, D. Walczak, op.cit., s. 26.

Źli nauczyciele

Nauczyciel otwarty, słuchający, rozumiejący, empatyczny jest bardziej szanowany przez uczniów i rodziców. Istotny jest też styl pracy – bardziej poważany, zdaniem badanych, jest nauczyciel angażujący się w życie szkoły i swoich uczniów, potrafiący stworzyć głęboką relację z podopiecznym i utrzymywać dobre kontakty z jego rodzicami. Co więcej, nauczyciel wiarygodny, spójny w słowach i czynach, uczciwy i sprawiedliwy w ocenianiu uczniów budzi szacunek swoich podopiecznych[1].

Każdy, kto był choć raz na wywiadówce, wie, że my, rodzice, mamy sprzeczne oczekiwania wobec wychowawców. Jeśli pan Kowalski podniesie rękę i poskarży się, że wczoraj dzieci wyszły na boisko, choć było zimno, a jego córka nie miała czapki, od razu odezwie się pani Malinowska, narzekając, że dzieci za mało wychodzą na boisko. W klasie jest za zimno i za gorąco, za duszno i zbyt wiele w niej przeciągów. Pani Malinowska domaga się, by na polskim było więcej wypracowań, a pan Kowalski uważa, że już teraz pisanie zajmuje córce zbyt wiele czasu. Jedni chcą więcej prac domowych, drudzy – żeby nie było ich wcale. Jedni mówią, że pani od chemii jest zbyt surowa, drudzy, że bardzo dobrze, dzieciom trzeba dokręcić śrubę. Zatem naprawdę nie wiadomo, jaki powinien być nauczyciel.

Można oczywiście założyć, że wszyscy raczej wolimy, żeby nauczycielka była sprawiedliwa, życzliwa, umiała docenić samodzielną pracę i dawała realistyczne zadania (przyniesienie na pojutrze pół kilograma kasztanów i stroju papugi do nich nie należy). Chyba wszyscy wolelibyśmy, żeby lubiła swoją pracę i raczej rozwiązywała problemy uczniów, a nie dokładała im kolejnych.

Żeby uczyła ciekawie, nie nudziła, była tolerancyjna. Żeby umiała zrobić tak, by utalentowane dziecko nauczyło się czegoś

nowego, a to z zaległościami zrozumiało coś, czego dotąd nie pojmowało – i to wszystko na jednej lekcji.

Żeby nie miała pupilków, ale wykazywała się cierpliwością do gagatków z zaburzeniami.

Żeby informowała rodziców o prawdziwych problemach, ale nie tak jak pewien pan ze szkoły podstawowej mojego dziecka, który zadzwonił do mnie do pracy, mówiąc: „Stała się dziś bardzo nieprzyjemna rzecz (pauza). Pani syn wziął sobie drugie śniadanie bez pozwolenia nauczyciela”. Żeby radziła sobie z lękiem pana Kowalskiego przed świeżym powietrzem i zachłannością pani Malinowskiej na chłód.

Gołym okiem widać, że to w zasadzie niemożliwe, by być kimś takim. A w dodatku wcale nie mam pewności, czy moje wyobrażenie idealnego pracownika oświaty odpowiadałoby Kowalskiemu i Malinowskiej, ich partnerom życiowym i ich dzieciom.

Ale przecież wiemy, że tak jak są źli i dobrzy pisarze, dobrzy hydraulicy, źli elektrycy, doskonali i fatalni lekarze, istnieją też dobrzy i źli nauczyciele.

Trudno zwolnić z pracy złą nauczycielkę, a dobrą nie wszyscy lubią. Jeśli dyrekcja nie ma poważania, nauczyciele są w bardzo trudnej sytuacji. Ale i dyrekcji nie jest łatwo. Lawiruje między często sprzecznymi potrzebami pedagogów, dzieci, rodziców, organu nadzorującego i wizytatorów. Z reguły im mniejsza miejscowość, tym więcej nacisków. W małej miejscowości wójt potrafi zadzwonić do szkoły, domagając się tego, by wszyscy uczniowie, nauczyciele i rodzice stawili się w niedzielne przedpołudnie na organizowanej przez gminę akademii z okazji Narodowego Święta Niepodległości. A kiedy dyrektor pyta, jak ma to zorganizować, bo święto wypada za dwa dni i w dodatku w dniu wolnym od pracy, wójt odpowiada, że albo wszyscy się stawią, albo on wyciągnie konsekwencje. I co w takiej sytuacji ma zrobić dyrekcja szkoły?

Co ma zrobić dyrektor, który wie, że koleżanka nie nadaje się do bycia wychowawczynią, a jednocześnie nie ma nikogo, komu może powierzyć wychowawstwo?

Każdy, komu trafił się w szkole zły wychowawca, wie, że to oznacza kilka lat męczarni. Nierozwiązywane, narastające konflikty w klasie, nieudane wycieczki, niemożność uzyskania wsparcia dla potrzebującego go ucznia – krótko mówiąc: szkolny koszmar.

Twórczy dyrektor próbuje kombinować – jeśli ma pieniądze, znajdzie szkolenie rozwijające kompetencje pedagogiczne nauczyciela, który niechętnie zostaje wychowawcą. Spróbuje kogoś przesunąć, komuś coś dodać, komuś odebrać. Jeśli jest szczególnie kreatywny, stara się mieć (jak to w niektórych społecznych szkołach) klasy, którymi opiekuje się dwoje wychowawców, albo klasy pozbawione wychowawcy. W tym drugim przypadku każdy uczeń może mieć swojego tutora, opiekuna, wybranego spośród wszystkich osób zatrudnionych w szkole. To do tutora zwraca się, gdy ma problem z nauką, innym uczniem czy nauczycielem albo z poczuciem utraty sensu życia.

Ale do kogo ma przyjść rodzic, jeśli jego dziecku trafił się i zły nauczyciel, i zły dyrektor? Nie ma do kogo. Może albo zacisnąć zęby i odliczać z dzieciakiem miesiące do skończenia szkoły, albo poszukać nowej placówki, modląc się, żeby tam było lepiej.

Anna: Przecież my wiemy, jak kto uczy. Wychowawca manewruje tak, żeby jego klasa dostała dobrych nauczycieli, przynajmniej od najważniejszych przedmiotów. To w jego interesie, bo inaczej on obrywa, do niego mają pretensje uczniowie i nauczyciele. Dyrekcja też wie i daje mniej kompetentną polonistkę do klasy biologiczno-chemicznej, a słabą matematyczkę do klasy humanistycznej. Bo jeśli nie są

młodymi początkującymi nauczycielami albo zatrudnionymi na czas określony, to niestety nie można się ich pozbyć.

Nasza szkoła zatrudniła geografa, nauczyciela mianowanego. Po dwóch latach zgłosiła się do pracy młoda rewelacyjna nauczycielka. Starego geografa nie można było zwolnić. Szkoła próbowała jak najwięcej klas przypisać nowej nauczycielce. Wtedy geograf odwołał się do Karty Nauczyciela, w której napisano, że ma prawo do pełnego pensum, i niestety przejął większość uczniów. Wszyscy wiedzieli, że jest gorszy, nudzi, źle uczy. I dzieci, i rodzice, i dyrekcja chcieli, żeby uczyła młoda nauczycielka. Ale nic nie można było zrobić.

Jedyne, co pozostało w takiej sytuacji, to męczyć złego nauczyciela hospitacjami, wymagać od niego szkoleń, odnotowywać skargi. Ale to wszystko trwa. Zatem przy tworzeniu planu na nowy rok szkolny wychowawcy robią podchody i walczą o najlepszych nauczycieli dla swojej klasy.

Olga Skolimowska: Jestem bardzo zaangażowana w to, co robię, i wiem, że być może jestem wyjątkiem. Ale akurat w moim przedszkolu pracują same wyjątki. Być może to dlatego, że jesteśmy nową placówką? Nasza pani dyrektor sama dobrała sobie kadrę.

Katarzyna Kabzińska: Wśród nauczycieli bardzo często panuje opinia, że jeśli ktoś nie jest surowy i krzykliwy, to znaczy, że jest niezbyt dobrym nauczycielem i na pewno uczniowie wejdą mu na głowę. Kolega skarży mi się, że ma kłopot, bo klasa rozrabia na lekcji. Prosi: „Może pani wejdzie na lekcję i na nich huknie?”. I potem jest niezadowolony z tego, że ja przychodzę i zamiast huknąć, rozmawiam. Albo nie rozmawiam, tylko obserwuję. I widzę, że problem tkwi w tym, że część dzieci nic nie rozumie. Mówię koledze: „Te cztery osoby na końcu nie rozumieją”. „A skąd pani wie? Powiedziały pani? Bo jak pytałem, kto nie

rozumie, to nikt się nie zgłosił”. Pewnie, że się nie zgłosił! Żadne dziecko w takiej sytuacji się nie zgłosi!

Ale dobry nauczyciel wie, że ten, kto rozumie, odzywa się, zgłasza. Ten, kto nie rozumie, kiwa głową. Tamta czwórka z tyłu kiwała głowami.

Pytam ich: „To od kiedy nie rozumiecie?”. I nagle pół klasy mówi: „Od początku”. Zaproponowałam, żeby każdy napisał na kartce, anonimowo, czego nie rozumie, czego nie umie. Nauczyciel był zszokowany.

Innym razem widzę, że nauczycielka całą lekcję stoi przodem do tablicy. Przez czterdzieści pięć minut nie nawiązuje kontaktu wzrokowego z dziećmi. Taki sposób uczenia jest nieskuteczny.

Z., ośrodek szkolenia nauczycieli: Nigdy w żadnym zawodzie nie będzie tak, że wszyscy są artystami.

Renata: Wchodzę do sekretariatu we wrześniu i widzę, że uczennica trzeciej klasy zabiera papiery. Pytam dlaczego. „Bo nauczycielka powiedziała, że nie dopuści mnie do matury”. We wrześniu! Jakim głąbem jest nauczyciel, który we wrześniu mówi dziecku, że go nie dopuści do matury?!

Przychodzi do mnie uczeń i płacze, bo polonistka postawiła mu jedynkę i zapowiedziała, że na koniec semestru też na pewno będzie mieć jedynkę. Nie dlatego, że się nie uczy. Dlatego, że jedynym pomysłem tej pani na uczenie jest zastraszanie. Udowodnić, że uczeń nie zna materiału – to ją zajmuje bardziej niż przekazywanie wiedzy. A dziecko płacze nawet nie z powodu tej oceny, ale z upokorzenia.

Anna: Wielu anglistów ma niską samoocenę. Nie zawsze są dobrze wykształceni, bo na przykład musieli szybko się przestawić z nauczania rosyjskiego albo od dwudziestu lat nie byli w Anglii. A uczą dzieci, które dobrze mówią po angielsku lub myślą, że tak jest. Kiedy uczeń, który uważa, że jest świetny

z angielskiego i na jego szacunek trzeba sobie zasłużyć, atakuje nauczyciela, to on się boi. Bo wie, że w domu ucznia uważają, że w szkole nie nauczy się języka obcego. A coraz częściej – że niczego się tu nie nauczy.

Kilka lat temu dyrekcja postanowiła, że zrobi mnie przewodniczącą szkolnego zespołu anglistów (mamy w szkole dwunastu nauczycieli angielskiego). Moim celem było zachęcenie koleżanek i kolegów do uatrakcyjniania lekcji. Pomyślałam: zrobmy obserwacje koleżeńskie, każdy z nas pracuje inaczej, możemy coś podpatrzeć i dzięki temu uatrakcyjnić własne lekcje. Do mnie na lekcję przyszły trzy osoby, na swoją zaprosiła mnie jedna i to głównie po to, żeby się poskarżyć, że dyrekcja nie chce kupić do jej pracowni tablicy multimedialnej.

Zrobiłam ankietę wśród uczniów, żeby się dowiedzieć, co chcieliby zmienić na lekcjach. Wynikało z niej jednoznacznie, że zależy im na tym, by ograniczyć naukę z podręcznika. Przedstawiłam wyniki kolegom. Pokiwali głowami i tyle. Nic się nie zmieniło.

Po kilku latach zrezygnowałam z bycia przewodniczącą zespołu anglistów.

Ewa Narożniak: Trzeba się bardzo, ale to bardzo pilnować, kiedy się żartuje, bo łatwo można przekroczyć granicę, a uczniowie mają różną wrażliwość.

Moja szkoła rezygnuje z pewnych przejawów władzy dorosłych nad uczniami – nie ma ocen, nie pytamy przy tablicy, nie można u nas nie zdać. Jednocześnie nadal trzeba się bardzo pilnować, żeby swojej władzy nie wykorzystać.

Paradoksalnie w twardej, systemowej szkole, opartej na władzy i posłuszeństwie, uczeń jest bardziej chroniony przed nadużyciem.

Na przykład dlatego, że nie ma uwikłań towarzyskich, bo tam raczej nauczyciele nie kumplują się z uczniami, nie przyjmują ich do znajomych na FB.

Beata: Mój syn lubi swoją wychowawczynię. Kiedy on jest zadowolony, ja też jestem. A co o niej uważam, to już moja sprawa. A sądzę, że ona jest... przeciętna. Kiedy słyszę na wywiadówce u synka, że nie można zorganizować zielonej szkoły, bo dzieciaczki są za małe, to myślę sobie: „Hm. Serio?”. Ale nie odzywam się, bo czuję solidarność zawodową z tą panią. Nie pouczam jej, bo sama nie lubię być pouczana.

Oczywiście ta solidarność ma swoje granice: kiedy moi uczniowie mówią, że jakaś nauczycielka nazwała kogoś debilem, nie będę jej broniła.

Katarzyna Kabzińska: Nauczycielowi, który ma problem z nawiązaniem relacji z uczniami, zainteresowaniem lekcją, daję wskazówki, bazując na swoim doświadczeniu i obserwacjach, próbuję rozmawiać. Podejrzewam, że mnie nie słucha, tylko potakuje. Ale ja jestem uparta, nalegam na wprowadzanie zmian, nie ustępuję.

Nie ma nic gorszego u nauczyciela niż poczucie własnej nieomyślności. Trzeba się uczyć – także od koleżanek i kolegów. Kiedy obserwuję lekcje moich kolegów i koleżanek i widzę coś fajnego, twórczego, to korzystam z ich pomysłów.

Ostatnio hospitowałam lekcję przyrody u maluchów. Nie wyobrażałam sobie, że z takimi dziećmi można przeprowadzić doświadczenie, a koleżanka wzięła jabłko, umieściła je pod kloszem, a maluszki prowadziły obserwację, opisywały przebieg doświadczenia, jego skutki i wyciągały własne wnioski.

Z kolei matematyczka dzielenie z resztą omawiała, bawiąc się z dziećmi w zakupy.

Szkoła nie musi wyglądać jak w *Ferdydurke*.

Aniela, emerytowana nauczycielka chemii, korepetytorka: Nauczyciel, któremu nic się nie chce (a jest takich sporo), ma do wyboru dwie strategie: może się obijać, udawać, że uczy, i udawać, że rozlicza uczniów z tego, czego się nauczyli, albo może udawać, że uczy, ale bardzo dużo wymagać od uczniów. W tym drugim przypadku oni, żeby przetrwać, są skazani na korepetycje.

Sylwia Chwedorczyk: Na pierwszym zebraniu rady pedagogicznej w liceum muzycznym, w którym zaczęłam pracować, usłyszałam, że w szkole najważniejsze są trzy sprawy: żeby uczniowie się nie spóźniali, żeby zmieniali obuwie i żeby nie palili. Zrozumiałam, że będę musiała odejść, chyba że zrobię rewolucję. Nie miałam na to siły. Odeszłam.

Z.: Znam wykładowców, którzy odeszli z uczelni pedagogicznych, bo uznali, że nie mają tam z kim pracować i kogo uczyć. Reforma edukacji powinna się zacząć od zmiany systemu kształcenia nauczycieli. Ale dopóki nauczyciel zarabia tyle co sprzątaczką, nie będzie selekcji do zawodu jak w Finlandii.

Renata: Przychodzi do mnie licealistka i mówi, że pani od angielskiego ją poniża. Na dowód puszcza nagranie z komórki. Co robię? Mówię jej, żeby nikomu go nie pokazywała, bo nie wolno nagrywać nauczycieli, i idę do dyrektorki. Robimy burzę mózgów i wpadamy na pomysł ankiety. Uczniowie mają anonimowo dokończyć zdania typu: „Najbardziej podoba mi się na angielskim to, że...”, „Boję się, gdy...”. W osiemdziesięciu procentach ankiet dzieci piszą, że pani je wyzywa, przedrzeźnia, wyśmiewa, zastrasza. I niczego nie uczy. Puszcza klasie film, a sama w tym czasie robi coś na telefonie komórkowym. Przedstawiam wyniki ankiet, nauczycielka wszystkiemu zaprzecza. Ale to jeszcze nie koniec. Bo za miesiąc

zdaje egzamin na nauczyciela dyplomowanego. I co z tym zrobić? Dyrektorka nie zwolni jej „tylko” dlatego, że jest nieprofesjonalna. Nie zwolni jej, bo nie może, a także dlatego, że nie ma nikogo na jej miejsce. Całe szczęście, że ta pani, choć wszystkiego się wyparła, to po obejrzeniu ankiet trochę przystopowała. Według mnie jedna trzecia nauczycieli w tej szkole nie nadaje się do tej pracy.

Aneta Korycińska: W zespole szkół, w którym pracowałam, dyrektor złapał ucznia za rękę i mu ją wykręcił. Chłopak się poskarżył, wszystko nagrała kamera, więc był dowód. Ale dyrektor zeznał, że chłopak mu groził. I nic nie można było zrobić.

Dla mnie pojęcie złego nauczyciela jest złożone: to zły człowiek, czyli taki, który nie stawia dobra uczniów na pierwszym miejscu, który działa dla układów, pieniędzy, władzy, zachowania stanowiska. Ale zły nauczyciel to też taki, który dyktuje notatki i jest nudziarzem; to człowiek, który nie inspiruje i który krytykuje na przykład wiarę (mówię to jako niewierząca), czyli sprawia, że wierzący uczniowie mogą czuć się źle na jego lekcji. Oczywiście to dotyczy także wszelkich mniejszości. Myślę, że niedobrego nauczyciela łatwo rozpoznać, wystarczy obserwować i posłuchać, czy mówi z zaangażowaniem i co mówi.

Dzieci z korepetycji często źle wypowiadają się o swoich nauczycielach: że nudni, że nie ogarniają, nie oddają sprawdzonych prac, nie tłumaczą. Mam też jednak świadomość tego, że ocena w dużej mierze może być nieobiektywna, bo jest z perspektywy młodej osoby, a nauczyciel może twierdzić, że robi wszystko, jak trzeba. Trudno nam bowiem dostrzec swoje błędy. Na dodatek nauczyciele są bardzo dumnymi ludźmi; osobiście odbierają każdą uwagę.

Proszę nie myśleć, że jestem idealną nauczycielką, na pewno nie dla każdego i ciągle się czegoś o sobie dowiaduję. Na przykład jeden z moich absolwentów, z którymi mam dobry kontakt, po latach mi powiedział, że nigdy nie zapomni komentarzy w wypracowaniach. Ostatnio dowiedziałam się, że sześć lat temu pod wypracowaniem ucznia z pierwszej klasy zadałam pytanie, czy sam napisał tę pracę. Dodałam do tego uśmiechniętą emotkę. Okazało się, że odebrał to jako zwątpienie w jego zdolności i ironię, a ja chciałam dobrze. Kiedyś emerytowana polonistka powiedziała mi, że świata nie zbawię (długo w to wątpiłam), ale ważne, bym miała chociaż jedną genialną lekcję w tygodniu i pomogła jednej osobie w klasie. Właśnie to świadczy o tym, że jest się w dobrym miejscu. To nie jest łatwy zawód, to nieustanne występowanie na scenie i bycie ocenianym.

Beata: Jedna trzecia moich koleżanek powinna stracić pracę. I przypuszczam, że dyrektorka o tym wie. Ale nie zwolni ich. Po pierwsze dlatego, że nie może, po drugie dlatego, że nie znajdzie nikogo na ich miejsce. Koleżanek nie da się usunąć, bo one nie robią nic złego. Nie wyzywają dzieci, nie naruszają swoich obowiązków w rażący sposób. Po prostu kiepsko uczą. To nawet widać w rankingu – szkoła, która kilkanaście lat temu była najlepsza w regionie, teraz jest na końcu. Ale to nikogo nie obchodzi.

Olga Skolimowska: Mam szczęście, bo pracuję wśród samych entuzjastów, w zespole świetnych ludzi. Czy to znaczy, że nie popełniamy błędów? Popełniamy. Zdarza się, że nauczyciele informują rodzica tylko o tym, co jego dziecko robi źle, zapominając o mocnych stronach, o pochwałach. To jest, niestety, dość częste. Ale tych złych rzeczy nie wolno nam pominąć w rozmowie z rodzicami, bo one wpływają na funkcjonowanie całej grupy.

B., dyrektorka kameralnego zespołu szkół niepublicznych w niedużym mieście: Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że u mnie nie pracują źli nauczyciele. Ja cenię mój zespół. Ale... mówię czasem, że mamy dzieci specjalnej troski i nauczycieli specjalnej troski. Jedni i drudzy są bardzo krusi, łatwo ich dotknąć, zranić. Zanim któremukolwiek z dydaktyków zwrócę uwagę, trzy razy się zastanowię. Nawet delikatne pytanie: „Słuchaj, a co myślisz o tym, żeby spróbować podejść do tego tematu w inny sposób?” już powoduje, że nauczyciel się denerwuje: „To ja źle pracuję?!”, „Do niczego się nie nadaję!”. To się zmieniło po pandemii, wcześniej nie było w nich tyle napięcia.

Z.: Zaczynamy szkolenie, nauczycielki schodzą się pół godziny. Obrażają się, gdy zwracam im uwagę. Tłumaczą się jak dzieci: ktoś był w toalecie, ktoś musiał coś załatwić, a w ogóle to o co mi chodzi. Już widzę, jak by przyjęli takie usprawiedliwienie, gdyby mój syn spóźnił się na lekcję! Najgorzej jest na szkoleniach wyjazdowych, które myślą im się z integracjami. Raz podjeżdżamy autokarem pod ośrodek i okazuje się, że nie ma szansy na realizację programu, bo w autobusie wszyscy są pijani.

Rozmowy, które przeprowadziłam, by napisać ten rozdział, były dla mnie potwornie przygnębiające. Dla uczniów to ogromna strata, gdy szkołę opuszcza świetna nauczycielka. Ale gdy dzieje się tak, że musi ona odejść, bo nie radzi sobie z odrzuceniem ze strony szefostwa i współpracowników, niesprawiedliwość wydaje się podwójna. A już strasznie boli, gdy wszyscy wiedzą, że jedna osoba uczy dobrze, druga źle, ale to ta druga zostaje w pracy, gdy trzeba zredukować liczbę etatów.

Zastanawiałam się, czy moi wyimaginowani rodzice – Kowalski i Malinowska – zgodziliby się co do tego, jakie cechy powinien mieć dobry nauczyciel. Ustawodawca takiego dylematu nie ma, bowiem według ustawy oświatowej nauczyciel powinien:

- rzetelnie realizować zadania związane z powierzonym mu stanowiskiem oraz podstawowymi funkcjami szkoły: dydaktyczną, wychowawczą i opiekuńczą, w tym zadania związane z zapewnieniem bezpieczeństwa uczniom w czasie zajęć organizowanych przez szkołę,
- wspierać każdego ucznia w jego rozwoju,
- dążyć do pełni własnego rozwoju osobowego,
- doskonalić się zawodowo, zgodnie z potrzebami szkoły,
- kształcić i wychowywać młodzież w umiłowaniu Ojczyzny, w poszanowaniu Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej, w atmosferze wolności sumienia i szacunku dla każdego człowieka,
- dbać o kształtowanie u uczniów postaw moralnych i obywatelskich zgodnie z ideą demokracji, pokoju i przyjaźni między ludźmi różnych narodów, ras i światopoglądów.

Dość ogólne, prawda? Już sobie wyobrażam kłótnię Kowalskiego z Malinowską o to, czy pani od historii wychowuje dzieci „w atmosferze wolności sumienia i szacunku dla każdego człowieka”! Jak stwierdzić, czy wuefista dąży do pełni własnego rozwoju osobowego? Dyrektor szkoły musi to wiedzieć, bo to jego obowiązkiem jest ocenianie co pięć lat każdego nauczyciela i każdej nauczycielki. Żeby było mu trochę łatwiej, zarządzenie ministra edukacji doprecyzowuje nieznacznie, co konkretnie należy wziąć pod uwagę. Są to:

- poprawność merytoryczna i dydaktyczna prowadzonych zajęć,

- dbałość o bezpieczne i higieniczne warunki pracy,
- znajomość praw dziecka,
- wspieranie każdego ucznia,
- kształtowanie u uczniów szacunku do drugiego człowieka, świadomości praw, postaw obywatelskiej, patriotycznej i prospołecznej,
- poszerzanie wiedzy i doskonalenie umiejętności,
- diagnozowanie potrzeb i możliwości ucznia,
- wykorzystanie w pracy wiedzy i umiejętności nabytych w wyniku doskonalenia,
- podejmowanie innowacyjnych rozwiązań programowych lub metodycznych,
- pobudzanie inicjatyw uczniów.

Żeby dostać pozytywną ocenę pracy, trzeba spełnić kryteria w co najmniej pięćdziesięciu pięciu procentach. Jeśli się ich nie spełni, dyrektor może rozwiązać umowę o pracę z nauczycielem.

Zasady zwalniania z pracy nauczyciela określają Kodeks pracy i Karta Nauczyciela. W Karcie szczegółowo wymienia się sytuacje, w których dyrektor może zwolnić nauczyciela dyplomowanego lub mianowanego (czyli najwyższych rangą specjalistów). Te sytuacje to:

- całkowita lub częściowa likwidacja szkoły,
- zmniejszenie liczby oddziałów w szkole,
- zmiana planu nauczania uniemożliwiająca zatrudnianie nauczyciela na pełen etat,
- niezdolność nauczyciela do pracy powyżej stu osiemdziesięciu dwóch (w przypadku większości chorób) lub dwustu siedemdziesięciu dni (w przypadku gruźlicy lub ciąży),
- orzeczenia przez lekarza niezdolności nauczyciela do pracy,

- dwukrotne nieusprawiedliwione niezgłoszenie się na badania okresowe,
 - cofnięcie skierowania nauczyciela do nauczania religii,
 - uzyskanie negatywnej oceny pracy.
-

[1] M. Smak, D. Walczak, op.cit, s. 4.

Kryminalna biurokracja

Nauczyciele i dyrektorzy mają również poczucie, że liczba dokumentów, które muszą wypełniać – planów, sprawozdań, raportów i rozliczeń – sprawia, że ich praca w mniejszym stopniu polega na uczeniu, a w większym na sprawozdawczości[1].

Polskie prawo oświatowe jest pełne fascynujących paradoksów. Na przykład nauczyciel, co nie budzi z reguły niczyjej wątpliwości, odpowiada za bezpieczeństwo dziecka. To oznacza, że nie może spuścić ucznia z oka. Jeśli to zrobi, a on w tym momencie poślizgnie się na skórce od banana i rozbije głowę, odpowiedzialność za wstrząśnienie mózgu spada nie na matołkę, który nie trafił skórką do kosza, ani drugiego, który na nią wlaźł i upadł, tylko na opiekuna.

Zgaduję: nadal nie budzi to w Tobie, Czytelniku, większych kontrowersji, taka robota – są dzieci, jest pilnowanie. To teraz zagadka: co ma zrobić nauczycielka prowadząca lekcję, gdy jedno z dzieci pyta, czy może iść do toalety?

Zgodnie ze zdrowym rozsądkiem powinna powiedzieć: „Idź, tylko wracaj szybko, bo będę opowiadać ciekawe rzeczy o afrykańskiej żabie byk”.

Zgodnie z polskim prawem oświatowym powinna powiedzieć: „Nie ma mowy, zaciśnij zęby i czekaj do przerwy”, nie wolno jej bowiem ani na chwilę zostawić dziecka bez dozoru. Ani tego, które chciałoby pójść do toalety, ani reszty klasy, która mogłaby pod jej nieobecność zacząć się ślizgać na bananowych skórkach.

Za złamanie zakazu nauczycielce grozi kara dyscyplinarna. I – nie do wiary – według informacji Związku Nauczycielstwa Polskiego w 2019 roku kilkoro pedagogów ukarano za puszczenie dziecka do ubikacji.

Żeby było jasne: jeśli nauczycielka nie pozwoli dzieciakowi opuścić sali lekcyjnej (kto z nas nie usłyszał nigdy warknięcia:

„Od tego jest przerwa!”, gdy pytał nieśmiało, czy może na chwilę wyjść?), a dziecko zsiusia się w majtki – może dostać naganę za dopuszczenie do publicznego upokorzenia dziecka.

Nie ma więc dobrego rozwiązania, każdy musi sam oszacować, która decyzja jest bezpieczniejsza. Dla dziecka i dla dorosłego.

Nauczyciel odpowiada za bezpieczeństwo dziecka niezależnie od tego, czy jest ono zdrowe czy przewlekłe chore, sprawne czy dotknięte niepełnosprawnością. Odpowiada za dobrostan dziecka z zaburzeniami zachowania i tego, które jest z nim w grupie. To oznacza, że nauczycielce, która pozwoliła trzynastoletniemu chłopcu z zastawką w głowie wracać do domu pod opieką kolegi, mimo że chłopca bardzo mocno bolała głowa, grozi do pięciu lat więzienia. Chłopiec jest sparaliżowany. Nauczycielka prawdopodobnie zapomniała, że gdy akurat tego ucznia boli głowa, trzeba natychmiast wzywać rodziców i pogotowie.

Ta odpowiedzialność za wszystko, co się zdarzy, oznacza, że przedszkola odmawiają przyjęcia dziecka chorego na cukrzycę. Bo nauczycielki boją się odpowiedzialności karnej i nie mają prawa podać zastrzyku z insuliną. Ba – nie mogą podać leku przeciwbólowego dostępnego w każdej aptece bez recepty, nawet jeśli dzieciak cierpi.

Odpowiedzialność sprawia też, że szkoła wzywa policję, gdy siedmiolatek podczas zabawy uderzy koleżankę kijem w oko, co finalnie skutkuje rozprawą przed sądem rodzinnym, ponieważ policja wezwana do szkoły ma obowiązek puścić sprawę dalej. Nawet jeżeli zarówno dzieci, jak i ich rodzice pogodzili się i podali sobie rękę.

Z.: Ta papierologia to kryminał. Bycie dyrektorem w polskiej szkole wiąże się głównie z wypełnianiem papierów. Gdy dyrektor chce się zająć tym, co lubi, czyli pracą z ludźmi,

planowaniem, musi delegować zadania, czyli zepchnąć papiery na zastępcę. Dlaczego?

Dyrektor odpowiada za wszystko, co się wydarzy w szkole, dlatego na wszystko, absolutnie wszystko, musi mieć papier, powszechnie nazywany dupokrytką. Notatkę z wydarzenia, protokół z podpisami wszystkich uczestników. Jeśli na wycieczce do kina coś się stanie, odpowiedzialność ponosi dyrektor i nauczyciel, który poszedł z klasą. I jeżeli nie będą mieli dokumentu poświadczającego, że coś zrobili, żeby się zabezpieczyć przed nieszczęściem, czekają ich nieprzyjemności.

Dlatego myślę, że w Polsce, by być nauczycielem, trzeba mieć bardzo dużo odwagi.

Basia: Nie wolno mi dotknąć dziecka, bo mogę zostać oskarżona o naruszenie nietykalności. Więc kiedy jest przerwa i dwóch chłopców się bije, mogę tylko nad nimi stać i prosić, żeby przestali. Nie wolno mi ich rozdzielić, bo wtedy musiałabym ich dotknąć. Ale jednocześnie muszę ich rozdzielić, bo odpowiadam za ich bezpieczeństwo i jeśli jeden drugiemu coś zrobi, to ja będę winna.

Zdrowy rozsądek podpowiada, że jednak większe zagrożenie stanowi bójka, więc ich rozdzielam, mając nadzieję, że na mnie nie doniosą.

A.: Od paru lat kontakt nauczyciela z dzieckiem jest obarczony niezwykłą papierologią i absurdami. Na wycieczce, nawet kilkudniowej, nie można dać dzieciom wolnego czasu. Ani chwili. Teoretycznie nie wolno mi spać, bo wtedy nie opiekuję się dziećmi.

Kolejna kwestia: ucznia w zasadzie nie można relegować ze szkoły, nawet gdy się upije. A uczniowie, oczywiście, piją. W związku z tym przestaliśmy robić szkolne dyskoteki.

Dorota Oleszczak, polonistka z nowego warszawskiego liceum ogólnokształcącego: Konieczność wypełniania dokumentów sprawia, że czterdziestogodzinny etat niekiedy „rozdyma się” do nieokreślonej liczby godzin, co jest frustrujące. Kuratorium może powiedzieć: „Będziemy badać to, jak organizujecie dzieciom czas po lekcjach. Poprosimy raport”.

Z.: Za każdym razem, kiedy pojawia się nowe rozporządzenie ministerstwa edukacji, które zmienia przepisy, organizujemy szkolenie dla nauczycieli wyjaśniające, co to dla nich oznacza. Nawet kiedy wchodzi drobne zmiany programowe, nauczyciele potrzebują pomocy w zrozumieniu tych paragrafów.

A.: Teoretycznie jako nauczycielka mogę wszystko. Praktycznie – niewiele.

Nie mam żadnego wpływu na dobór lektur. Teoretycznie nie muszę w klasie matematyczno-fizycznej omawiać poezji marynistycznej baroku, ale praktycznie powinnam, bo na maturze ustnej pojawia się poezja Morsztyna. I co z tym zrobić? No, omawiam. Omawiam, choć nie muszę, opowiadanie Tokarczuk *Deus ex*, bo przydaje się przy omawianiu Biblii. Robię też Hłaskę, bo dzieci to lubią i żywo reagują na przykład na *Ósmy dzień tygodnia*. A rzadko się zdarza, żeby entuzjastycznie na coś reagowali, bo zwykle wszystkie lektury ich nudzą. A potem gonię z materiałem.

Renata: Moim zdaniem najgorsze w szkole jest to, że wszyscy się boją. Nauczyciel boi się zwierzchników, kolegów, paragrafów, kuratorium. Boi się, że źle uczy albo że uczy nie tego, co trzeba. Dyrekcja? Boi się donosu do kuratorium, wizytatorów, rodziców, kontroli. To sprawia, że w szkole panuje zwyczaj zamykania pod dywan wszystkich problemów. I wzajemnie straszy się konsekwencjami.

Zaprosiłam do siebie tę polonistkę, która zagroziła dziecku jedyнкą. Pytam: „Czego się napijesz?”, ona: „Ja wiem, w jakiej sprawie ty chcesz rozmawiać, ale to nie było tak”. Od razu czuć w jej głosie napięcie, strach, że będę ją oceniać. Mówię spokojnie, że dzieciak się boi, z lęku głupieje i że bardzo bym chciała pomóc. „Zależy mi na tym, by dziecko uwierzyło, że jest w stanie się nauczyć tego polskiego. Czy mogłabyś mi w tym pomóc?”. W odpowiedzi słyszę: „Znam te dzieci, wiem, że one chcą cię wykorzystać”. Ręce opadają.

Spotykam się z dzieckiem. Mówi, że pani postawiła kolejną jedyнкą. „Mnie jest już wszystko jedno, czy się uczę czy nie, efekt jest ten sam”. A ja po paru godzinach pracy indywidualnej widzę, że uczeń ma potencjał. I zauważam, że gdy czyta, gubi spójnik „i”, przez co nie do końca rozumie tekst.

Anna: Mam poczucie, że współczesna szkoła to dziewiętnastowieczne uczenie głupot i marnowanie czasu. Owszem, w moim przekonaniu, żeby móc nauczyć kogoś myśleć, trzeba wcześniej nauczyć go faktów, o których będzie mógł myśleć. Ale... w podstawie programowej tych faktów jest jednak absurdalnie dużo.

Beata: Rozumiem, że w sierpniu muszę oddać plan pracy, bo dyrektor musi wiedzieć, czym będę się zajmować w nowym roku szkolnym. Ale nie rozumiem, po co muszę te same dokumenty wypełniać kilka razy w roku. W kółko to samo. I żeby było jasne: to są papiery, których nikt nie czyta.

W polskiej szkole jest dużo biurokracji, bo wymusza to polski system oświaty, wymagania kuratorium i ministerstwa. Ale jednak nie w każdej szkole wygląda to tak samo, bo nie każdy dyrektor tak samo kocha papierologię. A akurat moja pani dyrektor kocha ją szalenie.

Dorota Oleszczak: Dyrektor może powiedzieć: „To nie jest niezbędne, ale ja tego potrzebuję”. Od dyrektora dużo zależy. Wychowawca musi przygotowywać raporty. W szkole, w której uczę, dostajemy do wypełnienia tabelkę, a są placówki, gdzie wymaga się dłuższych wypowiedzi. W jednej szkole wystarczy raz wpisać rozkład pracy do dziennika elektronicznego i potem tylko kliknąć, żeby zaznaczyć, że temat został zrealizowany. W drugiej trzeba wszystko rozpisywać i na koniec wydrukować.

Po co? „Bo może przyjdzie kontrola z kuratorium i będzie chciała sobie przeczytać”. A nie może tego czytać na komputerze?

Niestety są dyrektorzy, którzy bardzo się boją. I oni starają się być na wszystko przygotowani, żeby tylko nie podpaść. Ten strach przed autorytetem bardzo mi przeszkadzał w poprzedniej pracy.

Z.: Z punktu widzenia dyrektora jest tak, że każdy, ale to każdy problem wiąże się z ryzykiem kontroli i przeglądaniem papierów. To są błędy systemowe, za które obrywają dyrektorzy. Niesłusznie.

Aneta: Jak wszyscy nauczyciele, nie jestem fanką biurokracji, ale po tylu latach w zawodzie wiem, że dokumentację trzeba wypełniać rzetelnie, na bieżąco i systematycznie, żeby nagle pod koniec semestru lub przed spotkaniem z rodzicami nie było dramatu.

Renata: Nauczyciel w Polsce skupia się na biurokracji, bo to z niej jest rozliczany. Dla systemu oświaty mniej ważne jest, jak uczy, czy jest dobry, czy uczniowie go lubią, czy jest wizjonerem. Liczy się to, czy wszystko, co robi, jest zgodne z przepisami. Dlatego polski nauczyciel na każde swoje działanie musi mieć podkładkę prawną. To jest paranoja.

Mam ucznia z depresją. Zamiast zastanowić się, co możemy dla niego zrobić, jak mu pomóc, jak go wesprzeć, mój zwierzchnik chce wypchnąć go do szpitala psychiatrycznego. „Bo jeśli coś się stanie na naszym terenie, to my za to odpowiemy”.

W mojej szkole ważne jest to, żeby nikt nie obciążył nas odpowiedzialnością, a nie to, jak możemy pomagać. Ciągła spychologia.

Kiedy chcę zorganizować warsztaty dla uczniów, słyszę: „Daj spokój, to jest taka młodzież, że im nic nie pomoże”, a w najlepszym wypadku: „Zostaw, to nie jest nasz obowiązek”. Modlę się tylko, żeby moje dzieci nie trafiły na takich nauczycieli w swoich szkołach.

Dorota Oleszczak: Dyrektor szkoły ma bardzo dużo obowiązków i odpowiedzialności, a mało władzy. Nie może zwolnić niedobrego nauczyciela, za to musi „niezwłocznie zgłosić do kuratorium narażenie ucznia na niebezpieczeństwo”.

Z.: Gdyby szkoły przestrzegały wszystkich przepisów prawa oświatowego, nie zorganizowano by żadnej wycieczki szkolnej, żadnego wyjścia do kina, teatru czy na warsztaty stolarskie.

Fundacja Szkoła z Klasą przeprowadziła wywiady z półtora tysiącem polskich nauczycielek i nauczycieli. Wnioski zostały ujęte w opublikowanym na początku 2021 roku raporcie *Rozmawiaj z klasą. Zdrowie psychiczne uczniów i uczennic oczami nauczycieli i nauczycielek*[\[2\]](#).

Z raportu wynika, jak bardzo polscy pedagodzy są udręczeni codzienną szkolną biurokracją, obowiązkiem wypełniania tony papierów, wpisywaniem tych samych informacji w dziennik elektroniczny i papierowy, uzupełnianiem tabel.

Jedna z badanych stwierdza w raporcie z goryczą: „Papier przesłania człowieka. Przepisy ograniczają pracę z młodym człowiekiem. Absurd goni absurd”.

Kolejny problem, na który skarżą się badani przez fundację nauczyciele, to przeładowane programy nauczania i pogoń za ocenami. „*Gubimy człowieka, bo mamy podstawę programową*” – zauważa jedna z nauczycielek. Autorzy raportu podkreślają, iż wiele osób zaznaczało w wywiadach, że gdyby odchudzić podstawę programową i zdjąć z nauczycieli część biurokratycznych obowiązków, uzyskaliby przestrzeń niezbędną do tego, by zająć się tym, co w szkole najważniejsze: pracą z drugim człowiekiem.

Co ważne, mówią o tym nie tylko młode nauczycielki, lecz także osoby z wieloletnim stażem w zawodzie, również z mniejszych ośrodków.

Co ciekawe, choć pedagodzy i rodzice na większość szkolnych tematów zdają się mieć odmienne zdanie i gdzie indziej upatrują przyczyn problemów (to wasza wina, nie – wasza!), w jednym się zgadzamy: coś jest nie tak z programami nauczania, z presją związaną z ocenami i z uczeniem pod egzaminy. Różnimy się w ocenie tego, komu bardziej zależy na wysokim miejscu szkoły w rankingach placówek oświatowych, ale zwykle zgadzamy się, że walka o jak najlepsze stopnie i jak największą liczbę punktów na egzaminach nie jest tym, czego byśmy chcieli od edukacji. Kto towarzyszył dziecku w ósmej klasie, wie, jak to wygląda: od września do kwietnia tydzień w tydzień tłucze się testy i wypełnia arkusze egzaminacyjne z ubiegłych lat, próby egzaminów próbnych. Z polskiego, angielskiego, matematyki. Żegnajcie, ciekawe dyskusje o literaturze i interesujące tematy wypracowań z pogranicza filozofii! Od początku roku szkolnego do samiotek egzaminów państwowych ćwicz się rozprawki pisane i oceniane według wzoru.

Jedno z moich dzieci dostało dostało trójkę za wypracowanie, z którego było szczególnie dumne. Polonistce też się spodobało, dlatego obok oceny napisała krótką recenzję. Pochwaliła pomysłowość i niestandardowe myślenie, tłumacząc, że słaba ocena bierze się stąd, że choć wypracowanie jest bardzo dobre, to nie spełniłoby oczekiwań egzaminatorów sprawdzających arkusze.

Czyli do siódmej klasy moje dziecko uczono na polskim, jak ważne jest samodzielne myślenie, świeże podejście do starych tematów i twórcza odwaga, a od września do kwietnia ósmej klasy nakazywano mu, by myślało jak najbardziej standardowo, starając się odgadnąć życzenia egzaminatorów!

W liceum sytuacja jest podobna: aż do ostatniej klasy wolno uczniowi myśleć i interpretować, na rok przed maturą trzeba z tym skończyć. A ponieważ wynik testów jest ważny nie tylko dla ucznia, lecz także dla szkoły, która dzięki dobrym stopniom zdobywa wysoką pozycję w rankingu, to presja rośnie.

W Finlandii jest inaczej: tam efekty pracy nauczycieli i szkół nie są oceniane na podstawie testów czy wizytacji. Tamtejszy system oświaty wierzy, że wyprodukował tak dobrych specjalistów od edukacji, że nie musi ich kontrolować. Timothy D. Walker, amerykański nauczyciel, który przeprowadził się do Finlandii i pracował w fińskiej szkole, w książce *Fińskie dzieci uczą się najlepiej. Co możemy zrobić, by nasze dzieci były szczęśliwsze, wierzyły w siebie i lubiły szkołę?* tak pisze o fińskiej kulturze zaufania: „*Finowie są przekonani, że nauczyciele potrafią doskonale wywiązywać się ze swoich obowiązków bez żadnych nacisków zewnętrznych – i w rezultacie wszyscy są dzięki temu szczęśliwsi*”[3].

Szczęśliwsi dzięki wzajemnemu zaufaniu! Boję się, że tej umiejętności ufania innym nie zdoła wprowadzić żadna reforma systemu oświaty w Polsce.

[1] M. Smak, D. Walczak, op.cit, s. 32.

[2] *Rozmawiaj z klasą. Zdrowie psychiczne uczniów i uczennic oczami nauczycieli i nauczycielek.* Raport z badania, Fundacja Szkoła z Klasą, www.szkolazklasa.org.pl.

[3] T. D. Walker, *Fińskie dzieci uczą się najlepiej. Co możemy zrobić, by nasze dzieci były szczęśliwsze, wierzyły w siebie i lubiły szkołę?*, Wydawnictwo Literackie 2017, s. 99.

Bardzo małe pieniądze

Kwestia postrzegania poziomu wynagrodzenia nauczycieli jest złożona. Sami nauczyciele uważają, że zarabiają mało. Ocena wysokości wynagrodzenia zależy w dużej mierze od wysokości wynagrodzenia pracowników na lokalnym rynku pracy. Badani nauczyciele, szczególnie ci pracujący w szkołach wiejskich, biorą pod uwagę kontekst lokalny, uznając wysokość wynagrodzenia nauczycieli za relatywnie wysoką[1].

To było szczególnie dobrze widać podczas strajku: nauczyciele mówili, że walczą o godność i lepsze pieniądze, a w mediach społecznościowych rodzice uczniów rzucali im się do gardeł z okrzykiem: „Jaka praca, taka płaca”, wypominając dwumiesięczne letnie wakacje, ferie zimą i etat liczący osiemnaście godzin tygodniowo. Im dłużej trwał strajk, tym większa była frustracja obu stron. Tych, którzy widzieli, że nieuchronnie przegrywają, że rządzącym, z przedstawicielami MEN na czele, udało się nastawić opinię publiczną przeciwko nim, i rodziców, którzy ganiłi między pracą, supermarketem a domem, gdzie trzeba było zorganizować opiekę dzieciom niechodzącym do szkoły z powodu strajku nauczycieli. W tle lęk – jednych o naukę, o egzaminy i matury ich dzieci, drugich – o to, z czego będą żyć, kiedy dostaną pensję obniżoną o dni strajku. Im dłużej to trwało, tym bardziej polaryzowały się poglądy obu grup. Nauczyciele odmalowywali straszny obraz swojego życia, od świtu do późnego wieczora poświęcanego lekcjom, przygotowywaniu zajęć, sprawdzaniu prac i doksztalcaniu się, rodzice – przeliczali niskie pensje na małą liczbę godzin pracy i wychodziła im stawka godzinowa lepsza niż u nich w firmie.

Jaka jest prawda?

Ile pracują nauczyciele? Osiemnaście godzin tygodniowo czy pięćdziesiąt? Ile mają urlopu? Dwa miesiące latem i dwa tygodnie zimą czy cztery tygodnie wakacji i ledwo parę dni ferii? I dlaczego to ważne?

Łatwo odpowiedzieć jedynie na ostatnie pytanie. To, ile realnie pracują nauczyciele, oraz to, jak pracują, ma znaczenie. Bo tylko wtedy, gdy wiemy, jak wygląda ich roboczy tydzień, możemy ocenić, czy zarabiają za mało, czy też – jak wielu twierdzi – adekwatnie do nakładu pracy.

Zatem ile pracuje się w polskiej szkole?

Pensum nauczycielki szkoły podstawowej lub liceum to osiemnaście godzin. Pensum nauczycielki pracującej z sześciolatkami to dwadzieścia dwie godziny. Pensum w przedszkolu wynosi dwadzieścia pięć godzin, a w bibliotece szkolnej trzydzieści godzin tygodniowo.

Pensum to tzw. godziny tablicowe, czyli lekcje prowadzone z klasą lub zajęcia edukacyjne w grupie przedszkolnej. To jest ta część etatu, którą „widać”, część obiektywna.

Ale tylko część. Bo do godzin tablicowych dochodzi nauczycielska praca domowa: przygotowanie się do lekcji, sprawdzenie klasówek, rozmowy z rodzicami i tym podobne. I o to, ile czasu zajmują te „prace domowe”, toczą się najbardziej emocjonujące spory, także pomiędzy nauczycielami różnych przedmiotów. Można się bowiem domyślić, że polonistka przygotowująca do matury (czytaj: mająca na głowie dużo długich prac pisemnych do przeczytania i skomentowania) poświęca na prace domowe więcej czasu niż fizyczka czy nauczycielka niemieckiego jako drugiego języka. A skoro więcej pracuje, to czy nie powinna więcej zarabiać? Tak to zwykle przecież bywa w prywatnych firmach.

Ale jak sprawdzić, ile pracuje nauczyciel po wyjściu z pracy? Nie ma takiej możliwości.

Karta Nauczyciela, kodeks pracy pedagogów, nie proponuje żadnego sposobu liczenia pracy w domu, jedynie określa, że nauczyciel nie powinien pracować więcej niż czterdzieści godzin tygodniowo, sumując godziny tablicowe i pozostałe.

Z powodu emocji i kontrowersji dotyczących szkolnych etatów część nauczycieli już od kilku lat postuluje, żeby wszyscy pedagodzy pracowali od ósmej do szesnastej, w stałych godzinach i – jak większość pracowników etatowych – na terenie firmy, czyli w ich przypadku szkoły.

Ale wtedy pojawiłby się kłopot z organizowaniem wywiadówek (ilu rodziców będzie raz w miesiącu urywać się z pracy, żeby zdążyć na spotkanie z wychowawcą dziecka? Ci, którzy mają kilkoro dzieci, chyba w ogóle przestaliby pracować!), byłby też problem, gdzie ich wszystkich pomieścić. Zapewnienie warunków do pracy umysłowej kilkudziesięciu osobom w przepełnionych szkolnych budynkach dziś wydaje się utopią. Nie mówiąc już o tym, że wtedy szkoły musiałyby swoim pracownikom zapewnić szybkie łącze internetowe, komputery, drukarki, papier i ksero, a wiemy, jakie możliwości ma publiczna oświata pod tym względem. Niemal żadne. Nauczyciele zgodnie mówią to samo: tonery do drukarki, papier do ksero, kleje, teczki i segregatory kupią albo za własne pieniądze, albo za wyżebrane od rodziców. Ci najbardziej sfrustrowani piszą na grupach FB dla pedagogów, że już ani nie proszą o składkę na toner, ani nie kupują sami. Po prostu przestają cokolwiek przynosić do szkoły. Robią tylko to, co muszą. No dobrze, a czy przeniesienie nauczycieli do pracy w szkołach w godzinach od ósmej do szesnastej miałoby jakieś plusy? Na pewno i rodzicom, i uczniom łatwiej byłoby skontaktować się z nauczycielem, skoro – jak w urzędzie – godziny przyjęć byłyby określone. Realne godziny pracy pozatablicowej zostałyby policzone i zobiektywizowane. Z jednej strony trudno byłoby już pisać w internecie

o „nierobach” pracujących osiemnaście godzin na tydzień, z drugiej – mogłoby się okazać, że jednak mówienie o pięćdziesięciogodzinnym tygodniu pracy przeciętnej polonistki jest pewnym, jakby to powiedzieć... zaokrągleniem w górę.

Ale wreszcie nikogo nie obchodziłoby to, co nauczycielka robi po wyjściu ze szkoły. Bo mogłaby spokojnie leżeć i czytać szwedzkie kryminały z wyłączoną komórką. Albo leżeć i pachnieć, czy też, co najbardziej prawdopodobne, siedzieć i dorabiać.

Bo, co ciekawe, wysokość zarobków w szkole w niewielkim stopniu zależy od liczby godzin przepracowanych w tygodniu. Przede wszystkim zależy od stopnia awansu zawodowego. Ministerstwo edukacji określa minimalne zarobki na każdym szczeblu. I tak od 1 września 2022 roku nauczyciel początkujący, czyli najniższy rangą, tuż po studiach, dostaje nie mniej niż 3432 złote brutto, nauczyciel mianowany – 3597 złotych brutto, a nauczyciel dyplomowany – 4224 złote brutto.

Od stycznia 2023 roku nauczycielskie pensje mają wzrosnąć o niespełna 8 procent, ale nie do końca wiadomo, CZEGO to będzie procent[2]. Brzmi dziwnie? Bo jest to dziwne. Jeszcze w końcu września 2022 roku wiceprezes ZNP, Krzysztof Baszczyński, mówił dziennikarzom, że nie wie, czy obiecane 7,8 procent podwyżki uwzględnia już przyznaną nauczycielom w maju 2022 roku podwyżkę w wysokości 4,4 procent, czy też będzie to całe 7,8 procent. Mało tego – jeszcze jesienią nie wiadomo było, czy chodzi o wzrost pensji bazowej, tej minimalnej, czy też chodzi o średnią nauczycielską podwyżkę. Różnica jest o tyle istotna, że o ile początkująca nauczycielka, tuż po studiach, dostaje gołą pensję, to nauczycielka z doświadczeniem i awansem zawodowym – zauważalnie wyższą.

Co oprócz podstawowej pensji składa się na nauczycielski dochód?

Na początku roku nauczyciele dostają trzynastkę w wysokości 8,5 procent dochodów z całego minionego roku.

Do tego mogą dojść dodatki:

- za wysługę lat (1 procent rocznie, maksymalnie 20 procent „gołej” pensji),
- za wychowawstwo (dodatkowe 300 złotych brutto, chyba że samorząd, któremu podlega szkoła, zechce tę kwotę podnieść; w Warszawie w tym roku dodatek ten wynosi 380 złotych),
- za opiekę nad nauczycielem odbywającym staż przed awansem zawodowym,
- za pracę na terenie wiejskim (jego wysokość określa samorząd),
- uznaniowy dodatek motywacyjny przyznawany przez dyrektora szkoły,
- nagrody z okazji Dnia Edukacji Narodowej,
- dodatkowo płatne, co oczywiste, są ewentualne nadgodziny i zastępstwa, a także praca w szkołach specjalnych.

Dodatek funkcyjny dla dyrektora może się wahać od 700 do 3000 złotych, w zależności m.in. od wielkości szkoły.

Gdy liczy się nauczycielskie zarobki, trzeba pamiętać o tym, że ucząc przedmiotów, które mają niewiele godzin w programie (na przykład geografii, fizyki czy chemii), trudno jest łączyć cały etat, zwłaszcza w jednej szkole. Znaczna część nauczycieli tych przedmiotów pracuje więc w kilku placówkach lub dorabia poza szkołą. To drugie rozwiązanie częściej wybierają (raczej z konieczności niż z wyboru) nauczyciele z mniejszych miejscowości, gdzie jest mniej szkół lub tak duże odległości między nimi, że koszty dojazdu pochłaniałyby znaczną część dochodu. To zbieranie etatu w kilku szkołach jest jedną

z przyczyn, dla których idea szkolnej pracy od ósmej do szesnastej nie ma zbyt wielu zwolenników. A pozostałe? Cóż, większość z nas lubi pracę częściowo zdalną, prawda? W domu, gdzie można zajrzeć do garnka z zupą, pomóc dziecku przy lekcjach, wyskoczyć z psem na krótki spacer w przerwie między jednym spotkaniem na Zoomie a drugim, między sprawdzaniem próbnych matur a przygotowywaniem planu kolejnej lekcji.

Danusia: Milion trzysta dziewięćdziesiąt sześć tysięcy – tyle wynosiła moja pensja w 1992 roku. Za trzy pierwsze pobory pojechałam do Warszawy na bazar Różyckiego i kupiłam sobie różową kurtkę i dżinsy. Podróbki, nie markowe, ale jaka ja byłam szczęśliwa! Zaraz potem musiałam wracać do domu, bo była sobota i trzeba było iść na wykopki, przebrać ziemniaki.

Jarosław: Uważam, że ktoś mądry wymyślił osiemnastogodzinny etat nauczycielski. Gdyby rozłożyć go na pięć dni, wychodziłoby od trzy do czterech godzin dziennie, więc można dorobić.

W jednej szkole jestem nauczycielem WF-u na cały etat, a w drugiej – instruktorem sportu na hali sportowej. Pełnię funkcję gospodarza obiektu, co oznacza, że jeśli przychodzą dorośli, wynajmuję im tę halę, a dla niepełnoletnich prowadzę zajęcia. Jako instruktor mam pół etatu obsługi oświaty, czyli etat niepedagogiczny, jak sprzątaczką. Z kolegą, który także pracuje na pół etatu na hali, zmieniamy się co tydzień i w co drugą sobotę, kiedy pracujemy praktycznie cały dzień.

Dzięki temu jestem w komfortowej sytuacji, bo zarabiam więcej niż żona, choć ja jestem „tylko” nauczycielem, a ona „aż” dyrektorką. Jak to możliwe? Dyrektorska pensja zależy od wysokości dodatku. U nas akurat są niskie.

Basia: Moja pierwsza pensja wynosiła siedemset dwadzieścia złotych. Pracowałam na trzy czwarte etatu i nie wiedziałam, co zrobić z tymi pieniędzmi: wydać na zachcianki czy odłożyć? Bo utrzymać się z tego nie mogłam.

Teraz mam półtora etatu, bo akurat prowadzę dwie klasy, ale nie wiem, co będzie za rok. Za dwadzieścia sześć godzin tablicowych dostaję cztery tysiące netto, w tym dwieście złotych dodatku za pracę w trudnych warunkach. Bez nadgodzin miałabym trzy tysiące.

Ale... cenię to, że wcześniej wychodzę z pracy i mam czas dla dziecka; że mam prawie dwa miesiące wakacji latem i wolne zimą. Po szkole zwykle pracuję dwie–trzy godziny. Oczywiście zdarza się, że pracuję od rana do osiemnastej, bo akurat coś się wydarzyło, ale to rzadkie sytuacje. Prawda jest taka, że to świetna praca dla matki.

Olga Skolimowska: Jak na nauczycielkę zarabiam dobrze: około trzech tysięcy złotych.

Mój etat składa się z dwudziestu pięciu godzin zegarowych z dziećmi i trudnej do policzenia liczby godzin, jakie pochłania sterta dokumentów do wypełnienia.

To miesięczne plany pracy, plany pracy indywidualnej, przygotowanie diagnoz, sprawozdania z tego, ile godzin co robiłam, jakie wnioski płyną z moich działań, samoocena, korespondencja z rodzicami, czytanie kolejnych rozporządzeń dotyczących zajęć. Czasem przez tydzień siedzę dzień w dzień po osiem godzin, a czasem tylko tyle, ile wynika z etatu.

Ludzie nie chcą pracować w przedszkolu. Mają kwalifikacje pozwalające im na pracę w klasach I–III szkół podstawowych, a tam zarabia się lepiej. W przedszkolu stawka to około dwudziestu złotych za sześćdziesiąt minut pracy, a w szkole – trzydzieści dwa złote za czterdzieści minut. Poza tym w szkole łatwiej uzbierać półtora etatu, bo pensum jest niższe.

Aneta: Po strajku nauczycieli wiosną 2019 roku dostałam tysiąc sto złotych, a akurat zepsuł mi się samochód. Za naprawę musiałam zapłacić tysiąc dwieście złotych. Wtedy zdecydowałam się przyjąć ofertę pracy w niepublicznej szkole.

Anna: Nie mogę się skarżyć na moją sytuację finansową, ale to dzięki temu, że napisałam kilkanaście podręczników, takie, z których korzysta się w szkołach na całym świecie. Dlatego wróciłam uczyć w szkole, zresztą w tej samej, w której zaczęłam pracę. Pomyślałam, że zostało mi niewiele lat do emerytury i że stać mnie na to, żeby zrobić coś dla idei. Korepetycje? Nie udzielałam ich od dwudziestu pięciu lat.

M., dyrektorka renomowanej niepublicznej szkoły w Warszawie: Nauczyciele w naszej szkole nie zarabiają rewelacyjnie. Od dwudziestu do trzydziestu procent więcej niż w szkołach publicznych.

Sylwia Chwedorczyk: Cztery lata temu moja pensja w dużej niepublicznej szkole wynosiła dwa tysiące siedemset złotych na rękę, dostawałam dziewięćset złotych za klasę. W niepublicznych szkołach zarabia się trochę więcej, ale za to nie ma trzynastki ani dodatku za wysługę lat. Pracowałam dużo, na pewno co najmniej czterdzieści godzin w tygodniu, ale jestem bardzo powolna. Gdy chce się nauczyć dzieci pisać, to sprawdzanie wypracowań trwa.

Aneta: Sześć tygodni urlopu latem i dwa tygodnie zimą to jest ogromny plus pracy w szkole. Można odpocząć od uczniów i ich rodziców i pozwiedzać świat. Ostatnio byłam w Meksyku, Belize i Gwatemali. Ale żeby mnie było na to stać, pracuję jak dzika. Wracam po godzinie czternastej ze szkoły, wychodzę z psem, a potem spieszę się na kursy dla dorosłych.

Jako nauczyciel dyplomowany w 2018 roku w szkole państwowej zarabiałam trzy i pół tysiąca złotych netto, a moje

koleżanki w tym czasie na byłe stanowisku w firmie dostawały od pięciu do siedmiu tysięcy na rękę. Cztery razy w tygodniu kończę pracę o dziewiętnastej.

Dzieci? Wystarczą mi w szkole.

Jarosław: Dwa miesiące wakacji? Nie mamy. Mamy tyle urlopu, co każdy pracownik na etacie. Reszta jest ewentualnie dobrą wolą dyrektora. Po rozdaniu świadectw przygotowujemy szkołę do wakacji. Mamy papiery do wypełnienia, znosimy kwiatki z sal w jedno miejsce, żeby sprzątaczkę łatwiej było podlewać. I potem na koniec lata przez tydzień szykujemy się do roku szkolnego. Poza tym urlopy przypadają nam w szczycie sezonu turystycznego, gdy jest najdrożej, nie ma szans na *last minute* czy inne promocje w biurach podróży.

A.: Trzy tysiące sto złotych na rękę to moja stała pensja. Reszta jest labilna, zależy od nadgodzin i dodatków, mogę dobić do trzech tysięcy ośmiuset złotych. Współpracuję z ośrodkiem edukacyjnym prowadzącym kursy przygotowujące do egzaminów wstępnych dla ósmoklasistów i maturzystów, nie udzielam korepetycji.

Pracuję non stop. Cały rok szkolny żyję z jedną myślą: ile mam jeszcze prac do sprawdzenia? Dziś po lekcjach muszę sprawdzić co najmniej dziesięć. Gdy robię próbną maturę, prace sprawdzam trzydzieści godzin. Uczę w pięciu klasach, w tym w dwóch maturalnych. Sześć wypracowań w semestrze, prace domowe, klasówki...

Radek: Jako logopeda zarabiam lepiej niż jako nauczyciel, ale też więcej pracuję. Jako wychowawca miałem dwadzieścia pięć godzin tygodniowo, teraz pracuję trzydzieści pięć.

Jarosław: Żona powiedziała mi ostatnio, że po planowanym wzroście płacy minimalnej sprzątaczką u niej w szkole, taka już ze stażem, będzie zarabiała więcej niż nauczyciel stażysta.

A przecież takie studia jak biologia, chemia czy fizyka są trudne, nie każdy da radę.

Aneta Korycińska: Pracuję pięćdziesiąt sześć godzin tygodniowo, z czego od dwudziestu do trzydziestu dwóch w szkole. Założyłam firmę, mam bardzo dużo korepetycji, przygotowuję webinary dla ósmoklasistów i maturzystów, wrzucam do internetu podcasty z moich lekcji. Zaczęłam je robić w czasie pierwszego lockdownu. Wtedy dużo mówiono o tym, że dzieci boją się o maturę. Pomyślałam, że każdy ma komórkę, na której może posłuchać takiego podcastu. Popatrzyłam, jak się je robi, gdzie się je wrzuca i zaczęłam nagrywać. Na początku podcasty były złej jakości, w tle było słychać szczekanie moich psów. Kupiłam sobie mikrofon i zaczęłam płacić absolwentowi za czyszczenie tych nagrań. I teraz on mnie chwali: „O, już mniej seplenisz”. Bo ja niestety seplenię. Najgorzej było przy *Kordianie* – akurat wtedy zakładali mi aparat na zęby.

W kolejnym roku pandemii, a po pięciu latach od założenia firmy, już wiem, że najlepszym rozwiązaniem było zmniejszenie godzin pracy w szkole. Unikam rad pedagogicznych, za to często rozmawiam przez telefon z rodzicami uczniów, którzy przychodzą do mnie na korepetycje. Zatrudniam dzisiaj kilka osób. Daję tyle korepetycji co na dwóch etatach w szkole, ale stawka jest znacznie lepsza. Robię to, co umiem i czuję, mogę pomagać każdemu indywidualnie i dostosowywać metody do jego potrzeb.

Zaczęłam także zarabiać na e-bookach, w których opisuję moje metody nauczania, na webinarach i innych pomocach dla ósmoklasistów i maturzystów. Własna firma i wdzięczność uczniów, którzy osiągają na egzaminach wysokie wyniki, a do tego pracują w miłej atmosferze, są dla mnie taką nagrodą, jakiej nie dostaje się w szkole. Dodatkowo nie muszę się już

martwić, gdzie jeszcze dorobić do wypłaty, by było mnie stać na wynajem mieszkania w stolicy.

Mimo że w pierwszych latach pracy w szkole miałam dwa etaty, musiałam sprzątać w barze w samym centrum miasta. Trzy razy w tygodniu śmierdziałam Domestosem, ale nie przyznawałam się, że dorabiam, szorując podłogi i toalety. Nie narzekam – to była świetna praca, bo szybko można było zobaczyć jej efekty. Chcę pokazać, że praca w edukacji państwowej mimo kilku fakultetów jest nieopłacalna i wymusza kreatywność. Kiedy zaczęłam działać w sieci, okazało się, że moje metody pracy, zwłaszcza z osobami w spektrum autyzmu, są pożądane. Dzisiaj uczę ludzi ze Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Czech i całej Polski.

Irmina: Pierwszeństwo zatrudnienia mają nauczyciele na umowie stałej. Ja takiej nie mam, więc od dziesięciu lat w każde wakacje zastanawiam się, czy będę miała we wrześniu pracę czy nie. Co roku podpisują ze mną umowę na rok. W zeszłym roku jeszcze 24 sierpnia czekałam na telefon dyrektora, czy jest etat. Dzwoniłam, a on odpowiadał: „Jeszcze nie wiadomo, jeszcze burmistrz nie zdecydował”. Takie są układy w małym miasteczku. Burmistrz jest na świączniku, a ja jestem ogarkiem. Więc co roku czekam. Może zadzwonią koledzy z innej szkoły? „Irmina, w piątek składaj podanie, bo Zenek złoży wypowiedzenie”. Ale to też niczego nie gwarantuje. Dwa lata temu były dwa etaty, na jeden przyjęli mnie, na drugi syna burmistrza, który dopiero zrobił licencjat. To chyba jasne, że rok później był już tylko jeden etat? Bo oczywiście tamtemu dyrektor szkoły umowę przedłużył. Dlaczego po tylu latach wciąż mam umowę o pracę na czas określony? Bo jeśli dyrektor nie wie, jaka będzie w przyszłości sytuacja, ilu nauczycieli będzie potrzebował, nie musi podpisywać z nami stałej umowy. Dzięki temu trzyma nas w garści, nikt mu nie podskoczy.

Ludzie, którzy siedzą sobie w ciepélku, lubiá komentowaó: „Irmína, chyba ju¿ sié do tego przyzwyczaiá, co?” albo: „Irmína, dlaczego nie poszukasz pracy poza naszym miasteczkiem? Ogłoszenia wiszą”. No, wiszą. W wiosce szukają nauczyciela na jedną dwudziestą czwartą etatu. Jaki jest sens jechaó dwadzieócia kilometrów na jedną lekcję WF-u? Własnym samochodem w tę i z powrotem? Samochodem, który lada chwila sié rozpadnie, bo tak rzezi?

Danusia: Dostaję trzy tysiące osiemset brutto. Uważam, że tyle powinien zarabiaó sta¿ysta. Mnie dzisiaj wystarcza, ale to dlatego, że jestem sama, nie mam dzieci i nie muszę studiowaó. Wcześniej, kiedy sié kształciá, nie wystarczaó. Bo przecie¿ studia robiá odpátnie, za własne pieniądze. Przedtem pobory miaá niedu¿e, musiaá oszczędzá nawet na jedzeniu. W weekend, gdy szá do rodziców, jadá coó lepszego.

Kole¿anki mi po¿yczaá, chodziá na jagody i sprzedawaá je letnikom. Baá sié sama po lesie chodzió, więc prosiá brata, żeby szedł ze mną. Mo¿e kubeczek jagód zebraá, nie wiécej, ale byó mi z nim raźniej.

Irmína: Co roku w wakacje zastanawiam sié, co zrobię, jeśli nie dostanę pracy w szkole. Myślę, że będę cierpieó, ale poszukam czegoó w innym zawodzie. W najgorszym wypadku pójdę pracowaó przy taómie. U nas jest specjalna strefa ekonomiczna, fabryka działa na trzy zmiany, zawsze potrzebują ludzi. I nawet wiécej tam zarobię, bo płacą ponad trzy tysiące na rękę, a ja w tym roku mam dwa dwieócie.

C., nauczycielka z wiejskiej szkoły na Podkarpaciu: Mogábym pracowaó w mieócie, proponowano mi. Ale bardziej opłaca sié praca na wsi ze względu na przysługujący ka¿demu nauczycielowi dodatek „wiejski”. Poza tym tutejsza młódzie¿

jest łatwiejsza pod względem wychowawczym, a rodzice mniej roszczeniowi. Na wsi nauczyciel wciąż jest „kimś”.

Dorota Oleszczak: Jest ogromna rozpiętość, jeśli chodzi o wynagrodzenia. Zarobki nauczyciela mogą się wahać od dwóch do pięciu tysięcy złotych za te same obowiązki. Duże miasta zwykle oferują wyższe dodatki motywacyjne, ich wysokość zależy zarówno od samorządu (od tego, jaki ma budżet, jak bardzo dba o swoich nauczycieli), jak i od dyrektora, który decyduje, komu ile dodatku przyznać. W Warszawie dodatek może przekraczać tysiąc złotych. Do niedawna nie było minimum dodatku za wychowawstwo, teraz jest to trzysta złotych brutto, dzięki temu pensje w biedniejszych gminach nieco wzrosną.

Niektórzy moi znajomi zarabiają o tysiąc złotych mniej ode mnie, choć pracują tyle samo, uczą tego samego. Czytam na forach o dodatku motywacyjnym rzędu czterdzieści pięć złotych miesięcznie i wszystko się we mnie gotuje na takie traktowanie – nie mówię nawet o dyrektorach szkół, ale jak to świadczy o szacunku do nauczycieli ze strony lokalnych władz? W dużym mieście to niewyobrażalne. Mam też wysoki dodatek stażowy, bo zaczęłam uczyć na piątym roku studiów i już uzbierało mi się dwadzieścia lat.

Jarosław: Któregoś dnia spotkałem kolegę z klasy z podstawówki. Po zawodówce zrobił kurs operatora dźwigów. Jak mi powiedział, ile zarabia, to mnie wbiło w ziemię. Taki, o taki mały się zrobiłem. Drugi kumpel zrobił kurs spawacza – to samo, przy nim jestem tygi.

Rozmowy o pieniądzach są jednymi z trudniejszych, ale na samą myśl o rozmowie o pieniądzach zarabianych przez polską nauczycielkę zaczyna mnie boleć głowa. Tak, każdą z osób,

z którymi przeprowadzałam wywiad do tej książki, pytałam, ile zarabia i jak swoje zarobki ocenia. Nie, mimo to nie umiałabym zwięźle odpowiedzieć na pytanie, ile dostaje się w polskiej szkole. Rozumiem za to doskonale złość i frustrację targające nauczycielami. Rozumiem, dlaczego czują się lekceważeni przez rząd i urzędników, nie rozumiem za to postawy rządzących, w tym ministra edukacji i nauki.

We wrześniu 2022 roku, kiedy kończyłam tę książkę, media niemal codziennie informowały o dramatycznych brakach w szkołach, głównie w dużych miastach. Chodziło, jak zwykle, o brak pieniędzy. Jeszcze częściej jednak chodziło o dramatyczny brak nauczycieli. Z jednej ze znanych mi warszawskich szkół podstawowych latem 2022 roku odeszło jedenaście nauczycielek!

Drugiego września 2022 roku Małgorzata Zubik opisała w „Gazecie Wyborczej” historię Artura Sierawskiego, nauczyciela mianowanego z warszawskiego liceum. Do czerwca uczył historii i wiedzy o społeczeństwie, był pasjonatem – pracę w oświacie zaczął już podczas studiów, wcześniej pracował jako wychowawca na koloniach. Był, bo odszedł ze szkoły. Pracuje w zakładzie pogrzebowym. Oprócz tego prowadzi żłobek z przedszkolem i kwiaciarnię. Zapewnił dziennikarkę „Gazety Wyborczej”, że nie żałuje[3].

Jeden z nauczycieli wypowiedających się w tej książce latem 2022 roku zmienił pracodawcę: przeniósł się z jednej publicznej szkoły podstawowej do drugiej, położonej w tej samej dzielnicy tego samego miasta. Zdecydował się na zmianę, bo dostał propozycję awansu: w nowej szkole pełni funkcję wicedyrektora. Niestety wyższe stanowisko oznacza... niższą pensję. Jak to możliwe? Wytlumaczenie okazuje się proste: szeregowy nauczyciel, jeśli jest bardzo pracowity, jest w stanie, zwłaszcza przy obecnych brakach kadrowych, mieć półtora albo nawet dwa etaty. Dyrektor i wicedyrektor nie mogą. Pan

Piotr ma więc większy wpływ na swoją pracę, ale za to mniej zarabia. Ciekawe jest też to, że o ile w większości branży pracownicy z firm i zakładów położonych w małych miastach i na wsiach zazdroszczą pensji warszawiakom, w oświacie jest raczej odwrotnie. Niekoniecznie wynika to z faktu, że w miasteczkach i na wsiach zarabia się więcej niż w dużych miastach (choć i to jest możliwe, jak opowiada jedna z nauczycielek, ze względu na dodatek wiejski), raczej związane jest to z mniejszą rozbieżnością pomiędzy pensją nauczycielki a chociażby sekretarki czy kierowniczką w prywatnej firmie w małej miejscowości niż między pensją nauczycielki a kierowniczką w stolicy.

A ile zarabiają pedagodzy we wzorowej Finlandii?

Fińska nauczycielka tuż po studiach dostaje co najmniej 2661 euro, po kilku latach pracy, gdy należy do tzw. klasy wyższej nauczycieli – 3800 euro.

Zarówno studia, jak i wszystkie szkolenia zawodowe dla pedagogów są bezpłatne. Fiński związek zawodowy nauczycieli (OAJ) postuluje, by podnieść minimalną płacę dla początkujących pedagogów do trzech tysięcy euro, bo choć nadal jest wielu chętnych do zawodu, to jednak obserwuje się, że jego atrakcyjność spada, a – co za tym idzie – nieco obniża się poziom kandydatów.

Przekładając fińskie zarobki na płace naszych nauczycieli, trzeba jednak pamiętać, że ceny są w Finlandii wyższe niż w Polsce. Nie zmienia to jednak faktu, że przeciętne wynagrodzenie fińskiej nauczycielki jest o dziewięć procent wyższe niż innych pracowników z wyższym wykształceniem (w całej Unii Europejskiej jest średnio o osiem procent niższe).

[1] M. Smak, D. Walczak, op. cit, s. 6.

[2] Wysokość podwyżek dla nauczycieli w 2022 roku zmieniała się niemal jak w kalejdoskopie. Pod koniec sierpnia minister

Przemysław Czarnek poinformował związkowców, że podwyżka wyniesie 9 procent⁰. Tydzień później rząd ogłosił, że jednak będzie to 7,8 procent.

[3] M. Zubik, *Żegnaj szkoło! Nauczyciele odchodzą: historyk woli zakład pogrzebowy, dyrektor urlop bezpłatny*, wyborcza.pl, 2 września 2022 r., dostęp: 2 października 2022 r.

Szkoły publiczne i prywatne

Poruszanie się w systemie edukacyjnym przypomina manewrowanie łodzią w czasie sztormu. Rozkołysanie oświatowego okrętu sprawia, że co bardziej obrotni rodzice szukają dla dzieci szalup pozwalających się z niego ewakuować. Z roku na rok przybywa niepublicznych placówek edukacyjnych – według GUS w ubiegłym roku takie podstawówki stanowiły niemal 11 proc. wszystkich działających w Polsce, a uczyło się w nich blisko 5 proc. dzieci[1].

Troje moich dzieci przeszło przez pięć szkół podstawowych. Z naszego doświadczenia wynika, że najważniejszy jest wychowawca. I dyrektor. Dopiero potem pozostali nauczyciele, jeszcze później – właściciel czy też organ prowadzący szkołę (samorząd, fundacja, osoba prywatna). Trafiliśmy do fatalnej szkoły niepublicznej, po której kontakt z państwową, przepraszam – samorządową – podstawówką był jak plaster naklejony na szczypiącą ranę. Wspaniały pedagog, człowiek, który umiał rozwiązywać problemy, fenomenalna pani wicedyrektor.

A potem z tej samej podstawówki zabraliśmy dzieci, bo zmienił się wychowawca, bo nowy nie dawał rady, bo trafiły się dwie straszne nauczycielki, bo dzieci gasły nam w oczach. Nie byliśmy zamożni, gdy zdecydowaliśmy się na przeniesienie dziecka, które wymiotowało ze stresu na trawniku przed szkołą, do prywatnej placówki. Szkoła dała nam stypendium, płaciliśmy mniej niż połowę chesnego. Nie mieliśmy blisko – w porannych korkach sunęliśmy z naszych przedmieść blisko godzinę, niemal drugie tyle wracaliśmy po południu.

Pierwszego dnia, kiedy zaprowadziłam dziecko do tej nowej szkoły, było na twarzy bladozielone. Drugiego i czwartego wciąż nie mówiło: „Cześć” koleżankom. Pół roku później, wracając ze

zdrowymi rumieńcami do domu, powiedziało: „Wiesz, mam, zapomniałem przez ferie, że ta szkoła jest taka fajna”.

Wtedy przenieśliśmy tam drugie dziecko. Rezygnując z wakacji i prosząc rodzinę o wsparcie.

Po kolejnych trzech miesiącach ulokowaliśmy w szkole, na którą nie było nas stać, trzecie dziecko. Choć ono nigdy nie wymiotowało przed wejściem do starej szkoły. Wiecie, co o tym zdecydowało?

Pomagałam dziecku odrabiać pracę domową. Do dziś pamiętam temat: „Napisz, za co lubisz jesień”. Zapamiętałam go, bo natychmiast skojarzył mi się z Gombrowiczem. „Jak zachwyca, skoro nie zachwyca?”. Co ma zrobić dziecko, które nie lubi jesieni?

Siedziałam przy stole kuchennym, myśląc o *Ferdydurke*, a moje dziecko pisało coś w stylu: „Lubie kasztany. Lubie kolorowe liście i lubie ludziki z żolendzi”. Ortografia i składnia mniej więcej oryginalna. Kilka dni później przyszedłam do szkoły. Wychowawczyni właśnie wieszala jesienne prace domowe. Patrząc, a tu poezja: rymowany wiersz o ukochanej porze roku. Obok wypracowanie napisane zdaniami wielokrotnie złożonymi: „Lubię jesień, gdyż jest to barwna pora roku, podczas której mogę zbierać kolorowe liście. Lubię wracać ze szkoły, potykając się o brązowe kasztany i beżowe żolędzie, a szelest liści pod nogami...”. Składnia i ortografia – perfekcyjne.

Poczułam się nieswojo. Na tyle, że zapytałam naszą nauczycielkę, skąd taka różnica w poziomie „naszej” pracy i tych przez nią wieszanych. „Eee tam! To może kilka takich prac jest. Reszta normalna. Wiadomo, że to pisali rodzice”. – Machnęła ręką wychowawczyni. Ale nie wytłumaczyła mi, dlaczego wiedząc, że nie są to prace samodzielne, nagradza je, a nie samodzielne „żolędzie” mojego dziecka.

W tym samym czasie na korytarzu naszej niepublicznej szkoły wisiały prace rysunkowe dotyczące mitologii. Boska Afrodyta,

groźny Zeus gromowładny i coś, co wyglądało jak kłębek wełny, podpisane kulfoniastym pismem mojego syna: „Chaos”.

Zdecydowaliśmy się na szkołę niepubliczną, bo szanowała człowieka, jakim było nasze dziecko.

Ewelina: Według mnie jeden rozdział o różnicach między edukacją publiczną a niepubliczną to za mało. Na ten temat można by napisać osobną książkę. To są pod każdym względem różne światy. Jeśli chodzi o podejście dyrekcji do nauczycieli, nauczycieli do pracy, dzieci do nauki, dzieci do nauczycieli – wszystko!

Na lekcje w „mojej” szkole społecznej idę z przyjemnością, bo tam żadne dziecko nie jest z przypadku. Te dzieci świadomie wybrały profil rozszerzony, lubią chemię, interesuje je to, o czym mówię, zadają pytania. To są ludzie ciekawi świata.

Nawet podczas nauczania zdalnego było świetnie. Pięć minut przed lekcją wszystkie kamerki włączone, wszyscy obecni. Zostawali ze mną nawet na przerwie, żeby pogadać.

W szkole publicznej ani razu na żadnej lekcji żaden uczeń nie włączył kamerki. Nigdy. Patrzyłam w ciemny ekran i mówiłam do siebie. Zadawałam pytanie i po chwili ciszy sama sobie na nie odpowiadałam. Uczniowie włączali mikrofon tylko przy sprawdzaniu obecności. Raz usłyszałam w tle głos lektora mówiącego: „Następna stacja Pole Mokotowskie”. Bo uczeń jechał sobie metrem.

Oczywiście w szkole publicznej też uczę dzieci, które wybierają rozszerzoną chemię. Po co? Nie mam pojęcia, bo na pewno nie z powodu zainteresowania przedmiotem.

Aneta: Zmieniłam pracę, bo chciałam więcej zarabiać. Pracowałam w elitarnym publicznym liceum, przeszłam do niepublicznego ogólniaka, do którego wcale nie jest tak łatwo

się dostać. Do tej pory mam na Facebooku grupy, które założyłam dla moich dawnych klas, gdzie publikuję jakieś filmiki, linki do ciekawych artykułów z anglojęzycznych mediów i gdzie uczniowie się udzielają. O, proszę zobaczyć. Wczoraj była uczennica wrzuciła na grupę naszą ulubioną piosenkę. Wzruszyłam się.

Tutaj? Wchodzę do klasy i słyszę, jak jeden mówi do drugiego: „Zamknij się, zjebie”.

Ten drugi odpowiada: „Spierdalaj”.

Pytam, co robili w weekend, co im sprawiło fun, a uczeń mówi: „I enjoyed eating shit”. I co ja mogę zrobić?

Nie postawię mu jedynki za „cieszenie się z jedzenia gówna”, bo przecież ta odpowiedź jest językowo poprawna. A że to obrzydliwe i chamskie wobec mnie? Za to ocenić go nie mogę.

Inny kładzie mi nogi na biurko. Kaptur, guma do żucia. I jak mam zareagować? Przynoszę fajne materiały, o skateboardingu, aktualne, ciekawe. Słyszę: „A po co my to gówno robimy?”.

Jeden uczeń mówi na lekcji – i to niegramatycznie – o waleniu konia. I patrzy, co ja zrobię. A ja? Ja zbieram szczękę z podłogi. Idę poskarżyć się wychowawcy i słyszę: „Anetka, oni mają po piętnaście lat...”.

Cały czas siedzą w telefonie. Można im go zabrać, ale wtedy wyjmą drugi. Jest kilkoro fajnych dzieci, ale nawet one nie dorównują intelektualnie moim byłym uczniom.

Po trzech tygodniach w nowej szkole przyszedłam z wizytą do mojej dawnej dyrektorki. Popłakałam się w gabinecie i poprosiłam, żeby przyjęła mnie z powrotem, bo takiego chamstwa, z jakim się spotykam na co dzień na lekcjach, nigdy nie widziałam. Dyrektorka powiedziała, że coś wymyśli. Odliczam tygodnie, żeby się z tymi dziećmi pożegnać. Już tylko jedenaście.

K., nauczycielka matematyki w publicznej szkole podstawowej i prywatnym liceum: W niepublicznej szkole rodzic jest klientem, który płaci za określony produkt i okazuje niezadowolenie, jeśli produkt nie spełnia jego oczekiwań. Potrafi straszyć: „Bo przeniosę dziecko”, zwłaszcza gdy w klasie jest uczeń, który stwarza kłopoty i jest pod jakimś względem niewygodny. Z kolei w publicznej szkole rodzice straszą kuratorium: „Doniosę na panią!”.

W obu typach szkół relacje z rodzicami zaczynają wyglądać podobnie, ale w szkole publicznej nadal bardziej szanuje się nauczyciela. Gdy ktoś mnie pyta, czy dziecko może poprawiać ocenę, to niemal mi się w pas kłania. W szkole prywatnej traktuje to jako oczywistość. Pomimo wszystko komfort pracy w szkole niepublicznej jest dużo lepszy niż w publicznej. W szkołach prywatnych i społecznych nauczyciel ma większą swobodę wprowadzania innowacji metodycznych, ma większe szanse na dodatkowe szkolenia, a także wsparcie dyrekcji czy metodyków. Placówki te stwarzają nauczycielowi warunki do indywidualnej pracy z uczniem.

Aneta: W publicznym liceum nauczyciele zostawali po lekcjach, żeby przygotowywać dzieci do olimpiady. Nikt, oczywiście, na tym nie zarabiał.

Ewa Naroźniak: W trakcie roku szkolnego odeszła nauczycielka biologii z „Batorego”. Poprosili mnie, żebym ją zastąpiła. Znali mnie, bo od dziesięciu lat prowadziłam wycieczki biologiczno-chemiczne dla ich uczniów. Zgodziłam się.

To było bardzo, bardzo dziwne. Nagle miałam sześć klas po trzydzieści pięć osób! Musiałam robić notatki z lekcji, żeby zapamiętać, co w której klasie mówiłam, bo ich nie rozpoznawałam i nie byłam w stanie zapamiętać. Nie uczyłam w klasach o profilu biologiczno-chemicznym, tylko

w humanistycznych, więc może dlatego dla moich uczniów w „Batorym” byłam nikim. Byłam dla nich tylko gadającą głową, która przyszła zająć im godzinę w tygodniu. Nie widzieli mnie jako osoby, Ewy, która jest nie tylko nauczycielką w szkole.

Uczniowie z obu szkół się znali. Wiedzieli, że ci z jednej szkoły mówią do mnie po imieniu. Że ich uczę czegoś innego. W szkole społecznej miałam program autorski, w „Batorym” nie. Ci ze szkoły społecznej trochę droczyli się z tymi z publicznej.

Aneta Korycińska: Moje nauczanie w szkole publicznej i społecznej było podobne. Teraz w niepublicznej mam więcej godzin, więc mogę sobie na więcej pozwolić: rozszerzać program nauczania, organizować wyjścia, wymyślać dodatkowe projekty.

Nie muszę też stawiać ocen za każdą działalność, bo wolę ocenę opisową niż stopnie. Relacje między nauczycielami też są lepsze, jest przyjaźniej, spokojniej. Ale może tak uważam, bo w szkołach publicznych byłam świeżakiem i niewiele wiedziałam o panujących tam relacjach. A tutaj siedzę już dłużej niż prezydent w Białym Domu.

Nie narzekam na rodziców uczniów. Zawsze miałam z nimi dobre relacje, czasami aż za dobre, więc o dwudziestej pierwszej wyłączałam telefon, by móc wyjść z pracy i nie rozwiązywać domowych problemów także po godzinach. Spotykałam się tylko z ufnością i szacunkiem ze strony rodziców.

Renata: W szkole niepublicznej nauczyciel się nie boi. Nie boi się tego, czego uczy, ani tego, jak uczy. Nie boi się przyznać, że czegoś nie wie, nie umie, że zapomniał.

W publicznej lęk jest bardzo wyczuwalny. Przed paragrafem, przed zwierzchnikiem, rodzicem. I wiara w autorytet. Gdy ktoś powie, że czegoś nie wolno, inni wierzą w to w ciemno. Nie sprawdzą sami, nie będą dociekać.

Olga Skolimowska: Miałam praktyki w prywatnym przedszkolu. Mogłam tam wrócić po studiach, ale stwierdziłam, że nie chcę, bo w tej placówce nie dziecko jest najważniejsze, tylko rodzice. A konkretnie: ich oczekiwania. Nie mam nic przeciwko temu, żeby rodzic uważał, że jego dziecko jest najwspanialsze, ale chciałabym, żeby nie odrzucał informacji, że to najwspanialsze dziecko może potrzebować terapii z zakresu integracji sensorycznej, konsultacji psychologa albo psychiatry.

Piotr Śmiałkowski: Zaraz po studiach dostałem piętnaście ofert. Myślałem więc, że kiedy po trzech latach już z jakimś doświadczeniem będę szukał nowej pracy, też tak będzie. Złożyłem wypowiedzenie, powysyłałem CV, a tu cisza. Żadnych telefonów. W końcu znalazło się miejsce, ale w szkole prywatnej. A ja nie za bardzo chciałem tam iść, wolałem (i wolę nadal) pracować w oświacie publicznej. W państwowej szkole obowiązuje Karta Nauczyciela, w niepublicznej – Kodeks pracy. W tej drugiej łatwiej można człowieka przesunąć czy zwolnić. Może zarabia się trochę więcej, ale gdy człowiek jest obrotny, zawsze gdzieś dorobi. Dla mnie ważne jest bezpieczeństwo i pewność pracy. Ale skoro nie było wyboru, musiałem podjąć pracę w szkole niepublicznej. Przyszedłem podpisać umowę, wyszedł do mnie dyrektor, bardzo przeprosił, bo zepsuła się drukarka. Umówiliśmy się na następny tydzień. W tym czasie przyjęli mnie do publicznej podstawówki. Pracuję tam już trzynaście lat.

Ewelina: Nie wiem, jak to jest z tymi stawkami, ale w szkole państwowej zarabiam więcej niż w społecznej i to nie zależy od liczby godzin. Może to kwestia wysokości dodatku motywacyjnego przyznawanego przez samorząd?

Renata: Kiedy chcę w społecznej szkole zrobić w sobotę warsztaty dla uczniów, to dostaję klucz, wchodzę do szkoły, wpuszczam dzieci, prowadzę zajęcia, wychodzę, oddaję klucz. W publicznej placówce jest to niemożliwe. Bo w sobotę nie ma woznego, więc szkoła jest przez dwa dni podłączona do alarmu. Ja nie mogę go sama wyłączyć i włączyć, musiałaby ze mną przyjść pani dyrektor. A ona nie przyjdzie, więc zajęcia dla dzieci odpadają.

To nie jest kwestia przepisów, tylko zaufania. Z doświadczenia wiem, że w szkole niepublicznej dyrektor ma do nauczyciela nieporównywalnie większe zaufanie niż w szkole publicznej.

Piotr Śmiałkowski: Mam kredyty, rodzinę na utrzymaniu. No i nie zapominajmy, że jestem facetem. Gdybym zmienił szkołę, nawet na niepubliczną, może bardziej otwartą, może mniej biurokratyzowaną, znów musiałbym od początku udowadniać, że jestem w porządku.

Tu już wyrobiłem sobie nazwisko. Jestem nauczycielem dyplomowanym, musiałbym nie wiem co zrobić, żeby mnie zwolniono. Na eksperymenty, na szukanie autorskich szkół był czas, zanim pojawiły się dzieci. Teraz nie chcę ryzykować zmiany[2].

Ewelina: Przyszłam do szkoły państwowej, dostałam login i hasło do Librusa oraz listę klas, które mam prowadzić. I to wszystko. Nikt mnie nie wprowadził, nie przedstawił ani innym nauczycielom, ani klasom. Wiedzieli, że to moja pierwsza klasa, ale ani pani dyrektor, ani nikt inny nie zapytał, czy wiem, co robić, jak się czuję, jak sobie radzę. Przez pierwszy tydzień siedziałam po godzinach i do wieczora wprowadzałam dane do Librusa – mój plan lekcji, listę osób w klasach, obecności, zakres wymagań na każdą ocenę – wszystko, bo dostałam pusty dziennik. A oczywiście wymagania programowe były różne

w zależności od tego, czy dana grupa rozszerza chemię czy robi podstawę.

W szkole społecznej jest administrator, który się tym zajmuje. Tam nauczyciel loguje się do systemu i wszystko ma gotowe.

W państwowej szkole nikt z dyrekcji przez cały rok nie przyszedł na żadną moją lekcję. W społecznej przez pierwsze miesiące na każdej lekcji był ktoś z nauczycieli. Po każdej wizytacji dostawałam krótką informację zwrotną: co zrobiłam dobrze, co mogłabym poprawić. Uwagi przekazywano niezwykle taktownie.

Na przykład raz zapytano mnie, co myślę o aktywizowaniu uczniów. Powiedziałam, że robię to tak i tak. Koleżanka zapytała: „A jak mogłabyś aktywizować ich jeszcze bardziej?”. Zaczęłam się zastanawiać, wpadłam na kilka pomysłów. Dzięki tym rozmowom stawałam się lepszą nauczycielką. Dowiedziałam się na przykład, że kiedy zadaję klasie pytanie i jest cisza, to warto tę ciszę wytrzymać. A ja, gdy nikt się nie zgłaszał, szybko sama odpowiadałam. Tymczasem uczniowie muszą się zastanowić, zebrać myśli.

W społecznej szkole mam dużo, dużo większy komfort pracy. I poczucie, że nie jestem sama. Inni nauczyciele pytają, jak sobie radzę, czy czegoś mi potrzeba. To jest inny świat. Być może, gdybym pracowała w „Batorym” albo w „Hoffmanowej”, a nie w przeciętnym publicznym liceum, byłoby podobnie, ale do tych najlepszych publicznych placówek bardzo trudno się dostać, także do pracy. Jeśli ktoś z nauczycieli odchodzi, od razu ustawia się kolejka chętnych, dużo bardziej ode mnie doświadczonych.

Największy przypływ nowych uczniów prywatne i społeczne szkoły podstawowe i licea zarejestrowały tuż po likwidującej gimnazja reformie minister Anny Zalewskiej oraz w trakcie

i tuż po pandemii koronawirusa. Dlaczego? Łatwo zgadnąć: rewolucje, które się przetoczyły, a może raczej – przetaczają się – przez polską oświatę w ostatnich latach, wprowadzają chaos i wywołują zmęczenie u wielu nauczycielek, rodziców i części bardziej świadomych, co się w systemie edukacji zmienia, dzieci. Niepokój nie sprzyja rozwojowi. Chyba że chodzi o rozwój niepublicznego szkolnictwa. Im więcej zmian, tym większe zainteresowanie rodziców ofertą szkół społecznych i prywatnych. Według danych ministerstwa edukacji i nauki już co dziesiąte dziecko uczy się w Polsce w płatnej szkole.

[1] A. Wittenberg, *Miała być Finlandia, będzie Ameryka. Dobre wykształcenie stanie się towarem luksusowym?*, „Dziennik Gazeta Prawna”, 02.2022, dostęp: 2 sierpnia 2022 r.

[2] Wbrew temu, co powiedział, kilka miesięcy później Piotr Śmiałkowski zdecydował się zmienić pracę.

Mężczyźni w oświacie

Być może feminizacja zawodu oznacza mniejszy jego prestiż. Ten typ refleksji jest jednak nieobecny w wypowiedziach badanych nauczycieli, twierdzą jednak, że wzrost zarobków przełożyłby się na wzrost liczby mężczyzn w zawodzie. Szczególnie na wsi mamy do czynienia ze stereotypowym postrzeganiem ról płciowych oraz charakteru korzyści, które płyną z wykonywania zawodu nauczyciela[1].

Myśleliśmy z mężem, że przedszkole, do którego posłaliśmy nasze dzieci, jest nietypowe, ponieważ jest żydowskie. Zamiast krzyży w salach były drejdle – bączki, którymi dzieci bawią się w czasie chanuki, nazywanej przez niektórych żydowskim Bożym Narodzeniem ze względu na to, że zwykle wypada w grudniu. Nie było choinek, religii, a w piątki, przed wcześniejszym zamknięciem, dzieciaki jadły chałkę i śpiewały *Szabat szalom* (Witaj, soboto).

Tak naprawdę jednak nasze przedszkole było nietypowe, bo zatrudniało trzech mężczyzn, w tym jednego z kolczykiem w nosie, a drugiego pokrytego tatuażami.

Trzech mężczyzn w jednym przedszkolu!

Pisały o nas media.

Powszechnie przyjęło się, że mężczyzna w oświacie nadaje się na fizyka, chemika, matematyka. Od biedy, jeśli jest nowoczesny, może uczyć polskiego albo historii, ale to raczej w liceum. Mechaniki – w szkole branżowej lub technikum. Ale jako opiekun i nauczyciel przedszkolny? Logopeda? Wychowawca klas I–III?

W Polsce, w której według wyliczeń Ośrodka Rozwoju Edukacji kobiety stanowią ponad osiemdziesiąt dwa procent pedagogów?

Piotr Śmiałkowski: Na studiach na sto czterdzieści osób było pięciu chłopaków. Wszyscy nas znali, byliśmy rodzinami. Pamiętam, jak moja pani profesor od matematyki mówiła: „Wy, chłopcy, nie żeńcie się na studiach. Pójdziecie do pracy i tam będzie mnóstwo okazji”. Czy to mi się podobało? Nie. Ale w pewnym sensie miała rację, bo moją żonę poznałem w pierwszej pracy.

Radek: Rodzice, widząc mężczyznę jako wychowawcę w przedszkolu, reagowali miłym zaskoczeniem. Nigdy nie spotkałem się z żadną przykrą uwagą, chociaż mój kolega, ten, który ściągnął mnie do pracy, raz usłyszał od rodzica, że może jednak byłoby lepiej, żeby dziewczynka została przebrana przez wychowawczynię, nie przez niego.

Piotr Śmiałkowski: Na radach pedagogicznych ciągle poprawiam: „Nie *-łyśmy*, tylko *-liśmy*, halo, ja tu jestem!”. Można powiedzieć, że doświadczam w pracy tego, na co zwykle skarżą się kobiety.

Aneta Korycińska: W polskiej oświacie zdecydowanie brakuje mężczyzn! Z moich obserwacji wynika, że jest im w szkołach lepiej niż kobietom, zwykle dyrekcja darzy ich większym szacunkiem, lepiej się do nich odnosi, mniej wymaga. Inne nauczycielki też wyręczają ich w pracy, a ich uczniowie są bardziej samodzielni. Właściwie wymieniłam wszystkie wady, które pokazują nierówne traktowanie, jednak widzę w tym pierwiastek nadziei.

Jeśli w zawodzie byłoby więcej mężczyzn, nie traktowano by ich tak wyjątkowo. Trzeba pokazywać, że praca naukowa, także na szczeblu nieakademickim, jest wartościowa, a mężczyźni mają takie same zdolności wychowawcze jak kobiety.

Mariusz: Pracuję z maluchami. A jak maluchy okazują sympatię? Przytulają się. Jeden z nauczycieli powiedział mi kiedyś, żebym uważał, bo może przyjść rodzic i wnieść sprawę o molestowanie. Od tamtej pory nie pozwalam, żeby dzieci siadały mi na kolanach. Ale kiedy z drugiego końca korytarza biegnie maluch, krzycząc: „Panie Mariuuuuuszuuuu!”, i chce się do mnie przytulić, obejmuję go. Mieliśmy niedawno szkolenie, co konkretnie jest dozwolone. Nie wolno dziecka dotykać. Można poklepać po ramieniu, ale nie po plecach.

Piotr Śmiałkowski: Przez pierwszy rok mojej pracy autentycznie bałem się oskarżenia o pedofilię. Z tego powodu byłem bardzo sztywny, absolutnie nie dopuszczałem do tego, żeby dziecko się do mnie przytuliło.

Radek: Dzieciaki na ogół są bardzo zadowolone, kiedy mężczyzna prowadzi zajęcia. To chyba dlatego, że większość wychowawców to kobiety. Mężczyzna to dla nich fajna odmiana. Nagle wchodzi ktoś dwa razy większy od ich pani, z brodą, mówi innym głosem. „Oho, to może być coś ciekawego”, myślą. Nawet zaczynają chętniej słuchać.

Raz tylko miałem w grupie dziewczynkę, która mnie unikała. Gdy miała jakąś sprawę (chciała dokładkę jedzenia, kupę, pogadać), zawsze szła do mojej koleżanki. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi, aż się okazało, że jest z domu przemocowego, ojciec ją bił. Zainterweniowała dyrekcja, sytuacja w domu się uspokoiła. A ja miałem ogromną satysfakcję, kiedy dziewczynka w końcu się przełamała. Gdy przestała się mnie bać, to niemal nie schodziła mi z kolan. Pomyślałem, że może w jakiś sposób przyczyniłem się do tego, że zaczęła dostrzegać, iż przy mężczyźnie można także czuć się bezpiecznie.

Jarosław: Nie można powiedzieć, komu jest łatwiej w szkole: kobiecie czy mężczyźnie. Jesteśmy zatrudniani na tych samych

warunkach płacowych i organizacyjnych. Musimy wykonywać taką samą pracę.

Co nauczyciel mężczyzna może dać dzieciakom innego niż nauczycielka? Jest to dla mnie bardzo trudna kwestia do rozstrzygnięcia. Nauczyciel mężczyzna działa bardziej konkretnie. Może pokazać swoim wychowankom więcej zdecydowania.

Radek: W latach siedemdziesiątych w Skandynawii przeprowadzono badania, które pokazały, że dla rozwoju dzieci bardzo korzystne jest to, gdy w przedszkolu i szkole pracują nauczyciele obu płci. Potem Norwegia wprowadziła program motywacyjny dla mężczyzn w edukacji i w krótkim czasie liczba nauczycieli wzrosła z kilku do kilkudziesięciu tysięcy.

Piotr Śmiałkowski: Robiłem kurs „zarządzanie oświatą”. Na jednych zajęciach prowadząca zapytała grupę, czy zatrudnilibyśmy nauczyciela, który ma tatuaże i kolczyk w nosie. Byłem jedyny, który odpowiedział: „Tak”. Prowadząca skomentowała, że zrobiłbym błąd. Zapytałem: „Dlaczego?”. „Bo rodzice mogliby uznać, że to ryzykowne”. Halo! To samo mogli powiedzieć, kiedy moja dyrektorka zatrudniała mnie. Facet z małymi dziećmi?

Polska szkoła jest pełna konwenansów, a niektórzy ludzie mają kij nie powiem gdzie.

Irmina: Do pokoju nauczycielskiego weszły dziewczynki, których nie uczę. Wyglądały jak młode kobiety. Zdziwiona zapytałam koleżankę: „Która to klasa?”. „Czwarta”. „Czwarta klasa, a takie cycki?!”.
Pomyślałam: „Biedni faceci, przecież skoro ja to widzę, oni także”. Co by nie mówić, chłopcy w tym wieku nie wyglądają na młodych mężczyzn.

Miałam świetną koleżankę, która zaszła w ciążę z uczniem, oczywiście ze szkoły ponadpodstawowej. Straciła pracę, potem wyrzucono ją ze zboru – chłopak był katolikiem, ona należała do Świadków Jehowy. Bardzo była religijna, poszła rodzić, będąc dziewicą, bo uprawiali seks bez penetracji.

Nie oceniam jej. Nigdy nie oceniam ludzi.

Czasem o naszym życiu decyduje chwila. Nie chcę oceniać człowieka, który – być może raz w życiu – emocjonalnie zdrzął.

Dziewczynę ostatecznie przywrócili do zboru. Od lat już nie mam z nią kontaktu, ale słyszałam, że byli parą z tym chłopcem, razem wychowywali dziecko.

Na początku XIX wieku nauczycielami byli tylko mężczyźni. Broń Boże, nie z zamiłowania! Podejmowali się pracy z dziećmi na chwilę, by opłacić studia, które miały im zapewnić docelowy, poważny zawód. Jeszcze długo, bo nawet na początku kolejnego stulecia, nie uważano bowiem, by nauczanie wymagało specjalnych kwalifikacji czy umiejętności; mógł to robić każdy. Kiedy przyszłych księży, pastorów, prawników i lekarzy zaczęły zastępować młode damy?

Jak pisze Agnieszka Gromkowska-Melosik w swojej pracy o feminizacji zawodu nauczyciela: „Kobiety, jako zawsze dysponujące czasem wolnym, zastępowały mężczyzn w pracy w szkole już w pierwszej połowie XIX wieku, kiedy musieli oni wykonywać inne zadania. Ich uposażenie wynosiło przy tym jedną trzecią pensji mężczyzn, co znacząco podnosiło atrakcyjność ich zatrudniania dla pracodawców”^[2].

Nauczycielki były tańsze od nauczycieli, w dodatku dziewiętnastowieczny postęp przemysłu i dynamiczny rozwój miast oferował wykształconym mężczyznom wspaniałe perspektywy zawodowe. Po co mieli wbijać młodym zakutym

łębkom banalną wiedzę, co nie wymagało żadnego wysiłku (no, może trochę fizycznego, gdy trzeba się było namachać różgą po łapach jakiegoś łobuza) i nie dawało też satysfakcji? Lepiej było sięgnąć po prestiżową posadę urzędnika. A potem ruszyła lawina – im więcej kobiet trafiało do zawodu, tym więcej mężczyzn z niego odchodziło. Już pod koniec XIX wieku w USA, Francji i Wielkiej Brytanii kobiety stanowiły zdecydowaną większość nauczycieli.

Co ciekawe, już wówczas niektórzy widzieli, że nie jest dobrze, gdy za kształtowanie młodych umysłów odpowiadają przedstawiciele jednej płci: w 1889 roku w Norwegii wprowadzono ustawę, zgodnie z którą w każdej szkole elementarnej musieli być zatrudnieni co najmniej jedna nauczycielka i jeden nauczyciel[3].

Ciekawe, czy ich zarobki były równe...

Zwykle badacze oceniają, że feminizacja danego zawodu prowadzi do pogorszenia jego atrakcyjności i ważności w oczach społeczeństwa. Agnieszka Gromkowska-Melosik uważa, że w przypadku zawodów związanych z oświatą kolejność była odwrotna: to postrzeganie roli nauczyciela jako nieatrakcyjnej spowodowało, że mężczyźni zaczęli odchodzić ze szkół, robiąc miejsce kobietom. A te były szczęśliwe, że w ogóle pozwala im się pracować. Godziły się na marne zarobki, odpowiednie do pracy niewymagającej żadnego przygotowania. Jak pisze Gromkowska-Melosik, jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego wieku uważano, że praca nauczycielki, opiekunki czy pielęgniarki jest bardzo odpowiednia dla kobiet, które mają przecież „naturalny” instynkt opiekuńczy. W tych zawodach serce miało odgrywać znacznie większą rolę niż umysł.

[1] M. Smak, D. Walczak, op.cit, s. 27.

[2] A. Gromkowska-Melosik, *Feminizacja zawodu nauczycielskiego – „Różowe kołnierzyki” i paradoksy rynku*

pracy, „Studia Edukacyjne” 25/2013.

[3] J. Kropka, *Skutki feminizacji zawodu nauczycielskiego*, „Przegląd Socjologiczny” 34/1z, 1986.

O co chodzi z tą Finlandią?

W 1970 roku Finowie po długiej debacie publicznej postanowili zreformować swoje szkolnictwo oparte do tej pory na modelu niemieckim: czteroletnia szkoła powszechna, pięcioletnie gimnazjum i trzyletnia szkoła średnia.

Trzydzieści lat później, w grudniu 2001 roku, po raz pierwszy przeprowadzono międzynarodowe badania PISA[1] porównujące umiejętności uczniów. Po ogłoszeniu ich wyników świat ze zdumieniem odkrył, że to fińskie nastolatki najlepiej radzą sobie z czytaniem i interpretacją tekstu.

Nie zawsze w kolejnych badaniach, powtarzanych co trzy lata, fińskie piętnastolatki zdobywały pierwsze miejsce, ale plasowały się w czołówce, wyprzedzając kolegów i koleżanki z Wielkiej Brytanii, Francji, USA czy Polski.

Co ważne, ich wyniki były ujednolicone, sukces edukacyjny nie zależał od szkoły, miejscowości czy kapitału społecznego rodziny.

Specjaliści od edukacji zaczęli więc wnikliwie przyglądać się fińskiemu cudowi, rozkładając na czynniki pierwsze fenomen tamtejszych szkół – publicznych, egalitarnych i dobrych. Było to tym ciekawsze, że przed reformą edukacji mała Finlandia nie uchodziła za kraj zamożny, nie szczyciła się też dużą liczbą osób z wyższym wykształceniem. Złośliwi lubią wspominać, że w owych czasach nawet najsłynniejsza fińska firma – Nokia – nie produkowała telefonów komórkowych, tylko kalosze.

Jaka jest fińska szkoła?

Jeżeli chodzi o strukturę, różni się od polskiej w niewielkim stopniu. Obowiązkowa szkoła powszechna trwa dziewięć lat. Dzieci zaczynają w niej naukę, mając siedem lat, zdecydowana większość z nich ma za sobą co najmniej rok przedszkola (zerówki).

Po szkole powszechnej można od razu pójść do pracy, ale absolwenci są zachęcani do dalszej nauki. Mają do wyboru trzyletnią szkołę średnią, będącą odpowiednikiem naszego liceum, lub trzyletnią szkołę zawodową. Po szkole średniej zdaje się maturę – pierwszy egzamin w fińskiej szkole. Po obu typach szkół absolwent może zdawać na studia na uniwersytecie lub politechnice. Całość edukacji, łącznie z nauką w przedszkolu i studiami doktoranckimi, opłaca państwo.

I na tym kończą się podobieństwa z polską szkołą.

Głównym celem fińskiej reformy wprowadzonej w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku było wyrównanie szans edukacyjnych dzieci. To dlatego państwo finansuje nie tylko samą edukację, lecz także podręczniki, przybory szkolne (zeszyty, bloki, długopisy) i obiady, które dzieci jedzą w szkole.

To dlatego nauczycielom nie wolno udzielać płatnych lekcji. W Finlandii nie istnieje rynek korepetycji. Dziecko, które czegoś nie rozumie, nie radzi sobie, nie nadąża z materiałem, dostaje pomoc w szkole. Żeby zaległości nie narastały, już na etapie przedszkola przyszli uczniowie są diagnozowani przez pedagogów. Jeżeli ci wychwycą jakieś deficyty – niedosłuch, wady wzroku, ryzyko dysleksji czy dysgrafii, ADHD – dziecko od razu otrzymuje bezpłatną pomoc. Cel jest taki, by jak najszybciej wyrównać poziom edukacyjny ucznia, tak aby w szkole radził sobie podobnie jak reszta klasy.

W Finlandii nie ma płatnych prywatnych szkół. Naukę w nielicznych istniejących szkołach niepublicznych (to głównie szkoły wyznaniowe i waldorfskie) też opłaca państwo. Edukacja ma być dostępna dla każdego, niezależnie od dochodu jego rodziców, i na wysokim poziomie.

We wcześniejszym „niemieckim” modelu nauczania dzieci dzielono już w wieku dziesięciu lat, gdy kończyły czteroklasową szkołę powszechną. Zdolniejsze lub pochodzące z zamożniejszych rodzin szły do szkół ogólnokształcących,

mniej zdolne lub pochodzące z mniej zaradnych środowisk – do zawodowych. Uważano wówczas, że sukces edukacyjny dziecka zależy wyłącznie od wrodzonego potencjału intelektualnego. Nowy system daje szansę także uczniom słabszym, wydłuża ich edukację, co umożliwia nadrobienie braków i rozwój. Uczniowie, nauczyciele i dyrektorzy szkół mają za zadanie współpracować ze sobą, a nie rywalizować. Sprzyja temu brak egzaminów wstępnych, ogólnokrajowych testów i rankingów szkół. Dzięki temu nie ma podziału na szkoły lepsze i gorsze. Fińscy nauczyciele wierzą, że każde dziecko, przy odpowiednim wsparciu, jest w stanie poradzić sobie z materiałem szkoły powszechnej, a rodzice posyłają dzieci do najbliższej placówki. O wsparcie – i dla dziecka, i dla nauczyciela – jest łatwo, ponieważ w każdej szkole zatrudnieni są: pedagog specjalny, psycholog, pracownik socjalny i pielęgniarka. Zespół specjalistów spotyka się, żeby wspólnie z wychowawcą opracować strategię pomocy dla ucznia. Uczniowie są też objęci na terenie szkoły opieką pediatry i dentysty.

Od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku nauczyciele mają dużą swobodę w dobieraniu podręczników, metod nauczania i sposobów oceniania. Nie są kontrolowani, sprawdzani ani rozliczani z wykonywanej pracy. Nie grozi im niespodziewana kontrola wizytatora z kuratorium oświaty, bo w Finlandii nie ma wizytatorów.

Uważa się, że ta nauczycielska wolność podnosi zapał i zadowolenie pedagogów z ich pracy, co przekłada się na ich zaangażowanie i efekty. Zachęca się ich do wymiany doświadczeń, współpracy z kolegami z innych placówek, z rodzicami uczniów i pracownikami lokalnych organizacji pozarządowych.

Nauczycielski etat wynosi dwadzieścia cztery godziny tygodniowo, w tym dwie obowiązkowo poświęcone doskonaleniu zawodowemu. Koszt szkolenia pokrywa państwo.

Prestiż zawodu jest wysoki, choć pensje nie aż tak zachwycające, jak można by się spodziewać – nauczyciele przedszkolni zarabiają poniżej średniej krajowej, ci ze szkół powszechnych – powyżej, ale nie szokująco dużo. Najwyższy dochód osiągają nauczyciele szkół średnich.

Istotną różnicą między szkołą polską a finlandzką jest ogromne zaufanie rodziców do grona pedagogicznego. Być może wynika to z tego, że wszyscy wiedzą, że nauczycielami w Finlandii zostają najlepsi z najlepszych. Żeby dostać się na studia pedagogiczne, trzeba bardzo dobrze zdać maturę, mieć odpowiednią, ocenianą testami osobowość i zwycięsko przejść przez trudne egzaminy wstępne, pokonując około dziewięciu rywali. Programy studiów są regularnie aktualizowane – gdy zmieniają się zarządzenia ministerialne dotyczące edukacji, zmiany od razu pojawiają się w programie.

Nauczanie początkowe dotyczy klas I–VI, większości przedmiotów uczy tu wychowawca. Dopiero w starszych klasach i w szkole średniej wkraczają nauczyciele przedmiotów. Z reguły do końca szóstej klasy uczniowie otrzymują wyłącznie oceny opisowe, od przedszkola pedagogzy zachęcają dzieci do samooceny ich osiągnięć. Zły stopień nie jest interpretowany jako wskaźnik niskiego potencjału dziecka, ale raczej jako sugestia, że nauczyciel czegoś nie dopatrył.

Uczeń, który nie dostał się do szkoły średniej lub nie wie, w jakim kierunku chciałby się kształcić, może o rok wydłużyć edukację w szkole powszechnej. Powtarzanie klasy zdarza się sporadycznie. Dzieci uczą się od dziewiętnastu do trzydziestu godzin tygodniowo, w zależności od klasy. Po każdej lekcji mają piętnastominutową przerwę, którą w większości przypadków spędzają na dworze (niezależnie od pogody). Nauczyciel sam decyduje, jakiej długości będzie jego lekcja: czterdzieści pięć, pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt minut. W programie nauczania ważną rolę odgrywa muzyka (w młodszych klasach nauczana

w tym samym wymiarze godzin co matematyka) oraz zajęcia praktyczne, takie jak nauka szycia, stolarki, gotowania.

Prace domowe są proste i krótkie. Chodzi o to, żeby dziecko mogło je zrobić samodzielnie, bez wsparcia rodziców, a także o to, by nie pozbawiać go czasu wolnego niezbędnego do odpoczynku i prawidłowego rozwoju.

Klasy liczą przeciętnie dwadzieścioro dzieci, choć w szkołach wiejskich bywają większe, co wynika z łączenia grup z różnych roczników. W młodszych klasach nauczycielowi pomaga asystent – często jego funkcję pełni student lub studentka pedagogiki.

Fińskie szkoły nie zatrudniają ochroniarzy ani woźnych, są sprzątane przez nauczycieli i uczniów. Przerwa jest dla nauczycieli czasem wolnym – piją herbatę albo kawę w pokoju nauczycielskim, czytają prasę, żartują z kolegami. Nie mają obowiązku pilnowania dzieci. Kiedy w ramach akcji poprawy kondycji fizycznej fińskich dzieci wprowadzono programy aktywizujące maluchy, szkolnymi animatorami ruchu zostały przeszkolone dzieciaki. Ich rolą było inicjowanie na przerwach sportowych gier i zabaw dla młodszych koleżanek i kolegów.

W szkole wszyscy – nauczyciele, dyrekcja i uczniowie – mówią do siebie po imieniu. Nikt nie przywiązuje wagi do fryzury, makijażu czy stroju uczniów.

Fińskie szkolnictwo stawia bardziej na kompetencje ludzi, ich umiejętności i relacje niż na nowoczesny sprzęt. Komputery są oczywiście w każdej placówce, ale niekoniecznie najnowsze. Szkoły zawsze mają plac zabaw dla dzieci, ale już nie zawsze wielofunkcyjne boisko. Ponieważ w kraju bardzo ceni się kontakt z przyrodą, często lekcje odbywają się w terenie. Nie dlatego, żeby uczniowie poznawali gatunki drzew liściastych, ale po prostu po to, by zamiast na krzesłach w sali lekcyjnej posiedzieli na trawniku w parku.

Bardzo istotną różnicą między fińskim a polskim systemem edukacji jest to, że Finowie nie przygotowują dzieci do rozwiązywania testów. Sprawdziany są po to, by dowiedzieć się, co uczniowie wynieśli z lekcji, a nie po to, by nauczyli się, jak je rozwiązywać.

Od początku reformy systematycznie ograniczana jest rola oraz wpływ na codzienność fińskich szkół Ministerstwa Edukacji i Kultury.

Wydatki na fińską oświatę wynoszą 11 procent budżetu państwa (dane za 2015 rok). Dla porównania – średnia w Unii Europejskiej to 4,7 procent, w Polsce – 5 procent PKB[2].

Jako słabość swojej oświaty Finowie uznają brak oferty dla dzieci szczególnie uzdolnionych, a także niepokojąco duży procent absolwentów szkół powszechnych, przede wszystkim chłopców, którzy nie kontynuują nauki w szkołach zawodowych ani też nie podejmują pracy. Wyniki badań PISA w niektórych latach pokazały też znaczącą (sześć miejsc) różnicę pomiędzy osiągnięciami dziewczynek a chłopców.

Warto wiedzieć, że zanim fińska edukacja stała się wzorem dla znacznej części świata, czyli przed 2001 rokiem, w którym ukazały się wyniki pierwszego badania PISA, Finowie powszechnie narzekali na swoje szkolnictwo. Krytykowano obniżający się poziom nauczania, pogarszającą się wiedzę kandydatów na studia i brak motywacji absolwentów szkół średnich do pracy. Przynajmniej pod tym względem jesteśmy podobni...

[1] PISA to skrót od *Programme for International Student Assessment* (Program Międzynarodowej Oceny Uczniów). Badaniami zajmuje się Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju. Przeprowadza się je co trzy lata.

[2] Żeby dokonać uczciwego porównania wydatków na edukację, trzeba doliczyć do tego koszty ponoszone przez

rodziców – podręczniki, przybory szkolne, wpłaty na komitet rodzicielski, opłaty za wycieczki, zielone szkoły, papier do kserokopiarek, posiłki oraz chesne, jeśli dziecko chodzi do szkoły niepublicznej. Dopiero wówczas można porównać wydatki na edukację w Polsce i Finlandii.

Część druga

My

Strach

po raz drugi

Strach przed jedyką.

Przed panią od matematyki, która traktuje każdego jak debila.

Przed panią z sekretariatu, która zawsze ma zły humor.

Przed ośmieszeniem.

Przed byciem nagrany kamerką i przerobionym na mema.

Strach, że twojemu dziecku się nie uda.

Bo źle wybrałaś szkołę.

Bo nie ma korepetycji.

Bo ma korepetycje.

Bo pyskujesz i to się zemści na dziecku.

Bo milczysz i to zaszkodzi dziecku.

Strach przed panią z sekretariatu, panią od matematyki i panią od WOS-u.

Przed innymi rodzicami.

Przed ośmieszeniem.

Roszczeniowi rodzice

Nauczyciele uczący w szkołach, których uczniowie osiągają dobre wyniki w nauce i pracujący w środowisku, w którym rodzice są zaangażowani i zainteresowani edukacją swoich dzieci, w mniejszym stopniu odczuwają utratę prestiżu. Wyższe uznanie nie jest jednak nadawane automatycznie. Jak zauważają nauczyciele, szkoły, których uczniowie uzyskują wysokie wyniki z egzaminów zewnętrznych, przyciągają wymagających „klientów” – zarówno rodziców, jak i uczniów. W takich placówkach nauczyciele, bardziej niż w innych szkołach, czują, że są zobligowani do prowadzenia szczególnie urozmaiconych lekcji w oparciu o różnorodne materiały dydaktyczne. Badani nauczyciele mają poczucie, że w tzw. „dobrych szkołach” grupa oceniająca nauczycieli jest inna – bardziej nagradzająca wysiłki, jakość i styl pracy nauczycieli[1].

Pracując nad tą książką, zapisałam się do kilku grup na Facebooku poświęconych szkole. I, szczerze mówiąc, nie mogłam się doczekać dnia, kiedy będę mogła je wszystkie opuścić. Jest tam tak dużo złości, niechęci – nauczycieli do dzieci, rodziców do nauczycieli, nauczycieli do rodziców, jednych i drugich do dyrektorów – że po godzinie czytania komentarzy czułam się fizycznie chora. Niezależnie od tematu – czy chodziło o poparcie dla strajkujących pedagogów, czy problemy z Teamsami podczas zdalnego nauczania w pandemii, czy o prace domowe (chyba o nie toczymy najgorętsze spory) – wszystko prowadziło do walki na gołe pięści między nauczycielami a rodzicami.

Gdyby nie było rodziców, praca nauczyciela byłaby bajką.

Rodzice, wiem to z „moich” grup, są leniwi, roszczeniowi, niewdzięczni, nadopiekuńczy i zaniedbujący dzieciaki. Odrabiają za nie lekcje, robią prace plastyczne, a w czasach

pandemii pisali za swoje bąbelki klasówki i testy online. Nie mają ani czasu, ani ochoty do tego, żeby usiąść z dzieckiem przy lekcjach. Wszystko robią za nie. Masowo załatwiają lewe papiery o dysleksji, dysgrafii, autyzmie, choć ich dzieci są po prostu zaniedbane, niewychowane i rozpuszczone.

Rozumiecie już?

Och, rodzice potrafią się odwinąć! Nauczyciele zadają za dużo albo za mało prac domowych. Za bardzo cisną albo niczego nie wymagają. Są niedouczeni, przemądrzali, nie potrafią podejść indywidualnie do bąbla i nie wiadomo, dlaczego nie rozwiązują problemów, jakie w klasie sprawia jeden paskudny bachor.

I trzask, i prask.

Strasznie ciężko to się czyta. Wydaje się, że porozumienie jest niemożliwe – tak dużo w nas frustracji, poczucia bycia niezrozumianym. Ale... wystarczy, że rząd błysnie nowym pomysłem, wyda zarządzenia i na grupach nagle zapada zgoda. Rodzice, nauczyciele i nawet dyrektorzy stanowią zgrany front przeciwko ministerstwu. Pojawiają się uśmiechy!

Ewa Narożniak: W mojej szkole świadomie nie informuje się o wszystkim rodziców. Nie widzą nieobecności na lekcjach ani ocen opisowych. Dla niektórych to ulga, bo zdejmuje z nich odpowiedzialność za efekty nauki ich dzieci. Oczywiście byłoby nie w porządku wobec rodziców, którzy płacą za szkołę oraz są opiekunami swoich dzieci, gdybyśmy ich o niczym nie informowali. Widzą prognozy wyników semestralnych, zamieszczane przez nas mniej więcej miesiąc przed końcem semestru. Dajemy im znać, jeśli uważamy, że z dzieckiem dzieje się coś niepokojącego. Większość rodziców przyjmuje to dobrze. Ci, którzy mają z tym problem, próbują dyskutować w trakcie pierwszych zebrań. Tłumaczymy im, z czego to wynika i że nasz system nie różni się od tego z papierowym dziennikiem, do

którego można było zajrzeć jedynie w trakcie zebrania z rodzicami.

To dzienniki elektroniczne przyzwyczały rodziców, że widzą wszystko na bieżąco. Opiekunowie z czasem się przyzwyczajają do tego systemu, bo zaczynają nam ufać. Ale to jasne, że czasem, gdy rozmawiamy z rodzicami o nieobecności na lekcjach i trudnościach w nauce dziecka, zdarza nam się usłyszeć: „Dlaczego nie powiedzieli Państwo wcześniej?!”. I że to nasza wina, bo nie informujemy na bieżąco o problemach. Na pewno nie jesteśmy szkołą dla każdego i nie każdy (czy to uczeń, czy rodzic) będzie się dobrze u nas czuł. Dlatego czasem ktoś rezygnuje i zmienia szkołę. Ale przecież nie ma szkoły dla każdego.

Olga Skolimowska: Nie mam problemu, żeby powiedzieć mamie, że wychowuje swoje dziecko na niepełnosprawne. Oczywiście na boku, nie przy potomku! I często słyszę: „Dziękuję, że mi pani to powiedziała. Nie sądziłam, że to może już zrobić samo”. Część rodziców nie daje dziecku szansy przeżycia porażki. Nie dopuszczają nawet do tego, żeby dziecko się zdenerwowało, bo boją się, że ktoś uzna ich za złych opiekunów. Dlatego dziecko potrafi bardzo dużo na nich wymóc.

A w Finlandii sześciolatnie dziecko samo idzie dwa kilometry do szkoły. I nikt się nie przejmuje tym, że może nie zapiąć sobie kurtki i zmarznąć.

A.: Przychodzi do mnie mama ucznia, wygłasza dwa zdania na jego temat i są sprzeczne.

Olga Skolimowska: Brak pełnej komunikacji nauczyciela z rodzicem wynika z braku wzajemnego zaufania. Często nauczyciele dużo widzą, lecz milczą, bo boją się, że zostaną posądzeni o stawianie diagnoz, do czego nie mają uprawnień.

Rodzice często piszą skargi do różnych instytucji z zarzutem, że nauczyciele oczerniają lub szufladkują dziecko. Dlaczego? Ponieważ nauczyciele wskazują trudności u ich idealnego potomka. Uważam, że nie ma nic złego w tym, że dla rodzica jego dziecko jest najwspanialsze.

Myślę, że do pewnego stopnia rodzic powinien swoje dziecko idealizować. Niedobrze dzieje się wtedy, gdy nie ufając nauczycielom i idealizując dziecko, osobę przekazującą niepokojące informacje uznają za wroga. Przecież obie strony mają jeden cel: dobro dziecka.

Jarosław: Moja szkoła znajduje się niedaleko kuratorium, więc jeśli cokolwiek rodzicowi się nie spodoba, od razu idzie tam na skargę. Pomijając wychowawcę, pedagoga, dyrektora. Ale ja nie mogę narzekać. Od trzech lat mam wychowawstwo; dostałem je, choć nie chciałem, ale nikt już nie mógł wziąć klasy.

Nie mam ani jednego dziecka z orzeczeniem, poziom fajny, zachowanie dzieci też, rodzice ze sobą związani, na koniec roku szkolnego robią wspólnego grilla. Sędziowie, lekarze, a wszyscy grzeczni... Śmieję się, że jaki wychowawca, taka klasa.

Danusia: Prowadzę koło teatralne. Koleżanka, która pracuje w Warszawie, dała mi scenariusz przedstawienia *Czerwony Kapturek z różnych stron świata*. Namówiłam rodziców moich dzieci, żebyśmy to wystawili, bo tam grają dorośli. Ci rodzice pracują na gospodarstwie, musieli wieczorem wydoić krowy, zrobić porządek i dopiero mogli przyjechać na dziewiętnastą na próbę do szkoły.

To wymagało od nich niesamowitych wyrzeczeń, ale dali radę.

Przedstawienie zrobiło furorę! Nauczyciele i rodzice tańczyli, zapraszali do zabawy osoby z publiczności, a w finale śpiewaliśmy piosenkę *Znamy się tylko z widzenia...* Poproszono nas o dodatkowe występy.

Olga Skolimowska: Przychodzi rodzic i mówi, że jego dziecko pięknie głośkuje. Gdy to sprawdzam, pytam, która głoska jest pierwsza, a ono nie potrafi odpowiedzieć.

„Moje dziecko potrafi liczyć do dwudziestu!”. No, nie potrafi, bo kiedy proszę, żeby przyniosło trzy jabłka, to nie wie, ile to jest.

Basia: Umawiamy się, że w weekend dziecko nie będzie siedzieć przy komputerze, bo ma z tym problem. Rodzic przychodzi w poniedziałek do szkoły i zapewnia: „Nie, nie siedział, skądże, żadnego internetu”. A dziecko samo przyznaje, że grało. Dlaczego rodzic kłamie? Wstyd mu, że pozwolił. A pozwolił, bo chce być fajny dla dziecka, chce pokazać, że jest po jego stronie. Przeciwno nauczycielce. A w wychowaniu musi być konsekwencja, musimy mówić jednym głosem, my i rodzice. Jeśli jest między nami rozdźwięk, dziecko natychmiast to wykrywa i wykorzystuje.

Aneta Korycińska: Jedna z mam, której dziecko miało autyzm, potrafiła dzwonić do mnie o godzinie dwudziestej drugiej, bo coś jej się przypomniało. Poczułam się osaczona. Ale takie zachowanie rodziców nie jest. Przecież oni też są samotni, z wieloma problemami, więc odzywają się do tych, którzy znają ich dzieci i którym można zaufać.

Lubię rodziców zainteresowanych uczniami. Martwi mnie, że czasami przez trzy lata wychowawstwa nigdy nie widziałam opiekunów dziecka. Miałam kilka rozmów w kwestii poprawy oceny, ale to były zaledwie dwa przypadki, zawsze dochodziliśmy do porozumienia.

Staram się też rozmawiać z rodzicami w obecności dzieci – wtedy łatwiej o wyjaśnienie intencji, potrzeb, nie ma niedomówień. Pamiętam też nieprzyjemną sytuację: uczeń zachował się bardzo nieodpowiednio wobec drugiego. Rodzice zostali wezwani do szkoły i okazało się, że podobnie jak ich

dziecko kierują się zasadą „po trupach do celu”. Innym razem ojciec krzychał przy mnie na swoje dziecko, inny kłócił się z żoną – zawsze wtedy wkraczam i nie przejmuję się tym, że może nie powinnam tego robić. Ale skoro oni traktują przy mnie źle swoich bliskich, natychmiast daję im reprimendę (choć bywam o połowę młodsza od nich).

Najgorszy typ rodzica to taki, który nie zauważa, że krzywdzi swoją rodzinę, albo nie widzi problemów dziecka i uważa, że jest ono niezdolne i leniwe.

Danusia: U nas w gminie dużo osób wyjeżdża do pracy za granicę. Z tego powodu co roku w pierwszej klasie nie ma kilkorga dzieci z listy. Bo niby są w naszym rejonie, ale mieszkają z rodzicami we Francji albo w Belgii.

Jest też trend odwrotny – rodzice, którzy przeprowadzili się do miasta, tam mieszkają i tam pracują, decydują się posłać dzieci do naszej szkoły, bo wolą, żeby dorastały na wsi, gdzie jest spokojnie, bezpiecznie, świeże powietrze. Czasem jest tak, że w tygodniu te dzieci mieszkają u dziadków, a rodzice dojeżdżają do nich na weekend.

Szkołę mamy dobrze wyposażoną: komputer, tablica multimedialna, pomoce – nie odbiegamy od placówek w miastach.

Aneta: W publicznym liceum po lekcji, na której była mowa między innymi o homoseksualizmie, zadzwoniła do mnie uczennica, mówiąc: „Proszę pani, jest afera, ojciec będzie do pani dzwonił. Ale niech się pani nie przejmuje, mój tata jest homofobem”.

Olga Skolimowska: Bardzo częstym problemem w przedszkolu są próby wyciągnięcia przez rodziców informacji o nie swoim dziecku. Albo skargi na inne dziecko. Nie możemy rozmawiać o dzieciach z nikim oprócz ich opiekunów. Gdy wiemy, że jest

konflikt między dziećmi, zapisujemy to w zeszycie i informacja trafia do rodziców obu stron. A my obserwujemy, czy rzeczywiście jest konflikt. A może już po sprzeczce i dzieci się znów fajnie razem bawią? Im starsza grupa, tym częściej zachęcamy dzieci, żeby same rozwiązały problem, bez udziału wychowawczyni i rodziców.

Basia: Część dzieci jest pozbawiona jakiejkolwiek kontroli w domu. Gdy wychodzą ze szkoły, rodzic idzie z nosem w telefonie i za nim dziecko, też z nosem w telefonie.

Weronika: Przychodzą rodzice i mówią ci, jak masz uczyć, bo wiedzą lepiej. To niech uczą sami.

Basia: W szkole prawa mają dzieci, prawa mają rodzice, tylko nauczyciele nie mają żadnych praw! Jesteśmy najniżej w szkolnej hierarchii. Już przed przegrany strajkiem tak było, ale on to umocnił. Uczymy dzieci, że trzeba być konsekwentnym, a sami co zrobiliśmy? Okazaliśmy się niekonsekwentni, więc nasz autorytet jeszcze bardziej podupadł. I w ich oczach, i w oczach rodziców. Ci byli wściekli, bo nie mieli co zrobić z dziećmi. Przychodzili i pytali: „To ile jeszcze? Jak długo?”.

Renata: Rodzice są nieprzewidywalni. Mogą być twoją siłą i wsparciem w pracy, a mogą też sprawić, że zaczniesz czytać przepisy o nękanii i powództwie cywilnym.

Z.: Nauczyciel tonie w papierach, a każdy rodzic chce wiedzieć, czy jego dziecko zjadło cały obiad.

Piotr Śmiałkowski: Rodzice? Nie narzekam. Nie mam z nimi problemów. Oczywiście są tacy, którzy uważają, że gdy mieli zły dzień w pracy, to mogą przyjść do szkoły i nawrzeszczyć na mnie. Ale ja nie jestem chłopcem do bicia. Kiedy rodzic krzyczy, myślę: „Wariat” i kończę rozmowę.

Renata: Przychodził do mnie ojciec ucznia i krzyczał: „Niech pani pomyśli! Myślenie nie boli!”. To był tata chłopca, który miał na półrocze pięć jedynek. Ale nie to go zabolalo. Ubodło go to, że jego syn miał zachowanie „poprawne”. A miał takie, bo w pogardliwy sposób mówił o kolegach z klasy. Zwróciłam panu uwagę, że to, co do mnie mówi, jest niegrzeczne, i poprosiłam, żeby na przyszłość mierzył się ze słowami. W wyniku tego napisał podanie do dyrekcji z prośbą o to, by dziecko nie miało ze mną żadnych kontaktów.

Dyrekcja zaś zarządziła, że żaden z nauczycieli nie może spotykać się z tym tatą w pojedynkę, zawsze musi być świadek.

Aneta Korycińska: Ojciec pracuje za granicą. W domu jest raz w miesiącu i wtedy próbuje poukładać dzieci. Pyta: „Proszę pani, jak mamy wychowywać syna?”. Odpowiadam: „Proszę pana, nie wiem. Ja mam psy. Jest łatwiej”.

Męczą mnie rodzice, którzy mówią: „Dziecko jest nieogarnięte, wciąż nie wie, na jakie studia chce iść”. Jakby uważali i tłumaczyli się z tego przede mną, że im się dziecko nie udało. Jak syn nie wie, co chce studiować, zapytaj, co mu się podoba, co sprawia, że chce mu się rano wstać. A że to coś się nagle zmieniło? Co za problem? Wymarzył sobie psychologię, ale jednak woli biologię. Okej, to zmieniamy rozszerzenie, nadrabiamy zaległości i jest super.

Aneta: W obecnej szkole rodzice są super. Rozmawiam z mamą chłopca o tym, że na lekcji mówił o waleniu konia. Ona na to: „Rozumiem, sama mam ochotę go udusić, ale co mogę zrobić?”.

Z.: Bez zgody rodziców NIC nie możesz zrobić w szkole. Na przykład trafia ci się uczeń z problemami, które rodzice wypierają. Prosisz o diagnozę psychologiczną, a rodzice odpowiadają, że z ich dzieckiem jest wszystko w porządku. Uczeń chodzi po ścianach, lekcje w jego klasie praktycznie się

nie odbywają, a ani wychowawca, ani dyrektor nie mogą nic zrobić. Wówczas dla szkoły najlepiej jest doprowadzić do sytuacji, kiedy rodzic się obraża i zabiera trudne dziecko. Drugie wyjście to poprosić sąd rodzinny o wgląd w sytuację ucznia. Ale to gorsze rozwiązanie, bo zanim sąd rozpatrzy sprawę, dziecko dorośnie i skończy szkołę.

Mariusz: Wiadomo, że rodzice ciągną w swoją stronę i mają sprzeczne oczekiwania. Jedni chcą więcej prac domowych, drudzy nie chcą ich wcale. Ale na to jest proste rozwiązanie. Mówimy: w naszej szkole są takie a takie zasady i my się ich trzymamy. I pozamiatane.

Weronika: Nie rozumiem, dlaczego rodzic przyprowadza dziecko do topowej szkoły, wierząc, że tu nauczyciele dobrze je nauczą, i jednocześnie traktuje nauczyciela jak śmiecia. Nieudacznika bez pojęcia o czymkolwiek.

To jest szczególnie widoczne w prywatnej szkole, w której rodzic jest klientem i w związku z tym chce, żeby wszystko było do niego dopasowane. I pół biedy, jeśli dyrektorka tylko wysłuchuje tych oczekiwań, gorzej, jeśli pozwala, żeby rodzice zarządzili jej szkołą, decydując, kto, czego i jak ma uczyć.

Mariusz: Nie mam problemów z rodzicami, ale ja lubię rozmawiać z ludźmi. Nie wszyscy to lubią.

Kiedyś zadzwoniła mama ucznia i wyżyła się na mnie przez telefon, ale to zdarzyło się raz w ciągu dziesięciu lat. Zresztą później za to przeprosiła.

Aneta Korycińska: Są rodzice, którym trzeba tłumaczyć podstawowe rzeczy. Na przykład mówić, że skoro ich dziecko nienawidzi swojego ciała, to potrzebuje terapii, bo jest mu bardzo ciężko.

Anna: Nauczyciel według rodziców i dzieci to *loser*. Pracuje w szkole, bo nikt inny go nie chciał.

Piotr Śmiałkowski: „A tu pan nie wpisał mojemu dziecku trzech punktów, choć wynik w zadaniu podało dobry”. No tak, bo ja nie oceniam tylko wyniku, ale sposób rozwiązania. I moim zadaniem jest nauczyć dziecko matematycznego zapisu – dane, szukane, rozwiązanie.

„Pan jest stronniczy”. Zawsze powtarzam moim rodzicom: „Jeśli uważacie, że moim celem jest krzywda waszego dziecka, zabierzcie je ode mnie”.

Renata: Rodzice próbują wymusić zmianę oceny, bo mają jedno dziecko i traktują je jak królewicza. Albo mają dziecko mało lotne, ale upierają się, żeby skończyło tę samą szkołę co wujek, który jest profesorem.

Weronika: Trzy czwarte klasy nie ogarnia programu z matematyki. Ale twoje dziecko jest dobre, więc przychodzisz z pretensją, że na lekcji nauczyciel nie przygotowuje go do konkursu.

Basia: Rodziców trzeba informować o każdej trudnej sytuacji, jaka zaistniała. Inaczej nie wierzą w to, co mówimy im o zachowaniu ich dzieci. Może uwierzyliby, gdyby byli częściej wyzwani do szkoły?

Weronika: Dziesięć lat temu zauważyłam, że rodzice nie dopuszczają do tego, żeby ich dziecko miało słabsze strony. Jeśli zauważą, że w czymś jest słabsze albo gdy zwróci na to uwagę nauczyciel, domagają się, żeby to zmienić. Nie akceptują faktu, że dziecko nie może być dobre we wszystkim.

Radek: Wiem o wszystkim, co dzieje się u moich dzieci w domu. Jak kto mieszka, jakiego ma kota, jakie dostaje kary. Wiem, że tata pobił na wakacjach w Turcji pana i musiał przez tydzień

mieszkać w innym hotelu. Kiedy w domu ucznia dzieje się coś złego, idę do dyrektorki, a ona już się tym zajmuje.

Kiedy notowałam wypowiedzi moich rozmówców (pełne złości, goryczy i wyrzutów wobec rodziców ich uczniów), czułam się dziwnie. Co rusz wydawało mi się, że mówią o mnie. To ja chciałabym, żeby szkoła była świecka, to mnie drażniło w naszej podstawówce publicznej doroczne święcenie tornistrów, obowiązkowe jasełka w przedszkolu, religia w środku dnia. To ja wierzę mojemu dziecku, gdy mówi, co je spotkało w szkole, bo moje dziecko zwykle znam dłużej i lepiej niż jego nauczycieli. To ja wielokrotnie, nie zawsze mając rację, domagałam się od wychowawczyń czy dyrektorek uwzględnienia specjalnych potrzeb tego czy tamtego mojego dziecka. Kłóciłam się z nauczycielami, chodziłam na skargę do dyrekcji, zmieniałam dzieciom szkoły. Na pewno byłam w tym bardziej ofensywna i wymagająca niż moi rodzice. Czy to rzeczywiście źle? Na pewno trudniej dla nauczycieli, ale czy nie lepiej dla dzieci?

Przyznam jednak, że wzięłam sobie do serca frustrację nauczycielek i nauczycieli wyrażoną w raporcie Fundacji Szkoła z Klasą: prawie połowa z nich skarży się, że rodzice ich uczniów za mało z nimi współpracują, jeśli chodzi o kłopoty ich dzieci[2]. Szczególnie przemówiło do mnie obrazowe porównanie przeciągania liny między szkołą a domem; sprawdzanie, kto okaże się silniejszy, kto wygra: nauczycielka czy mama?

[1] M. Smak, D. Walczak, op.cit., s. 24.

[2] *Rozmawiaj z klasą. Zdrowie psychiczne uczniów i uczennic...*, op. cit.

Nasze rozwydrzone dzieci

Część nauczycieli jednoznacznie negatywnie ocenia wzrost podmiotowości uczniów, zmianę charakteru relacji w klasie, zarzucając podopiecznym brak poszanowania dla autorytetów. Inni natomiast starają się budować swoją pozycję poprzez skracanie dystansu dzielącego ich z uczniami. Tacy nauczyciele stają się idolami dla młodzieży, ale nie są szanowani przez kolegów z pracy[1].

W 2019 roku raper Mata nagrał nowy utwór *Patointeligencja*. Maturzysta rapował na tle swojej dawnej szkoły, renomowanego warszawskiego II LO im. Stefana Batorego:

*(...) Mój ziomo chciał wypłatę starego przećpać
Nie pykło, bo była tak wielka
Że dużo prędzej by tu kopnął w kalendarz (ej)
Mój ziom się powiesił w sylwestra
A ciągle pamiętam, jak kradliśmy te flaszki z Carrefa
I jak je piliśmy na hejnał o 8:20
I tak najebani na przerwach, bez przerwy, och
I tak najebani na przerwach, bez przerwy
I tak najebani na lekcjach, my to patointeligencja*

Utwór wywołał ogromną dyskusję o kondycji polskich nastolatków z zamożnych domów, uczniów szeroko rozumianych dobrych szkół.

A.: Mata zaśpiewał o tym, jak jest. Tak właśnie młodzież radzi sobie z presją. Z napięciem, z walką o punkty, o procenty, o wynik na egzaminie. To im robią rodzice. Akurat moja klasa wychowawcza teraz mniej ćpa.

Boże, oczywiście, że o tym wiem! I narkotyki, i dopalacze. Ja przecież ich pytam. Pytam, czym oni się stymulują, żeby wytrzymać osiem godzin matematyki tygodniowo i drugie osiem korepetycji. Odpowiadają: „Przecież pani wie”.

Z niektórymi łapię kontakt po szkole i wtedy mówią szczerze i dokładnie, stąd wiem, że teraz mniej ćpają[2].

Irmiona: Lekcja, kilku chłopaków ćwiczy, dwóch czeka na ławce na swoją kolej. Gadamy. Pytam: „Co wy, chłopaki, robicie popołudniami?”.

„No, na dyskotekę w sobotę idziemy”.

„Macie dziewczyny? I jak te sprawy?”.

„Kupuję kubek wina i rucham, ile się da” – mówi jeden.

„A za papierosa dziewczyny robią laskę za stodołą” – dodaje drugi.

Co ja na to? Miałam dwadzieścia sześć lat, świeżo po studiach, w ławkę mnie wbiło. Ale popatrzyłam i mówię: „No, to chyba zadowoleni z tego jesteście?”.

Olga Skolimowska: Zdumiewa mnie liczba dodatkowych zajęć, na które chodzą „moje” dzieci. Angielski – zawsze. Jeszcze dziecko dobrze po polsku nie mówi, a już ma angielski. Potem dochodzą karate, piłka nożna, robotyka (choć w przedszkolu mamy roboty!), balet albo breakdance, zajęcia teatralne (mamy teatrzyk!). Średnio moje dzieci mają po trzy różne zajęcia dodatkowe w tygodniu, na przykład angielski o ósmej rano, przed przedszkolem. I nie daje się tego wyperswadować rodzicom.

Radek: Na pewno dzieci są bardziej rozproszone, pobudzone, krócej utrzymują kontakt wzrokowy. Wiadomo, że ja nie wymagam Bóg wie jakiej koncentracji od trzylatka, ale zauważam, że dziś dzieciom trudniej się skupić. Nic dziwnego, skoro nawet maluchy siedzą całymi godzinami wpatrzone

w komórki i tablety. Potem są przebudźcowane, a organizm musi jakoś to odreagować.

Anna: Zawsze mi mówiono, że wzbudzam respekt. Studenci, których uczyłam w Nauczycielskim Kolegium Języka Angielskiego, przyznali, że się mnie boją. Z rodzicami uczniów nie mam problemów, słuchają mnie, bo mnie szanują.

Na uczniów ta magia nie działa. Kiedy po latach wróciłam do szkoły, tej samej, w której pracowałam po studiach, ze zdumieniem odkryłam, że nie umiem zapanować nad klasą. Uczeń potrafi wprost powiedzieć: „Na mój szacunek musi pani zapracować”.

To jest nowe. Internet zabił autorytety, myślę, że nie tylko nauczyciela. Tłumaczę znaczenie jakiegoś wyrazu, a uczeń wyjmuje smartfona i mówi: „Tu mam napisane inne znaczenie”.

I piętnaście minut schodzi na tłumaczeniu. Kiedyś sprawdziłby to na przerwie i ewentualnie, jakby miał odwagę, zapytałby mnie, czy się nie pomyliłam. I proszę mnie dobrze zrozumieć – ja się nie boję pytań, bo wiem, że sobie poradzę. Uczyłam nauczycieli, napisałam razem z Anglikami podręczniki do nauki angielskiego. Mam problem jedynie z formą tych pytań i z założeniem, że nauczyciel musi być głupi.

Basia (ta, która w pierwszym miesiącu pracy złamała chłopcu ołówek, którym dźgał koleżankę): Dziś gdybym tak zrobiła, dzieci by mnie zaatakowały! Zacząłby się krzyk, że nie mam prawa, że i tak nic im nie zrobię, bo nie mogę!

A czy ja bym teraz tak postąpiła? Nie. Teraz gdyby dziecko stwarzało w klasie zagrożenie swoim zachowaniem, wezwałabym pedagoga albo psychologa i któreś z nich zabrałoby dziecko do siebie, by się wyciszyło. Ale czternaście lat temu miałam w klasie takiego chłopca sporadycznie, a teraz to norma. Zwracam dziecku na przerwie uwagę, a ono w amoku

puszcza do mnie wiązanekę, jakby w ogóle bez świadomości, że mówi do dorosłego! Albo pyta: „A co mi pani zrobi?”.

No nic mu nie zrobię. Ja to wiem i ono wie. Nic mu nie zrobię, bo nie mam żadnych narzędzi. Jestem bezsilna.

N., polonistka, nauczycielka polskiego w czwartych i piątých klasach w podwarszawskiej miejscowości: Z roku na rok jest coraz gorzej. Nie wiem, kto te dzieci wychowuje! Nie uznają żadnego autorytetu! Rozwrzeszczane, rozgadane, przerywają sobie nawzajem i mnie, uspokoić ich nie można. Ciągłe im powtarzam: „Jak ktoś może was szanować, skoro wy sami siebie nie szanujecie?”.

Basia: Dzieci dzisiaj nie są wychowywane, tylko chowane przez rodziców. Kłamią w żywe oczy, bez wstydu. Widzę, że chłopiec coś rzucił w kąt. Mówię: „Podnieś”, a on patrzy mi w oczy i odpowiada, że nie zrobi tego, bo to nie on rzucił.

Danusia: Pracuję w tej szkole od trzydziestu lat i nie widzę, żeby dzieci się jakoś zmieniły. Jedyna różnica jest taka, że mają ubogie słownictwo i coraz częściej wady wymowy. Myślę, że to przez to, że rodzice mało z nimi rozmawiają. Zamiast rozmowy jest internet.

Aneta Korycińska: Czym się różnią dzieci z lepszych szkół od tych z przeciętnych? Przepraszam za śmiałość, ale tym, że biorą droższe dragi. To taka anegdota z początków mojej pracy, gdy poznawałam warunki w różnych szkołach. Prawda jest taka, że w obu typach szkół mają takie same problemy, może niektóre widziały więcej i wiedzą więcej, bo mają więcej możliwości poznawania świata, ale wszyscy chcą być kochani, zakochują się, przeżywają różne rozterki i kryzysy. Jednych jednak stać na pomoc terapeutów, a drugich nie, a to już nie zależy od tego, czy chodzą do dobrych czy przeciętnych szkół.

A.: Te korepetycje, przygotowywanie do konkursów, dodatkowe zajęcia, dobre warunki w domu, ciepłarniana atmosfera, wydawanie pieniędzy rodziców – mogę się podpisać pod tym, co zaśpiewał Mata. To pokolenie się nie kłóci, nie buntuje. Moim zdaniem są na to zbyt zmęczeni. Ich bunt? Pofarbowanie włosów. Farbują się na fiolet, róż, czerwień i nie mają świadomości, że to żaden bunt, tylko bezradność.

Katarzyna Kabzińska: Nasze życie jako starców będzie zależało od tego, jak wychowamy młode pokolenie. A my bardzo często marnujemy ich talenty. Dzieci mają małe wsparcie nauczycieli, w topowych liceach właściwie uczą się same. Cała odpowiedzialność za wyniki w nauce spoczywa na uczniach, nauczyciel jest tylko od oceniania i sprawdzania wiedzy. Moim zdaniem dzieje się tak, ponieważ szkoły chcą utrzymać wysoką pozycję w rankingu szkół średnich. Dlatego trzeba „odsiać” uczniów, którzy wymagają pomocy ze strony pedagogów, tak żeby nie zaniżyli wyników na egzaminie maturalnym. Uczeń bardzo często jest po prostu liczbą i to najbardziej przygnębia.

Szkoły ze średniej półki częściej pochylają się nad młodym człowiekiem, chociaż niestety wciąż za mało. Za mało słucha się ucznia, obserwuje. W szkołach publicznych nie ma na to ani przestrzeni, ani czasu. Problemem są przepełnione klasy i brak środków finansowych.

C.: Chcę zadać pracę domową, uczniowie proszą, żeby tego nie robić. Za każdym razem. Nie dlatego, że zadania są trudne albo że bardzo ich dużo. Wiedzą, że nie będą mieli na nie czasu. Kiedy tylko wrócą ze szkoły, rodzice zagonią ich do pracy. Bo na wsi nadal dzieci pomagają na polu i w gospodarstwie. Jeśli mają po lekcjach się uczyć, to robią to kosztem snu.

Jarosław: W szkole podstawowej, do której chodziłem, był profil narciarstwo biegowe. Mieliśmy sześć godzin WF-u w tygodniu, a po lekcjach na polu robiliśmy sobie skocznię do skoku wzwyż. Nagrabiło się liści, żeby miękko było lądować, i się skakało. Kiedy w telewizji pokazywali turniej czterech skoczników, też się skakało na nartach. Kolega, kamikadze, skoczył kiedyś ze skoczni na biegówkach! Każdy walczył o to, żeby pożyczyć ze szkoły jak najlepsze narty, bo swoich nie mieliśmy.

A teraz? Każdy ma smartfon w ręku. Tam, gdzie uczę, jest zakaz używania telefonów, ale to martwy przepis. Nikt go nie przestrzega. Myślę, że tego już się nie da naprawić. Wiadomo, że dziecko nie będzie ćwiczyć z telefonem, więc jako wuefista mam łatwiej.

Kiedyś mało kto nie ćwiczył, a teraz coraz więcej dzieci robi wszystko, żeby tylko WF przesiedzieć na ławce. Gdyby tak było tylko na moich lekcjach, to pomyślałbym, że przynudzam, ale słyszę, że u innych nauczycieli jest tak samo.

U nas w szkole WF odbywa się dwa razy w tygodniu na sali gimnastycznej, a dwa razy na korytarzu, bo jest dużo dzieci, dużo grup i nie da się wszystkim zorganizować zajęć na sali. Trochę uczniów rozumiem, bo wiadomo, że na korytarzu lekcja nie jest bardzo atrakcyjna. Dobrze by było, żeby dziecko się na WF-ie nieco wyszalało, a tu trzeba być cicho i nie przeszkadzać. Więc co można robić? Gimnastykę, bo przecież nie futbol.

Basia: Prowadzę WF. Każda lekcja z dziewczynkami jest problemem. Bo niedysponowana, bo nie ma koszulki, bo jej się nie chce. A przecież my na zajęciach oceniamy nie efekty, a przygotowanie i zaangażowanie ucznia!

Olga Skolimowska: Cieszę się, że mnie inaczej wychowano, inaczej niż obecnie, kiedy rodzice niewiele od dzieci wymagają. Co mam na myśli?

Nie uczymy maluchów samodzielności, zapinamy trzylatkom buciki na rzep, przewracamy skarpetki na prawą stronę. Miałam w grupie czterolatki, które przed wyjściem na plac zabaw wyciągały ręce, jak lalki, żeby je ubrać! Kiedy powiedziałam: „Założ sam kurtkę”, dziecko nie wiedziało, dlaczego ja tego od niego wymagam!

Basia: Mówi się tylko o prawach dzieci. A co z ich obowiązkami?

C.: Pyta mnie ósmoklasista: „Proszę pani, ale po co ja mam się tego uczyć? I tak przejmę gospodarkę po rodzicach, już mi to zapowiedzieli, to do czego mi się przyda ta cała wiedza o amperach?”.

A.: Mówiłam, że dzieci nie mają siły na bunt, bo są przemęczone. Raz, że program, dwa – że korepetycje. Część z nich ma drugą szkołę po szkole. Po co? Bo rodzice cisną. Wywierają na nich presję o oceny, o procenty na maturze. To oni sprawiają, że ta młodzież żyje w napięciu.

Rodzice mają ogromne oczekiwania i to widać nawet w moim liceum, które nie jest w czołówce. I co ciekawe, mają te wymagania tylko wobec dzieci, nie wobec nauczycieli. Im więcej w szkole się wymaga, a mniej tłumaczy, tym według nich lepiej. Dzieci wyjaśniają, że ich rodzice cieszą się, kiedy nauczyciel mało wyjaśnia, a dużo wymaga, bo to chyba znaczy, że jest dobry. Nie interesuje ich to, że wtedy dziecko uczy się na korepetycjach. To rodzicom nie przeszkadza. Uważam, że to wstyd, jeśli moim uczniom nie wystarczają moje lekcje, żeby się dobrze przygotować do matury.

Irmiona: Pracowałam w szkole plastycznej, uczyłam dziewczyny. Tam były same „gotki”. Bardzo artystyczne i uduchowione. Nie chciały w ogóle ćwiczyć, bo bały się, że połamią sobie paznokcie. Jedyne, co lubiły, to skakanie przez liny. Ja je

rozumiałam: w tym wieku dziewczęta dużo myślą o swoim wyglądzie, dbają o niego. Jednocześnie nie mają (w przeciwieństwie do chłopców) potrzeby konkurowania. Im zwyczajnie nic nie chciało się robić. Mówiłam: „Nie masz stroju? Okej, tam masz skakankę, tam trampolinę. Nie musisz robić tego, co ja akurat proponuję, ale musisz się czymś zająć”. Na WF-ie jest jak na każdej innej lekcji – są osoby zdolne, przeciętne i takie, z których nic się nie wykrzesze. Co robić, kiedy dziewczyna płacze, że ona nie może, nie chce, nie lubi, wszystko ją męczy? Takim mówiłam: „Dobra, to wy spacerujecie dookoła boiska”. Uważam, że to lepsze, niż żeby dziewczyna przyniosła mi roczne zwolnienie z zajęć.

Łatwo było z nimi nawiązać kontakt. Wystarczyło powiedzieć: „Ale masz ładny lakier!” i już zaczynała się rozmowa. Ale nie o seksie, jak w budowlance. U artystek było tylko o nich. „Ja, ja, ja”. Ale od nich nauczyłam się, jak robić gęste rzęsy.

Ewa Narożniak: Cztery lata temu uczniowie drugiej klasy trzyletniego liceum wezwali nas (wszystkich nauczycieli i dyrektorkę) na rozmowę dyscyplinującą. Powiedzieli nam, jak bardzo dużo mają pracy, która skumulowała się na koniec roku, jak bardzo to ich stresuje i jak bardzo przez to tracą chęć do nauki. Powiedzieli nam, że czują się samotni, bo my zajmujemy się pierwszoklasistami (bo są nowi) i trzecioklasistami (bo mają maturę). Oni, środkowi, są opuszczeni. Byli świetnie przygotowani do tego spotkania, spokojni, opanowani.

Byliśmy z nich ogromnie dumni, choć to nie była łatwa rozmowa – uczniowie wytknęli błędy niektórym z nas z nazwiska, skarżąc się na to, że na przykład ktoś zawałał lekcje, nie przychodził i z tego powodu materiał z danego przedmiotu nie został zrealizowany.

Mnie zarzucili, że jako opiekunka roku (u nas to odpowiednik wychowawcy) za mało się nimi opiekowałam. To były duże

emocje i dużo przemyśleń. Bo co to znaczy „za mało”? Ile opieki będzie w sam raz? Jak to określić? Jak sobie poradzić z tym, że uczniowie mają różną wrażliwość, różne potrzeby? Ale to spotkanie wiosną na patio zmieniło naszą szkołę. Zorganizowaliśmy serię rad pedagogicznych, podczas których zastanawialiśmy się, co zrobić, jak się zmienić. To właśnie wtedy zdecydowaliśmy, że w naszej szkole uczeń musi się zgodzić na to, by powtarzać klasę. Najważniejsze jednak było to, że zaczęliśmy się zastanawiać, czego my w ogóle od nich wymagamy. Czy nie przesadzamy? Może za bardzo obarczamy ich obowiązkami?

Cały czas trwa dyskusja. Jedni mówią, że powinniśmy się uczniami bardziej opiekować, bardziej ich wspierać, a mniej wymagać. Inni – że programu nie można w nieskończoność ciąć. Że są niezbędne przedmioty, niezbędne lektury. Myślę, że najważniejsze jest to, że ta rozmowa trwa, że zadajemy sobie te pytania.

Anna: Jak nie powiem, żeby wyjęli zeszyty, to nie wyjmą. Jak nie powiem, żeby zanotowali, to nie zanotują. W pierwszej klasie liceum dzieci są jak marionetki, same niczego nie robią. W gimnazjach tak nie było. Stanowiło ono pewny bufor między szkołą podstawową a liceum.

A.: Trzy czwarte dzieci wyrasta w przekonaniu, że wszystko w życiu zależy od pieniędzy i wysokości pensji. Ale tu nie chodzi o to, że aż tak bardzo chcą posiadać drogie rzeczy, im zależy na bezpieczeństwie. Bo te dzieci bardzo się bardzo boją. Czego? Choroby. Tego, że jeśli zachorują (sami albo ich bliscy), to nie będzie ich stać na leczenie. Boją się, bo widzą, że status, pozycja w grupie rówieśniczej i w całym społeczeństwie zależy od pieniędzy. Kiedy to się zaczęło? Dziesięć lat temu uderzyło mnie to po raz pierwszy.

Aneta: Czuję się bezradna i sfrustrowana. Nie wiem, jak reagować. Idę do wychowawcy, a on mówi, że trzeba zrozumieć, że te dzieci są rozbrykane. Nie są rozbrykane. Są chamskie.

Anna: Tym dzieciom coraz trudniej jest coś wynieść z lekcji. Mają takie problemy z koncentracją, że po dwóch minutach skupienia odlatują. Ale to nie dotyczy tylko dzieci, widzę, że i mnie jest trudno skupić się na dłuższym tekście. Zanika umiejętność bycia tu i teraz, umiejętność głębszej refleksji.

A.: Kiedy przyszłam do pracy, młodzież była bardziej samodzielna. Teraz została przez rodziców „udziecinniona”. Rodzice odebrali im prawo do buntu, więc ogromnie tym dzieciom współczuję, bo ja sobie nie wyobrażam życia bez buntu, bez starania się o wolność. A one są tego pozbawione. Nie kłócą się, nie walczą, nawet nie mają takiej potrzeby. Dlaczego?

Moim zdaniem te dzieci są tak przemęczone, że nie mają na nic siły. Poza tym to pokolenie jest takie samo jak poprzednie. Tylko ich potencjał został przytłumiony.

Patrzę na troje moich nastoletnich dzieci – czy faktycznie są takie niesamodzielne, nadwrażliwe, przytłumione? Na pewno zmieniła je, podobnie jak nas, ich rodziców, pandemia. Odebrała dużo entuzjazmu, sił, popchnęła w stronę depresji, osłabiła relacje towarzyskie. Ale nadal te dzieci – nie tylko moje, lecz także ich przyjaciele i przyjaciółki, kumple ze szkół i z internetu – wydają mi się kolorowe, ciekawe świata, choć innych jego kawałków niż my kiedyś. Ale one żyją w zupełnie innym świecie niż my. Kiedy narzekam, że mój najstarszy syn już nie czyta o fizyce, on patrzy na mnie ze zdziwieniem i mówi, że jak najbardziej czyta, ale nie to, co mu przynoszę

z księgarni. Bo to już zna. Czyta w internecie, na anglojęzycznych specjalistycznych blogach. Kupiłam najnowszy numer pisma naukowego – już znał zagadnienia, z YouTube’a.

Moje środkowe dziecko, jak ja w wieku piętnastu lat, uwielbia robić zdjęcia. Ja je wywoływałam na powiększalniku przyjaciółki, moja córka – wrzuca na Instagrama, dokładając mniej lub bardziej udane filtry i naklejki. W pierwszym momencie robienie fotek telefonem wydaje się gorsze, mniej wartościowe i mniej twórcze niż fotografowanie analogową lustrzanką. A w drugim?

Zmienia się czas, zmieniają się narzędzia, trudno, żeby nastolatka sama z siebie wybrała dziś fotografowanie Zenithem XP, gdzie oczekiwanie na efekt końcowy jest zdecydowanie dłuższe niż w przypadku zdjęcia robionego telefonem komórkowym. Ja w jej wieku wybrałabym komórkę.

Inna rzecz, że wszyscy widzimy gołym okiem, że te zmieniające się narzędzia zmieniają i nas. Tak jak mówi wyżej jedna z nauczycielek, wszyscy tracimy cierpliwość i koncentrację niezbędną do przeczytania długiego tekstu. Wszyscy potrzebujemy zmian, nowości, kolorowych obrazków. To nie nasze dzieci wymyśliły internet i media społecznościowe, to nie one wprowadziły do swoich klas tablice multimedialne, tylko my. To my musimy więc pomagać im uporać się z negatywnymi skutkami obecności tych cudów techniki w ich życiu.

Tak, moje dzieci są mniej samodzielne niż ja w ich wieku. I to moja wina. Nie jeżdżą same pociągami, nie pojadą same pod namiot w te wakacje. Ale mają dużo większą niż ja w ich wieku wiedzę o świecie, dużo bardziej troszczą się – na co dzień, nie tylko w ramach filozoficznych dyskusji – o to, by ten świat jak najdłużej przetrwał w miarę dobrym stanie. To rówieśnicy moich dzieci, ci, na których tak często się narzeka, wychodzą na ulicę, domagając się, żebyśmy my, dorośli i nasi przedstawiciele

u władzy, zatroszczyli się o klimat, o Ziemię, o równość ludzi wobec prawa.

Może i niesamodzielnymi, ale wrażliwi, świadomi tego, co ich czeka, skłonni do nudzenia się, potrzebujący autorytetów jak każde nastoletnie pokolenie w historii świata i mocno, do bólu mocno, sprawdzający te autorytety. Myślę, że nie różnimy się aż tak bardzo, bo choć żyjemy w innych światach, czasem spotykamy się przy kolacji albo w samochodzie stojącym w długim korku w drodze do szkoły.

Jednocześnie nie dziwię się też bezradności nauczycieli. Nie ma tygodnia, by w mediach nie pojawił się artykuł czy program alarmujący o fatalnej kondycji psychicznej dzieci i nastolatków. Wskaźniki depresji już przed epidemią koronawirusa były przerażające, w trakcie kolejnych lockdownów szybowały w górę, a dostęp do pomocy psychologicznej i psychiatrycznej jest w Polsce żałośnie niski. I choć co roku przybywa dzieci z diagnozą depresji, ze spektrum autyzmu, z zaburzeniami zachowania, to według danych Fundacji na Rzecz Ucznia w dwudziestu tysiącach polskich szkół pracuje zaledwie dziesięć tysięcy ośmiuset psychologów szkolnych. To oznacza, że niemal połowa uczniów i ich wychowawców nie ma szansy na otrzymanie wsparcia na terenie placówki.

Jak z trudnym uczniem ma sobie poradzić nauczyciel, którego nie przygotowały do tego studia? I który nie ma w szkole profesjonalisty, który udzieli wskazówek? Bo zalecenia zawarte w opiniach lub orzeczeniach wydanych przez poradnie psychologiczno-pedagogiczne to mało.

Nie pomogą, gdy uczeń dokonuje samookaleczeń, zgłasza myśli samobójcze albo stosuje przemoc na terenie szkoły. A nie są to wyjątkowe historie – gdy NIK badał bezpieczeństwo w polskich szkołach, okazało się, że w ciągu dwóch lat na terenie każdej z trzystu siedemdziesięciu siedmiu sprawdzonych szkół dochodziło średnio do dziewięciu zdarzeń

stwarzających zagrożenie fizyczne. Dziewięciu DZIENNIE. Były to przede wszystkim bójkę. I nie chodzi tu jedynie o szkoły dla młodzieży zagrożonej niedostosowaniem społecznym!

Większość nauczycieli to widzi. Widzi pogarszający się stan psychiczny i zagubienie swoich uczniów i czuje frustrację, bo nie umie im pomóc.

W 2021 roku Fundacja Szkoła z Klasą przeprowadziła wywiady z półtora tysiąca nauczycielek i nauczycieli, pytając, jak postrzegają kondycję psychiczną swoich uczennic i uczniów. Wnioski zostały ujęte w raporcie *Rozmawiaj z klasą. Zdrowie psychiczne uczniów i uczennic oczami nauczycieli i nauczycielek*[3].

Jest to niesamowicie ciekawa, choć niewesoła lektura. Według raportu większość pedagogów zauważa, że dzieci mają coraz więcej problemów. Nauczyciele dostrzegają, że to się nasila. Jednocześnie co czwarty uczący przyznał, że nie wie, czy ktokolwiek z jego uczniów chciałby porozmawiać z nim o swoich kłopotach. Dlaczego?

Bo pogoń za realizacją podstawy programowej, brak czasu, brak warunków nie sprzyjają nawiązywaniu więzi.

Autorzy raportu piszą o tym tak: „Szkoła, nastawiona na realizowanie podstawy programowej i mocno zbiurokratyzowana, nie sprzyja budowaniu relacji. Brakuje w niej czasu na indywidualną rozmowę z uczniem lub uczennicą. Nauczyciele i nauczycielki dostrzegają tę sytuację i jej powagę, często sami czują się w niej uwięzieni. Badanie pokazało, że dobra relacja nauczyciela czy nauczycielki z uczniami i uczennicami zależy w dużej mierze od indywidualnych kompetencji, a jej budowanie odbywa się często w czasie pozaszkolnym, ponieważ w szkole brakuje na to przestrzeni”.

Kolejna rzecz, na którą zwracają uwagę nauczyciele badani przez Fundację Szkoła z Klasą, to pokutujący od lat w oświacie

model widzenia nauczycieli i uczniów jako dwóch zwalczających się grup, mających odmienne cele i wrogie intencje. Musi się to zmienić, jeśli chcemy, by nauczyciele byli na tyle bliscy uczniom, żeby ci chcieli im się zwierzyć.

[1] M. Smak, D. Walczak, op.cit, s. 33.

[2] Na krótko przed pandemią uczniowie mówili, że mniej się narkotyzują. Zamknięcie w domach, nauka online, stres spowodowały, że znów zaczęli stosować więcej używek.

[3] *Rozmawiaj z klasą. Zdrowie psychiczne uczniów i uczennic...*, op. cit.

Najtrudniejsze przypadki i jak je ogarnąć

Zaczęłam uczyć w szkole miejskiej i jestem przerażona skalą problemu. W szkole wiejskiej (mała szkółka, mało dzieci) uczniowie też miewali problemy, ale nigdy na taką skalę! Moloch tysięcy uczniów. Dzieciaki rodziców pracujących od rana do nocy, pozostawione same sobie praktycznie albo ganiające z lekcji na zajęcia dodatkowe, które kończą się późnym wieczorem. Ciągłe w tych telefonach. Największy problem? Brak umiejętności panowania nad emocjami, reagowanie wręcz histerią tak na sukces, jak i na porażkę, brak empatii (koncentrowanie się głównie na sobie), depresja (dzieci, którym na niczym już nie zależy, zero radości życia), brak umiejętności przestrzegania norm społecznych (liczą się tylko moje prawa, reszta ma mi usługiwać)[1].

Kiedy Ania z Zielonego Wzgórza dorosła i została nauczycielką, najbardziej lubiła krnąbrnych, niestandardowych uczniów. Ania śmiała się, przypominając sobie gafy, wpadki i absurdalne pytania swoich wychowanków. Jej największym wychowawczym wyzwaniem była niemiła i lekceważąca nauczycielkę Janka Pringle, która uważała (jak jej cała rodzina), że Ania podebrała atrakcyjną posadę jednemu z Pringle'ów. Autorytet – i u Janki, i u całej jej rozległej rodziny – Ania zdobyła niejako przez przypadek – starszyzna rodu opacznie zrozumiała jej intencje, dopatrując się próby szantażu. Nie chcąc, by Ania skompromitowała ród Pringle'ów, upubliczniając informację, że jeden z ich przodków dopuścił się aktu kanibalizmu po katastrofie na morzu, zapewnili, że nieznośna Janka będzie już słuchała nauczycielki.

Ciekawe, jak Ania radziłaby sobie ze współczesnymi ananasami, na przykład z dziećmi z prywatnej podwarszawskiej szkoły podstawowej, które założyły nieoficjalny Fanpage swojego fizyka na Facebooku, gdzie wrzucają fragmenty nagrań z jego lekcji online, nieprzypadkowo dobrane tak, by wyszedł na idiotę.

Jedno jest pewne: nawet gdyby straciła do nich cierpliwość, nie mogłaby, jak to się jej raz zdarzyło, ich zbić. Nawet gdyby, jak to się stało w książce, miało to jej zaskarbić szacunek małych hultai.

Mariusz: Lubię wszystkie dzieci. Ale te trudne lubię szczególnie. Jak mogę mieć pretensje do dzieciaka, że jest aspołeczny, jeśli jemu akurat rozwala się rodzina? Kiedy człowiek zrozumie, dlaczego dziecko zachowuje się tak, a nie inaczej, to zmienia podejście.

Aneta Korycińska: Był u mnie klasie uczeń, który ciągle miał do mnie pretensje. Czułam na lekcji tę jego złość. Atakował mnie, dlatego postawiłam mu czwórkę, a nie piątkę. Cały czas mu odpowiadałam, że w każdej chwili może zmienić nauczyciela – u nas w szkole jest taka możliwość. Przychodził z mamą, umawialiśmy się na coś, ale on nie wywiązywał się z obietnic. Mógł zmienić klasę, ale z niezrozumiałych dla mnie powodów tego nie zrobił. W klasie maturalnej zaczął się niesamowicie starać, tyle pisać, że na koniec roku postawiłam mu szóstkę. Do dzisiaj nie wiem, o co mu chodziło.

Mariusz: Mieliśmy bardzo trudną klasę. Wielu niepoukładanych chłopców, którzy tępil się nawzajem w sposób nie do przyjęcia – złościwości w internecie, agresja w szkole. Nic nie działało. Jeden z nich lubił uciekać z lekcji. Wędrował po szkole albo w ogóle wychodził z budynku. Idę

korytarzem, szukam go, jest, widzę! Idzie na mnie, nabuzowany. Myślę: zaraz mnie walnie, co robić? Co robić, jeśli chociaż zawadzi o mnie barkiem? Zrobiło mi się gorąco.

Co zrobiłem? Nic. Minął mnie o włos. Ale co bym zrobił, gdyby mnie nie minął? Nie wiem. Pedagog nic nie może w takiej sytuacji.

Potem odbyliśmy wiele rozmów. Psycholog szkolny, rodzice. Tłumaczenie, wyjaśnianie, nakłanianie do współpracy. Ale prawda jest taka, że gdyby on następnym razem mnie zaatakował, a ja broniąc się, użyłbym siły, to mógłbym teraz siedzieć. Jeśli człowiek ma kogoś takiego w klasie, to cały czas się boi. Budzi się w nocy i się boi. Idzie do pracy i się boi.

Ksiądz Marek: Czasem trzeba zadziałać jak w *Poemacie pedagogicznym* Makarenki: zorientować się, kto w szkole jest najgroźniejszy, i z nim się skonfrontować. Mieliśmy takiego ucznia. Szósta klasa, dwa lata przerośnięty, konflikty z prawem, mojego wzrostu, wszyscy się go bali. Specjalnie podchodziłem do niego na korytarzu i mówiłem: „Szczęść Boże”, uśmiechałem się i szedłem dalej. Następnym razem: „Szczęść Boże, jak się masz?”. I on uznał, że jestem spoko, bo się go nie boję. A skoro się nie boję, to on u mnie nie rozrabia. Nie ma dla mnie dobrych i złych uczniów, to nie matematyka, tylko ewangelia. Ewangelia jest dla wszystkich, więc moim zadaniem jest wymyślenie takiego sposobu pracy, żeby dotrzeć do każdego. Pomagają mi w tym ankiety, które robię uczniom, żeby poznać, czym żyją. Zadaję w niej poważne i niepoważne pytania: Czego słuchają? W co grają? Wolą pepsi czy colę? To mi pomaga potem odwoływać się do tego, co dla nich ważne, także do kultury masowej. Po co mówić o Dire Straits, jeśli to nic dla nich nie znaczy?

Jarosław: Miałem trudnego ucznia. Prowadzę lekcję na korytarzu, a ten przechodzi i tu kogoś popchnie, tam dokuczy.

Ale chłopak miał ciężką sytuację rodzinną. Kiedy powiedziałem: „Odejdź!”, odchodził. Uczniowie różne rzeczy potrafią wykręcić, ale mi nigdy nic nie zrobili. Ani nie wyzwali, ani samochodu nie porysowali, choć wiedzieli, który to mój.

Piotr Śmiałkowski: Chyba nigdy nie miałem trudnego ucznia. Nie przypominam sobie. Może pani syn? Nie, on też raczej niestandardowy, a nie trudny.

Katarzyna Kabzińska: Byłam bardzo młoda. W drugiej klasie gimnazjum jeden uczeń bardzo wulgarnie się do mnie zwracał. Nie wiedziałam, co robić. Na początku miałam ochotę wyrzucić z go z klasy (ale to niedozwolone), czasem miałam ochotę wyjść z lekcji i już nie wracać...

Ale jednak silniejsze było uczucie, że jestem potrzebna, bo grupa uczniów lubiła moje lekcje. Mówiłam: „Krystian, to nie jest miłe, siadaj”, co oczywiście nie działało.

Prosiłam o pomoc dyrektora i pedagoga. Dyrektor radził mi ciętą ripostę, a pani pedagog zawstydzenie. Ona załatwiała sprawę, siadając Krystianowi na kolanach. Dla mnie ani jedno, ani drugie nie było dobrym rozwiązaniem, więc tygodniami rozmawiałam przez telefon z kolegą, który jest psychologiem i pracuje z trudnymi dziećmi z warszawskiego Powiśla. W końcu on mi doradził, żebym spróbowała poznać środowisko, w którym żyje Krystian.

No i poznałam. Ojciec odsiadywał dwudziestoletni wyrok, matka założyła drugą rodzinę, urodziła dwoje dzieci, a Krystiana zostawiła z babcią.

Zaczęłam go rozumieć, jego rozgoryczenie i złość. Po namyśle postanowiłam wziąć go pod włos. „Krystian, ja tylko chcę, żebyś zdał. Proszę, przepisz to chociaż do zeszytu”.

„Spierdalaj”.

„Krystian, widziałam twoje rysunki. Są dobre. Wierzę, że możesz zdać do trzeciej klasy”.

„Spierdalaj” – i wyszedł z sali.

Ale po tygodniu Krystian przyszedł na lekcję i chociaż burczał pod nosem przekleństwa, to jednak wyjął zeszyt i przepisał zadanie z tablicy. Po miesiącu zapytał: „A czy ja mógłbym mieć z fizyki trójkę?”.

Poprosiłam, żeby pokazał zeszyt. Patrząc, a tam kaligrafia! Wszystko pięknie zapisane, narysowane.

Pod koniec roku doszło do tego, że ktoś rozmawiał na lekcji, a Krystian zwrócił mu uwagę, żeby nie przeszkadzał.

Ogromna satysfakcja.

Z.: Nie ma klas terapeutycznych w szkołach. Niestety. Dyrektor nie ma możliwości stworzenia klasy dla trzech takich gagatków; klasy, w której by ich socjalizowano i indywidualnie prowadzono.

Każda szkoła, jeśli może, próbuje się pozbyć bardzo trudnego ucznia. Szkoła rejonowa nie może. Musi go trzymać, co nie znaczy, że zawsze umie sobie z nim poradzić.

Ksiądz Marek: Jeden chłopak mówił do mnie na lekcji na „ty”, rzucał we mnie papierkami, lekceważył mnie totalnie. W końcu zrobiłem sobie z tektury tarczę, taką jak w Rainbow Six Siege (to taka strzelanka komputerowa, w którą wtedy grali uczniowie). Napisałem na niej „Jezus Cię kocha” i kiedy on rzucał we mnie, ja się nią zasłaniałem. Wtedy po raz pierwszy powiedział do mnie nie per „ty”: „Ja wiem, co ksiądz robi. Ksiądz jest sprytny”. I przestał rzucać.

Nauczyłem się też prosić uczniów o pomoc. Mówię, że nie radzę sobie z Iksem, przegrałem potyczkę. A oni wtedy odpowiadają: „A, bo on tak startuje do wszystkich, na każdej lekcji tak jest”. Albo mówią inaczej: „On tak ma, bo jego rodzice się kłóć”. I kiedy znam kontekst, mogę lepiej dobrać swoją reakcję.

Prowadzę lekcję o małżeństwie. Miłość, wierność, nikt nie słucha. Okazuje się, że połowa klasy ma rozwiedzionych rodziców. Muszę to uwzględnić, muszę być pokorny, wrażliwy, nie osądzać.

Pomaga, kiedy człowiek sam się otworzy. Rozmawiamy o wierze i braku wiary i wtedy mówię, że ja mam czterech braci i jest po równo: dwóch wierzących, dwóch ateistów. I już jest inny punkt odniesienia.

Radek: Zdarzyło się kilka razy, że trafiło do nas dziecko z mutyzmem wybiórczym. To zaburzenie polegające na tym, że dziecko w pewnych sytuacjach wobec pewnych osób czy w konkretnych miejscach w ogóle się nie odzywa. Czterolatek, który nie mówi ani słowa, komunikuje się wyłącznie gestami. To jest wyzwanie.

Ewa Narożniak: To nie byli trudni uczniowie, ale trudna dla mnie sytuacja. Byłam na zastępstwie w „Batorym”. Puszczalam na lekcji film. Miałam kłopot ze sprzętem. Był obraz, napisy, ale dźwięk bardzo cichy. Próbowałam go podgłośnić, majstrowałam przy komputerze, nie widząc ekranu. Zajęło mi to sporo czasu, jakieś dziesięć minut. Kiedy wreszcie się udało, zerknęłam na ekran i zobaczyłam, że niechcący wyłączyłam obraz. Przez dziesięć minut klasa siedziała w ciszy, udając, że ogląda film.

Woleli nic nie robić, niż powiedzieć mi, że wyłączyłam obraz. Dlaczego? Bo byłam dla nich nikim. Nieważną osobą od nieważnego dla nich przedmiotu. W moim liceum powiedzieliby mi od razu. Nie chciałoby im się siedzieć cicho i patrzeć na pusty ekran. Ale w szkole, w której uczę na co dzień, inaczej traktuje się nauczyciela. Z jednej strony bardziej kumpelsko, bo większość nauczycieli pozwala, żeby uczniowie mówili im po imieniu, z drugiej – nauczyciel nie jest traktowany jak wróg, jak osoba, z którą się walczy i którą próbuje się wykiwać.

O relacjach nauczyciel–uczeń można się dowiedzieć z nieformalnego przekazu szkoły. To taki nigdzie niezapisany kod, który starsze klasy mimowolnie przekazują młodszym. Bo przecież uczeń, który trafia do nowej szkoły, nie wie, jakie obowiązują w niej zasady, jak należy się odnosić do innych. Uczy się tego od starszych roczników, od nauczycieli. Stopniowo orientuje się, co można, a czego nie.

Irmína: Kiedy pracowałam w podstawówce, odkryłam, że dziecko ma więcej do powiedzenia niż nauczyciel. Piąta klasa przychodzi do mnie na lekcję i dzieci zgodnie mówią, że nie będą mnie słuchać. Bo chcą poprzedniego nauczyciela. W podstawówce jest strasznie. Bieg, krzyk, który robi ci dziurę w głowie. Jest tak, jakby było się wiecznie na basenie, wszystko dudni. Próbujesz przekrzyczeć ten hałas, ale nie możesz się skoncentrować.

Co było dalej z tą piątą klasą? Nic. Opór trwał dwa miesiące, potem się do mnie przekonali. Mimo że wprowadziłam obowiązkowy ubiór: białe koszulki i ciemne spodnie. Na początku nikt się tak nie ubierał. Potem jedna osoba, druga, wreszcie wszyscy. Bo prawda jest taka, że dzieci w tym wieku lubią jasne granice i dyscyplinę i dobrze się z tym czują.

Olga Skolimowska: W naszym przedszkolu było dziecko z nieustabilizowaną cukrzycą. Przygotowaliśmy specjalne procedury, zapewniliśmy dodatkowego opiekuna w grupie, który cały czas monitorował stan jego zdrowia. Są w przedszkolu dzieci z astmą i w tym przypadku opracowaliśmy zasady dotyczące podania leku (to sytuacja ratująca życie). W pobliżu przedszkola jest apteka, a farmaceuta ma obowiązek posiadać i podać lek ratujący życie, więc nie boimy się opieki nad alergikami. Regularnie odbywamy szkolenia z pierwszej pomocy i omawiamy szczególne przypadki. Mamy też w planach szkolenie o hemofilii u dzieci,

które przeprowadzi mój przyjaciel – nauczyciel przedszkolny sam borykający się z tą chorobą.

Obecność dziecka przewlekle chorego w przedszkolu jest sytuacją niesamowicie trudną i generuje napięcie wśród personelu, ale przy dobrej współpracy rodziców takie dzieci mogą uczęszczać do placówek ogólnodostępnych.

Weronika: Kilkanaście lat temu przyszedłam do pracy w małym prywatnym liceum. Szkoła dopiero co powstała, więc przyjmowała prawie każdego. Większość dzieci zupełnie nie chciała się uczyć, więc stawaliśmy na głowie, żeby do nich dotrzeć, żeby jednak nie dawać dziecku oceny za nic. Po półroczu przyszła do mojej klasy dziewczynka, która na trzynaście przedmiotów miała trzynaście ocen niedostatecznych. Ale z takim dzieckiem można dużo wypracować, jeśli ma się czas i jest się gotowym na niestandardowe metody. To są dzieci, które potrzebują, żeby nauczyciel zachowywał się jak wódz. Potrzebują akceptacji – musisz zrozumieć, że raz na jakiś czas ten uczeń po prostu musi wstać i przejść się po klasie albo po szkole. Ale jednocześnie musisz postawić mu granice. Kiedy cię testują, nie możesz udawać, że nie słyszysz. Jeden chłopiec na lekcji zapytał mnie, czy mam mocne mięśnie pośladków. „Proszę bardzo, podejdź i sprawdź”. Podeszedł, dotknął, wrócił do ławki. Mogłam sobie pozwolić na niekonwencjonalne zachowanie, bo wiedziałam, że rodzice mojego ucznia to rozumieją.

Mariusz: Praca z dzieckiem z trudnościami, z ADHD albo z zespołem Aspergera nie jest łatwa. Prośenie, namawianie, nakłanianie nie przynosi dużych efektów. Łatwiej jest, gdy rodzice są świadomi trudności, gdy dziecko ma diagnozę, a oni jakieś wsparcie. Wtedy lepiej nam się rozmawia i ustala wspólny plan działań.

Wiadomo też, że trzeba się ciągle uczyć. Kiedy się dowiedziałem, że jeden z moich podopiecznych przeżył tragedię w czasie wakacji, zorganizowałem dla siebie szkolenie, jak pracować z dzieckiem strauumatyzowanym. Przez trzy dni z nerwów obgryzałem paznokcie, poznając historie skrzywdzonych dzieci i okrucieństwo, jakiego musiały doświadczyć. To było bardzo stresujące, ale dużo się nauczyłem.

Aneta Korycińska: Najtrudniejsza była dla mnie jedna uczennica z mojej klasy wychowawczej. Wspaniała dziewczyna. Na lekcjach szyła lalki, niczego nie notowała, ale wszystko zapamiętywała. Bardzo się cięła, wcześniej jako wychowawczynie nie miałam styczności z tym problemem. Byłam w kontakcie z jej rodzicami, wiedzieliśmy, że terapeutka zaleciła niepowstrzymywanie samookaleczenia. Któregoś dnia uczennica wyszła z lekcji i wycięła sobie kawałek ręki. Innym razem namalowała portret chłopca swoją krwią. Wtedy szkoła podpisała z nią kontrakt: nie może takich rzeczy robić na terenie liceum, bo bardzo rani ludzi, dla których jest ważna.

Wtedy jeszcze wydawało mi się, że mogę im pomóc. Dziś wiem, że nie. Mogę tylko wysłuchać i przytulić. Nic więcej.

Wagary, depresja, fobia szkolna, skrajna bieda, próby samobójcze, dylematy dotyczące tożsamości płciowej i seksualnej, przemoc – w domu, ze strony rodziców, w klasie – fizyczna, w internecie – psychiczna, homofobia... Takie problemy często stoją za trudnymi zachowaniami uczniów i uczennic. I nawet ci nauczyciele, którzy potrafią dostrzec przyczyny nietypowego zachowania, stają przed nimi bezradni. Bo nie ma systemowego wsparcia. Część szuka pomocy w poradniach, część u koleżanek i kolegów, część w internecie. Ci, których na to stać, za własne pieniądze doszkalają się na

webinarach i warsztatach organizowanych przez ośrodki szkolenia nauczycieli oraz przez szkoły psychoterapii. Nadzieją na wsparcie tych, którzy chcą pomagać swoim podopiecznym, jest program rozwoju lokalnych ośrodków środowiskowej opieki psychologicznej dla dzieci i młodzieży. W takim ośrodku zatrudnieni są psychoterapeuci, psychiatrzy i terapeuci środowiskowi, których celem jest udzielanie pomocy w najbliższym otoczeniu dziecka – w domu, szkole, przedszkolu. Będzie wspaniale, jeśli znajdą tam pomoc także nauczyciele. Wielu z nich skarży się na trudny dostęp do praktycznej wiedzy o interwencji kryzysowej, na brak superwizji, które pomogłyby im lepiej radzić sobie z kłopotliwymi zachowaniami uczniów i wypaleniem emocjonalnym w pracy.

[1] Z dyskusji na fanpage'u Nie dla chaosu w szkole na Facebooku, <https://www.facebook.com/NIEdlachaosuwszkole/>.

Poziom i program

Mój syn w siódmej klasie przerabia z fizyki to co ja w ogólniaku, w ósmej klasie z biologii jest to, co w czwartej klasie biol-chemu za moich czasów. Jest ogrom materiału, przeładowanie okrutne. Nie ma co porównywać z tym, co było dziesięć czy dwadzieścia lat temu.

Zadanie z matematyki, 1960 rok:

Drwal sprzedał drewno za 100 zł. Wycięcie drzewa na to drewno kosztowało go $\frac{4}{5}$ tej kwoty. Ile zarobił drwal?

Zadanie z matematyki, 2000 rok:

Drwal sprzedał drewno za 100 zł. Wycięcie drzewa kosztowało go $\frac{4}{5}$ tej kwoty, czyli 80 zł. Ile zarobił drwal?

Zadanie z matematyki, 2010 rok:

Drwal sprzedał drewno za 100 zł. Wycięcie drzewa na to drewno kosztowało go $\frac{4}{5}$ tej kwoty, czyli 80 zł. Drwal zarobił 20 zł. Zakreśl liczbę 20.

Zadanie z matematyki, 2020 rok:

Drwal sprzedał drewno za 100 zł. Pokoloruj drwala.[\[1\]](#)

Żart o drwalu, mający obrazować obniżający się poziom nauczania w polskiej szkole, co rusz pojawia się na grupach dyskusyjnych poświęconych edukacji. Na zmianę ze skargami na to, że dzieci zmusza się do wkuwania wysokości PKB Singapuru, która za rok będzie już nieaktualna.

Jedni mówią, że dzieci uczą się coraz więcej i wskazują na pojawienie się w programie religii, podstaw przedsiębiorczości, filozofii. Inni, że obecni maturzyści rozwiązują zadania z fizyki (z trudem), z jakimi dawniej (z łatwością) mierzyli się

ósmoklasiści. Z jednej strony docierają do nas informacje, że podstawa programowa jest przeładowana, że dzieciaki uczą się tysięcy niepotrzebnych informacji (na kartkówce z geografii moje dziecko musiało podać PKB Indonezji. Nie mam pojęcia, czemu ma służyć uczenie się tego na pamięć, skoro za rok będzie to wartość nieaktualna. Tym bardziej nie wiem, jaki sens ma sprawdzanie tego). Z drugiej – wykładowcy z wyższych uczelni lamentują, jak drastycznie obniża się poziom wiedzy przychodzących do nich studentów. Od lat. Lamentują od lat.

Nauczyciele w wielokrotnie przeze mnie tu cytowanym raporcie *Pozycja społeczno-zawodowa nauczycieli*[2] skarżą się, że programy nauczania są mniej wymagające, co sprawia, że ich praca przestaje być interesująca. W opinii badanych wprowadzenie zewnętrznych egzaminów sprawiło, że nauczanie stało się zajęciem bardziej odtwórczym. Zamiast dyskusji z dziećmi, zamiast zadawania pytań i wspólnego poszukiwania odpowiedzi, trzeba gonić z materiałem, żeby przygotować uczniów do egzaminów końcowych.

Nasze dzieci uczą się w końcu za mało czy za dużo? Czy, co wydaje się najbardziej prawdopodobne, uczą się po prostu nie tego, co trzeba? Czy rosnąca wśród absolwentów podstawówek popularność liceów ogólnokształcących wpływa na obniżenie poziomu nauczania? A może winny jest globalny spadek poziomu inteligencji?

W XX wieku wysokość IQ rosła średnio o trzy punkty co dziesięć lat. W połowie lat siedemdziesiątych proces ten się zatrzymał, po czym iloraz inteligencji zaczął spadać w takim samym tempie, w jakim wcześniej rósł. Takie są wyniki badań naukowców z norweskiego Centrum Badań Ekonomicznych Ragnara Frischa, którzy przeanalizowali siedemset trzydzieści tysięcy testów IQ przeprowadzonych u kandydatów do norweskiej armii.

Przyczyna zjawiska nie jest znana; wstępnie za nasze głupienie obwinia się rozwój technologii. Być może szkodzi nam po prostu internet, to, że zamiast korzystać z map, używamy GPS-a, że mniej piszemy odręcznie i częściej oglądamy filmiki o uroczych zwierzątkach domowych, niż czytamy pełne opisy przyrody ciężkie powieści.

Aneta: Matura podstawowa z języka angielskiego jest zdecydowanie za łatwa. Uczniowie są na bardzo wysokim poziomie języka angielskiego, głównie dzięki dostępowi do internetu i Netflixa. Oni już niczego nie oglądają po polsku, wszystko po angielsku, z angielskimi napisami.

Aniela: Na korepetycje rodzice zapisują do mnie zarówno ambitnych uczniów, którzy chcą wyjść poza program, jak i dzieci, które uczą się w bardzo dobrych szkołach i nie dają sobie rady, bo nauczyciel goni z programem.

Jarosław: Dziewczynki z mojej klasy, dobre uczennice, mają kartki formatu A3 z tabelkami do nauczania się na chemię. „Co to jest?” – pytam. „A, to jakiś kwas”. „Jaki?”, „A jakiś bardzo rzadki, nie wiemy dokładnie, musimy znać tylko kolor i symbol”.

I po co to? Po co im każą uczyć się tego na pamięć? Bez zrozumienia? Pierwszy rocznik po reformie ostatnie dwa lata przepłakał. Dobrzy uczniowie nie mogli sobie poradzić. Mimo że miasto dało dodatkowe godziny na przygotowanie ich do egzaminów.

A.: Niedawno z dyrekcją przeglądałyśmy pisemne matury z polskiego z lat dziewięćdziesiątych i zorientowałyśmy się, że za prace, które wtedy oceniłyśmy na ledwie dostateczne, dziś dałybyśmy piątki.

Katarzyna Kabzińska: Program matematyki i fizyki w trzyletnim liceum był zdecydowanie okrojony względem lat wcześniejszych. Różnica między programem obowiązującym na egzaminie maturalnym z matematyki a programem na pierwszym roku studiów jest kolosalna, wyższe uczelnie nie mają czasu na uzupełnianie braków programowych.

W czteroletnim liceum program jest dużo bardziej rozbudowany niż w trzyletnim, ale tu pojawia się z kolei ogromna różnica programowa między szkołą podstawową a liceum. Ten problem jest złożony i nie sprowadza się do programu nauczania w szkole średniej.

Na wyniki na maturze z matematyki wpływa wiele czynników. Żeby były lepsze, trzeba na nie pracować dużo wcześniej. Co by się przydało? Między innymi diagnoza uczniów po trzeciej klasie szkoły podstawowej, rzetelne stworzenie planu pracy z takim uczniem, współpraca rodzica z nauczycielem, wsparcie uczniów od czwartej klasy szkoły podstawowej, urozmaicenie metod nauczania, dostępność szkoleń metodycznych dla nauczycieli i przede wszystkim przemyślana reforma oświaty, a nie pisana na kolanie pseudoreforma.

Aneta Korycińska: Program to jest pikuś! To nie jest żaden problem, żeby zdążyć z materiałem. Problemem jest, jak to zrobić, żeby uczniowie poczuli literaturę i ją zrozumieli.

Jestem od tego, żeby im pokazać i wytłumaczyć, że to, co czytają, jest super. Albo że to jest bardzo głupie, ale niestety muszą to przeczytać, bo to może być na maturze. Lektury z gwiazdką muszą znać niemalże na pamięć, dlatego omawiamy je wiele razy. Odkąd zaczęła się pandemia, nagrywam podcasty, na których omawiam lektury. Filmiki udostępniam online, żeby każdy mógł je obejrzeć.

Jarosław: Od lat notuję wyniki moich uczniów w kalendarzu nauczycielskim. Co roku robię bardzo podobne sprawdziany:

rzut piłką lekarską, skok w dal, wzwyż, zwis na drążku. I co roku wyniki są gorsze.

Mam podręcznik *Sprawdziany na wychowanie fizyczne*, wydany w latach siedemdziesiątych z tabelami wyników. Gdybym miał według nich oceniać, to nikt by nie dostał piątki. Teraz piątkę mają ci, którzy według tej książki zasługiwali na tróję. Kiedyś w szóstej klasie graliśmy z dziećmi w siatkówkę, teraz gramy w rzucankę siatkową. Dlaczego? Myślę, że dziewięćdziesiąt procent moich uczniów rusza się tylko na lekcjach WF. Poza tym nie mają żadnych aktywności. Gdy ktoś cokolwiek ćwiczy po lekcjach, od razu widzę różnicę.

Anna: W zeszłym roku zapytałam w jednej klasie, ile osób ma dodatkowe lekcje. Osiemdziesiąt procent podniosło rękę. Rodzice zapisują dzieci na korepetycje, ale nie dlatego, że one są niezbędne, tylko dlatego, że nie wierzą, że szkoła potrafi uczyć.

Ewa Narożniak: W programie brakuje zagadnienia o kryzysie klimatycznym. To trudny temat, bo nie dotyczy jednego przedmiotu szkolnego. Powinno się go omawiać i na fizyce, i na geografii, i na biologii, i na WOS-ie. A nie omawia się w ogóle. To temat, o którym nigdy się nie uczyłam ani w szkole, ani na studiach, więc by poprowadzić lekcję, muszę się sama nauczyć rzeczy wykraczających poza biologię. Co nie zawsze jest dla mnie łatwe. Potrzebne jest duże wsparcie dla nauczycielek i nauczycieli, by mogli dobrze uczyć tego tematu. A na razie nie ma niczego.

Aniela: Prawdą jest zarówno to, że poziom nauczania jest teraz niższy niż przed laty, jak i to, że program jest przeładowany. Jak to możliwe? Już tłumaczę.

Jako nauczycielka chemii w gimnazjum i liceum zetknęłam się z tym pierwszym problemem, jako korepetytorka – z drugim. W klasie duża część uczniów nie radziła sobie z programem.

Były ciągle narzekania, że chemia jest dla nich za trudna. Naciski ze strony rodziców, żeby mniej od dzieci wymagać, żeby więcej powtarzać, nie gonić z materiałem. Z mojej perspektywy szkolnej program wydawał się więc przeładowany, a poziom wymagań – zbyt wysoki.

Z drugiej strony, kiedy przeszłam na emeryturę i zaczęłam udzielać korepetycji, zetknęłam się z uczniami, dla których poziom chemii w szkole był za niski. Nagle okazało się, że aby dostać się na medycynę czy biotechnologię, czyli bardzo dobrze napisać maturę z rozszerzonej chemii, trzeba zdobyć dodatkową wiedzę, bo to, czego uczą w przeciętnym liceum, nie wystarczy.

Weronika: Trudno mówić o poziomie, gdy program nauczania nie jest dostosowany do możliwości rozwojowych dzieci. Na przykład za wcześnie wprowadza się jednostki miar i objętości. To jest trudny temat, dzieci nie rozumieją zależności między metrem kwadratowym a sześciennym, między decymetrem kwadratowym a metrem kwadratowym. To jest dla nich na tym etapie rozwoju abstrakcja, która nie przekłada się na życie codzienne. Programy nauczania powinny brać pod uwagę gotowość dziecka do poradzenia sobie z konkretnymi tematami. A tak nie jest, więc nauczyciel musi wymyślić, jak przystępnie przekazać dziecku to, czego ono nie może zrozumieć, bo nie jest na to gotowe. A wtedy rodzic się wkurza, bo uważa, że praca domowa typu „Zmierz nogę taty, obwód pasa brata, porównaj różne wymiary” to strata czasu, gdyż lepiej byłoby zrobić trzy zadania z podręcznika.

Radek: Zauważyłem, że dzieci mają teraz większy problem z komunikacją i z artykulacją. Jest wyraźnie więcej dzieciaków, które wymagają wsparcia logopedy. Może wynika to z tego, że rodzice mniej z nimi rozmawiają? Niektórzy idą też na łatwiznę i zamiast dawać dziecku normalne jedzenie, jabłko, marchewkę

do gryzienia, wszystko miksują. Jedna „moja” mama miksowała swoim dzieciom wszystkie posiłki aż do siódmego roku życia! A gdy człowiek nie żuje, to nie ćwiczy mięśni, więc one nie rosną i w efekcie wymowa jest zaburzona.

A.: Moje koleżanki uważają, że *Pana Tadeusza* trzeba wyrzucić z lektur obowiązkowych. Bo to ramota. No, ramota. Ale czytamy ją nie dla walorów sztuki, ale po to, by zachować pewną ciągłość międzypokoleniową, budować wspólnotę. Także temu służy literatura. W Anglii czyta się poezję romantyczną i nikt nie zadaje pytania: po co.

Sylwia Chwedorczyk: Pytam uczniów w liceum muzycznym: „Kto to jest Mann?”.

Cisza. W końcu ktoś nieśmiało: „Wojciech Mann?”.

Oburzyłam się: „No jak to? Nie wiecie?!”.

A potem się zreflektowałam, że przecież nie muszą wszystkiego wiedzieć. Przyznałam: „Ja z kolei nie wiem, jak wygląda obój”.

Na następną lekcję jedna z uczennic przyniosła instrument: „Tak wygląda obój”.

Dorota Oleszczak: Podstawa programowa z polskiego jest anachroniczna i nieatrakcyjna. Po co dziś czytać *Żywoty świętych* Piotra Skargi? Moim zdaniem program układali ludzie, którzy w szkole czytali te książki, uważają więc, że skoro oni dali radę, to obecna młodzież też sobie z nimi poradzi. Autorzy podstawy programowej usunęli możliwość powołania się na maturze na tekst kultury (zostawiają go tylko jako kontekst, czyli dodatkowe odniesienie, tło dla innego przykładu), zamiast niego musi być lektura obowiązkowa. Dlaczego? Bo są konserwatywni, sądzą, że multimedia i kultura masowa to zło. Sami czytali *Potop*, bo nie było jeszcze *Wiedźmina* i Netflixa,

więc chęć, żeby młodzież też go czytała. Ale oni mieli na to czas, a młodzież nie.

W kulturze masowej dzieje się dużo, spora część to rzeczy ciekawe, głębokie, warte dyskusji. A szkolny polski to nadal udawanie, że zachwyca to, co nie zachwyca. Trudno się dziwić, że młodzi traktują polonistów tak, jakby dla nich ostatnią nowością wydawniczą była *Bogurodzica*.

Aniela: Zastanawiałam się nad tym, dlaczego jest tak, że połowa osób uważa program za zbyt łatwy, a połowa za zbyt trudny, i już chyba wiem. W okresie międzywojennym wykształcenie średnie to było coś. Człowiek z maturą był kimś, osobą wykształconą.

To się zmieniło, nastąpił odwrót od kształcenia zawodowego i teraz do liceów ogólnokształcących idą też uczniowie, którzy nie mają ani kompetencji intelektualnych, ani zainteresowań nauką. I dla tych uczniów program nauczania jest zbyt wymagający.

Z kolei dla tych, którzy mają możliwości, zainteresowania i ambicje studiowania na wymagających kierunkach czy uczelniach, także światowych, to, co oferuje szkoła, jest niewystarczające. Bo nie może być wystarczające, jeżeli jest ten sam program dla ucznia wymagającego, zdolnego i ucznia przeciętnego, bez intelektualnego zacięcia.

Chyba każdy nauczyciel zмага się w swojej pracy z dylematem, jak to zrobić, żeby nie zgubić ani nie zanudzić pereł i jednocześnie nie zamęczyć mało utalentowanych dzieci. Moim zdaniem to jest niewykonalne. Zwłaszcza w grupie liczącej trzydzieści osób.

Ewa Narożniak: Uniwersytety narzekają na poziom nowych studentów (moim zdaniem zawsze narzekały). Słyszałam te skargi, gdy sama chodziłam do liceum. Każde pokolenie narzeka na to wcześniejsze.

Od 2000 roku co trzy lata na całym świecie przeprowadzane jest badanie PISA oceniające między innymi umiejętność czytania ze zrozumieniem i wnioskowania matematycznego u piętnastoletnich uczniów.

Ostatnie badanie PISA przeprowadzono w 2018 roku. Wówczas oceniono kompetencje uczniów drugich i trzecich klas gimnazjów. Jakie były wyniki?

Jeśli chodzi o umiejętność rozumienia przez uczniów czytanego tekstu, Polska zajmuje dziesiąte miejsce na siedemdziesiąt siedem krajów, wyprzedzając między innymi Wielką Brytanię, USA, Niemcy i Francję (Finlandia na siódmym miejscu).

Dziesiąte miejsce zajmujemy również w dziedzinie rozumowania matematycznego. Co ciekawe, wyprzedzamy w tym Finlandię (miejsce szesnaste).

W podsumowaniu raportu z ostatnich badań jego autorzy napisali: „W badaniu PISA 2018 roku polscy uczniowie osiągnęli wynik z matematyki równy 516 punktów. Jest on statystycznie istotnie lepszy od średniej dla krajów OECD. Wynik Polski należy do najwyższych w Unii Europejskiej: spośród krajów europejskich istotnie wyższym wynikiem z matematyki może się pochwalić jedynie Estonia (...). Analizując umiejętności matematyczne polskich gimnazjalistów, należy podkreślić bardzo mały odsetek uczniów uzyskujących najniższe wyniki i równocześnie bardzo wysoki odsetek uczniów o najwyższych wynikach. Taki rozkład umiejętności matematycznych uczniów wskazuje na wysoką skuteczność nauczania matematyki w polskich szkołach, w tym gimnazjach, na tle systemów edukacji krajów Unii Europejskiej” [3].

Wygląda na to, że pogłoski o kolorowaniu drwała na lekcjach matematyki w polskich szkołach są mocno przesadzone.

Kolejne badanie przeprowadzane wiosną 2021 roku miało pokazać, czy i ewentualnie jak likwidacja gimnazjów i wprowadzenie na ich miejsce ośmioklasowej szkoły podstawowej wpłynęła na umiejętności polskich piętnastolatków. Na tę ocenę będziemy musieli jednak poczekać dłużej ze względu na pandemię i towarzyszącą jej naukę online. Z badań przeprowadzonych na przełomie 2020 i 2021 roku w kilku krajach europejskich wynika, że zdalne nauczanie jest mniej więcej o jedną trzecią mniej skuteczne od tradycyjnej nauki w szkole. Wyniki byłyby więc teraz nie do końca wiarygodne.

Tego, jak dużo polscy uczniowie zdołali przyswoić w czasie nauki online, dowiemy się dzięki pilotażowym badaniom prowadzonym wiosną 2021 roku na grupie warszawskich nastolatków.

[1] Źródło: internet, autor nieznany.

[2] M. Smak, D. Walczak, op.cit.

[3] Instytut Badań Edukacyjnych, Program Międzynarodowej Oceny Umiejętności Uczniów. Wyniki badania 2018 w Polsce, <https://pisa.ibe.edu.pl/>.

Trudności i porażki

Kiedys dzieci się uczyły, pomagały w domu, a teraz... brak słów. No tak, mało czasu na telefony, tablety, gierki na poziomie mózgu kury.. Niech lepiej rodzice rano przejdą się pod pierwszą lepszą szkołę średnią – widok bezcenny: pełno małolatów z e-papierochami, ale to szanownych rodziców nie rusza, tylko zadania domowe. Dramat. Te czasy są nienormalne[1].

Kiedy zapytamy nauczycieli, co sprawia im trudność, każdy (prawie każdy) wskaże co innego. Wrażliwiec nie wie, jak zareagować na chamską odzywkę podczas lekcji. Dla drugiego to bułka z masłem – rzuci ripostę, prychnie albo wyrzuci (nielegalnie!) bandziorka do pani pedagog.

Jedna nauczycielka lubi trudne przypadki, bo to dla niej wyzwanie, druga ma cierpliwość do nieuków, ale nie do pyskatek. Mało kto mówi, że dostaje wsparcie koleżanek, kolegów, profesjonalistów, z którymi może się poradzić, jak rozwiązać problem. Szkoda.

Anna: Źle sobie radzę z uczniami z zespołem Aspergera albo z ADHD.

Ewa Narożniak: W szkole takiej jak moja dużo jest osób LGBTQ+, w tym transpłciowych i niebinarnych. Bardzo trudno jest uczyć o płci. A ja uczę biologii, nauki, w której płeć ma jasne definicje, niekoniecznie pokrywające się z definicjami gender.

Biologicznie wyróżniamy dwie płcie. Zasadniczą różnicą między nimi jest wielkość produkowanej komórki. Płeć żeńska produkuje większą komórkę, często zwaną komórką jajową, a płeć męska – więcej mniejszych komórek (plemniki). Może być ona uwarunkowana genetycznie (wtedy zobaczymy to

w chromosomach – płęć genetyczna), ale wcale nie musi. Może być stała w ciągu życia organizmu, ale nie musi. Gdy rozmawiamy o człowieku, to wyróżniamy płęć na poziomie genetycznym, na poziomie gonad (obecność jajników i jąder) i na poziomie mózgu – płęć mózgu.

Płęć żeńska ponosi większe koszty rozmnażania, a gdy koszty są wyraźnie nierówne, to nie każdy przedstawiciel gatunku się rozmnoży. Jeden jelen w danym sezonie zapłodni więcej niż jedną samicę, ale samica zostanie zapłodniona przez tylko jednego jelenia. A to oznacza, że nie każdy samiec jelenia będzie mógł zapłodnić. W wyniku konkurencji mniej dostosowany osobnik odpadnie.

Mówię więc na lekcji o atrakcyjności fizycznej (u ptaków na ogół samice są bure, samce – kolorowe. Wyjątkiem są gatunki takie jak łabędzie, które łączą się w pary. Bo gdy łączą się w pary na dłużej, to dzielą między siebie koszty rozrodu). Wśród pawia konkurencję o samicę wygrywa ten, który ma najpiękniejszy, najbardziej kolorowy ogon. Dlaczego? Bo w biologii liczy się tylko ekonomia, a taki ogon musiał tego pawia dużo kosztować. Duży, barwny ogon to większe ryzyko bycia zauważonym i zjedzonym. Skoro przeżył, to musi być silny, bystry, ma dobre geny. Jego kolorowe pióra sugerują, że jest dobrze odżywiony.

To jest trudność, z którą się mierzę: jak mówić o płci, żeby nikogo nie urazić, uniknąć przekładania praw obowiązujących w świecie zwierząt na świat ludzi. Moją strategią jest bardzo, bardzo wyraźne rozdzielanie tego, co dotyczy biologii, od tego, co dotyczy życia społecznego. Mówię: „Uwaga! Teraz robię wykład biologiczny”, potem: „A teraz będziemy mówić o człowieku, o płci społecznej, czyli gender”.

To wymaga wrażliwości, empatii i starannego dobierania słów. Do dorosłych ludzi mówiłabym inaczej, byłoby to dla mnie prostsze. Gdy prowadzę edukację seksualną, wciąż się pilnuję,

żeby czegoś nie uprościć. Bo wiem, że mówię do ludzi w trudnym okresie życia, często szukających swojej tożsamości, także płciowej i seksualnej.

Jarosław: To dla mnie porażka, kiedy pod koniec lekcji słyszę, jak któryś z uczniów mówi: „Dzisiaj to słabo było”.

Aneta: W mojej poprzedniej szkole wychowawcy zawsze informowali nauczycieli, jeśli wiedzieli, że u dziecka w domu dzieje się coś złego. Byłam na to wyczulona, ale raz mi coś umknęło. Uczennica nie przyszła na umówioną poprawę, na co bardzo ostro zareagowałam. Nie wiedziałam, że walczy z depresją. Bardzo żałowałam swojego zachowania.

Ewelina: Nie poradziłam sobie z tym, że w jednej ze szkół, w których uczę, żaden z moich uczniów podczas zdalnego nauczania nie włączał kamerki. To było dla mnie bardzo trudne. Na początku ich prosiłam, namawiałam, rozmawiałam z wychowawcami. To nic nie dało. Poddałam się. Dalej prowadziłam lekcje, patrząc w ciemny ekran i mówiąc do siebie.

Aneta Korycińska: Przez pierwsze lata mojej pracy wieczory spędzałam w wannie, rycząc. Przeżywałam to, z czego mi się zwierzałam. Przeszłam dwa załamania nerwowe i to niekoniecznie z powodu uczniów, ale trzeba przecież przypomnieć, że każdy ruch nauczyciela jest oceniany także przez dyrekcję. Przestałam płakać, zaczęłam być katalizatorem zmian, ale takim, który kieruje do specjalistów. Nadal słucham, ale dzisiaj już nie zabieram tych zwierzeń do domu. Pewnie czas mi w tym pomógł, a na pewno terapia i superwizje. Pyta pani, u kogo mogę szukać pomocy w trudnych sytuacjach? U psychoterapeutów, nie w szkole. Odkąd pogodziłam się z faktem, że praca w tym zawodzie da mi szczęście (i innym też), jeśli będę miała gdzie i z kim o tym porozmawiać, co

pozwole mi rozładować napięcia – nie żyję już tylko szkołą i śpię spokojnie.

Aneta: Podczas nauczania zdalnego nie można było zmusić ucznia do włączenia kamery, a bez tego nigdy nie wiedziałam, czy jest w jakikolwiek sposób zaangażowany w zajęcia. Mówienie do ekranu pełnego okienek z inicjałami było dla mnie przygnębiające.

Katarzyna Kabzińska: Dla mnie porażką jest niewystarczająca ilość funduszy na doszkalanie się. Brakuje mi czasem narzędzi, żeby pomóc dziecku z nietypowymi trudnościami w przyswajaniu wiedzy.

Sylwia Chwedorczyk: Do klasy doszedł nowy uczeń. Od pierwszej lekcji zaczął mnie prowokować. Jeszcze mnie nie znał, a już ocenił: że jestem niesprawiedliwa, zbyt szkolna, a moje lekcje są nudne. Nie poradziłam sobie z tym, że z góry zawyrokował, że jestem do niczego. Bo może i lekcje były dla niego nudne, ale na pewno nie jestem niesprawiedliwa. Nie polubiłam go i do dziś uważam, że to była moja porażka. Zwłaszcza że inna nauczycielka, niesamowita osoba, do niego dotarła.

Danusia: Dziecko po lekcjach było pod opieką babci. Poszło na łąkę zbierać ślimaki do wiaderka. I utonęło w rzece. Mieliśmy wtedy lekcję o ślimakach i ja ich zachęcałam...

Olga Skolimowska: Moją bolączką jest świadomość, że wszystko, co robię, wpływa na zachowanie i rozwój moich podopiecznych, dlatego często brakuje mi luzu. Czasem jestem bardzo bezpośrednia w komunikacji, co może sprawiać wrażenie wyniosłości czy nawet szorstkości. Bywa, że prowadzi do nieporozumień.

Jarosław: Uczeń na lekcji wszedł na drabinkę. Pod sam sufit. Powiedział, że nie zejdzie. Poszliśmy po dyrektora. Uczeń nadal nie chciał zejść. Przecież nie będziemy go ściągać! Co zrobić? Czekaliśmy. Zszedł.

Ewidentnie chory chłopak. Ciągłe stwarzał zagrożenie: uciekał z domu dziecka, pobił dziewczynkę, potem drugą, jeszcze ta historia z drabinką. Musieliśmy go w końcu wyrzucić. Dla nas była to porażka. Musieliśmy się ucznia pozbyć, co nie jest, notabene, łatwe, ale on nie był z naszego rejonu. Poszedł do szkoły rejonowej, tam muszą go przyjąć. Nie mogą go też wyrzucić.

Piotr Śmiałkowski: Zdalne nauczanie to był koszmar. Pierwsze lekcje polegały na przesyłaniu dzieciom zadań. Przez osiem godzin dziennie stukałem w komputer i po trzech tygodniach czułem, że od tego oszaleję. Moim miejscem jest klasa, nie internet.

Po tych trzech tygodniach zacząłem prowadzić lekcje na żywo. Cały czas, nawet podczas przerw, miałem włączoną kamerkę. Lubię żartować, a tu bałem się, że rodzice mnie usłyszą i może źle zrozumieją.

W młodszych klasach, kiedy lekcje zaczynały się o dziewiątej, za pięć dziewiąta komputery były włączone. Poznałem wszystkie psy i koty, bo dzieciaki pokazywały je do kamerki. Ale w ósmej klasie mówiłem do czarnego ekranu. Nikt, ani jeden uczeń, nie włączał kamerki. Kontakt ograniczał się do „dzień dobry”. Ja „dzień dobry”, oni „dzień dobry”, a poza tym nic. Żadnej interakcji. Zadaję pytanie i sam sobie odpowiadam. Nie umiałem sobie z tym poradzić. Nawet przestałem wierzyć, że oni tam w ogóle są.

Ewa Narożniak: Popełniam błędy, ciągle je popełniam. Ale ich nie żałuję. Praca w szkole to, jak mawiają moje koleżanki i koledzy, praca na żywym organizmie.

Jedyne, co sobie czasem wypominam, to to, że mogłam komuś poświęcić więcej energii wcześniej. Coś wcześniej zobaczyć. Ale jednocześnie wiem, że oczekiwanie tego od siebie jest bardzo nie w porządku – nie mogę od siebie wymagać tego, że zawsze będę wiedziała, kto najbardziej teraz potrzebuje mojej uwagi. Zmienia się też wrażliwość młodych ludzi. Dużo żartuję. Coś, co było śmieszne czy neutralne kilka lat temu, teraz jest obraźliwe. Ewoluuje też język – kiedyś, gdy mówiłam do grupki osób: „Dziewczyny”, to było to naturalne. Dziś jestem poprawiana: „Ewa, nie mów dziewczyny”.

Psychologia społeczna mówi, że człowiek ma tendencję do przypisywania zasług sobie („Dostałam piątkę z egzaminu, bo dużo się uczyłam.”), a porażek – otoczeniu lub okolicznościom od nas niezależnym („Nie zdałam, bo egzamin był bardzo trudny.”). Przypuszczam, że to zjawisko, nazywane podstawowym błędem atrybucji, to jeden z powodów, dla których o porażkach rozmawiało nam się najtrudniej. Często zamiast mówić o popełnionych przez siebie błędach, moje rozmówczynie i rozmówcy nawiązywali do obiektywnych trudności, na przykład spowodowanych przez pandemię.

Ja z kolei, pisząc ten rozdział, dużo myślałam o jednej z moich ulubionych nauczycielek. Popełniła błąd, który odbił się na moim dziecku. Przyszłam do szkoły wściekła i poprosiłam o rozmowę. Nie zdążyłam nic powiedzieć, bo zaczęła ona: „Pani Joasiu, może być pani pewna, że już nigdy się tak nie zachowam”. Nie dość, że moja złość wyparowała, to po dziesięciu latach wciąż myślę o tej pani z ogromnym szacunkiem.

[1] Z dyskusji na fanpage'u Nie dla chaosu w szkole na Facebooku, <https://www.facebook.com/NIEdlachaosuwszkole/>.

Szkolna polityka, polityka w szkole

Niedawno przypomniałam sobie gniew, jaki czułam, gdy ministrem edukacji został Roman Giertych. Wówczas nie był jeszcze działaczem opozycyjnym. Był prawicowcem, który postanowił zaprowadzić w polskich szkołach porządek. Zaczął od wprowadzenia mundurków. Nagle, ku radości szwalni i zakładów krawieckich, wszystkie szkoły publiczne zaczęły zamawiać koszulki polo, polarowe kamizelki, krawaty i koszule. Ubrany w mundurek uczeń miał być grzeczny i patriotyczny.

Latem 2021 roku, kiedy w al. Szucha w Warszawie przed budynkiem Ministerstwa Edukacji i Nauki co rusz protestowali uczennice i uczniowie w tęczowych skarpetkach, z płóciennymi tęczowymi torbami i numerem bezpłatnej pomocy prawnej dla osób zatrzymanych, nie rozumiem tamtych emocji.

Giertych (nawet tamten, jeszcze nieopozycyjny) przy ministrze Przemysławie Czarunku wydaje się człowiekiem otwartym na dialog i różnorodność. Wszystko jest relatywne, nawet cnoty niewieście, o których minister Przemysław Czarnek wspomniał w wywiadzie dla Polskiego Radia, latem 2021 roku^[1].

Polskie szkoły różnią się od siebie nie tylko poziomem oferowanej edukacji, sposobem jej finansowania, sukcesami uczniów i absolwentów, lecz także atmosferą, otwartością i celami, jakie sobie stawiają.

Dla jednych nauczycieli najważniejsze jest przekazanie wiedzy z ich przedmiotu. Nie chcą, nie lubią i nie potrafią wychowywać. Cenią uczniów skupionych na nauce, zainteresowanych, robiących postępy. Nie zwracają uwagi na to, co dzieciak ma na głowie, tylko to, co w środku.

Inni są urodzonymi wychowawcami. Ważniejsze w ich ocenie jest kształtowanie młodych dusz i umysłów niż wpychanie im wiedzy. Sądzą, że jeśli uczniowie zechcą, sami się nauczą.

Jedni chcą być wzorami, które dzieci powinny (najlepiej jeden do jednego) przekalkować. Inni postrzegają swoją rolę jako katalizatorów – pragną inspirować, pokazywać mapę, zamiast wyznaczać gotową drogę. Jeszcze inni, najbardziej radykalni, nastawiają się na to, by przede wszystkim słuchać i obserwować. Swoją rolę ograniczają do towarzyszenia dziecku w jego wędrówce po świecie nauki. Chętnie odpowiedzą na pytania, podsuną źródła, na pewno niczego nie będą narzucać.

Większość nauczycieli i rodziców unika skrajności, szuka swojego złotego środka na nauczanie i wychowywanie. Polska szkoła nigdy nie zostawiała nam zbyt dużej wolności. Obecnie jednak nawet pedagodzy uchodzący w swoim środowisku za dość konserwatywnych mówią, że w szkole robi się duszno. Nauczyciele i dyrektorzy szkół mają coraz mniej swobody. Polityka, którą tak bardzo urzędnicy oświatowi chcą trzymać z dala od szkolnych sal, coraz bardziej wdziera się do szkół, nie pozwalając organizacjom pozarządowym i politykom różnych opcji przekraczać progów placówek. I nie wydaje się, żeby miał ją kto zatrzymać.

A.: Strajk nauczycieli był akcją polityczną. Już sam moment, gdy się odbył, był dziwny – nic go nie zapowiadało, od lat nie było strajku w planach. Mówiło się, że chodzi o godność nauczycieli, a tak naprawdę celem było niedopuszczenie do tego, by PiS wygrał wybory. Strajk nauczycieli miał związek z politycznym planem rozregulowania Polski. Dlatego byłam mu przeciwna. I dlatego, że w mojej ocenie nie wolno walczyć dziećmi. A ich dobro zostało naruszone.

K.: Koleżanka w czasie strajku prowadziła zajęcia dla maturzystów. Szydźła podczas nich ze strajkujących, nazywając ich debilami. Uczniowie nam to powtórzyli.

Ewa Narożniak: Nauczycielom z naszej szkoły często zarzuca się, że ujawniają uczniom swoje poglądy polityczne. Ja nie wysyłam zaproszeń na Facebooka, ale kiedy uczniowie dodają mnie do znajomych, przyjmuję zaproszenie. Mało korzystam z Facebooka, ale upublicznię teksty, które zrobiły na mnie wrażenie, więc moje poglądy są jasne. Rzadko używam nakładek na zdjęcie profilowe, bo ich nie lubię, ale udostępniam różne wydarzenia, więc moje poglądy polityczne są oczywiste.

Na swoim profilu napisałam, że popieram Strajk Kobiet. U nas w szkole otwarcie się rozmawia o polityce państwa, aktywizm jest dla nas ważny. I dla uczniów, i dla nauczycieli. Przed Paradą Równości, organizowanymi 8 marca Manifami i Młodzieżowym Strajkiem Klimatycznym rozwieszaliśmy na mieście plakaty. Razem zorganizowaliśmy Tęczowy Piątek przed budynkiem ministerstwa edukacji.

Dorota Oleszczak: Szkołę tworzą dyrektor i nauczyciele, a oni przecież mają jakieś poglądy na to, jak uczyć, jak wychowywać. Te poglądy przekładają się na atmosferę.

Aneta Korycińska: Polityka państwa (nie szkoły) nie ma obecnie wpływu na moją pracę, ale wpływa na działania placówek publicznych. Zmiany w programie lektur są i dobre, i złe: dobre, bo trzeba w końcu odświeżyć kanon, więcej da uczniom przeczytanie i przeanalizowanie współczesnej literatury niż nauczenie się *Lamentu świętokrzyskiego* (mówię to jako miłośniczka literatury staropolskiej). Chciałabym, by w szkole podejmowało się więcej tematów społecznych, a tymczasem o kolonializmie dzieci uczą się tylko przy *Jądrze ciemności*, więc jako nauczyciele sami proponujemy im lektury warte przeczytania, na przykład dotyczące problematyki uchodźczej.

Zmiany są też złe, bo aktualny wymysł (tak, wymysł) rządu to dodanie do listy lektur antysemitycznych i katoreligijnych tekstów, które źle omówione i bez krytycznego czytania (a przecież do tego trzeba umiejętności, których nie ma się w szkole podstawowej) są niebezpieczne.

A.: W naszej szkole nigdy nie było tęczowego piątku, bo nie życzy sobie tego część rodziców. Zresztą z jakiego powodu miałyby być?

Beata: Prowadziłam w tym roku zajęcia z wychowania do życia w rodzinie, bo koleżanka zachorowała. Miałam temat o płci. Biorę podręcznik i czytam, że dziewczynki mniej się nadają do nauki przedmiotów ścisłych. Są płaczliwe, delikatne i wrażliwe. Chłopcy z kolei są silni, ale porywczy. Chryste Panie! Przeczytałam to i mówię: „Słuchajcie, dzieciaczki, ale wy wiecie, że to wszystko bzdury?”.

Anna: W szkole problemy sprawiają rodzice ideologicznie rozbuchani, zwykle nabuzowani religijnie. Na przykład dzieci robiły na lekcji prezentację o historii ruchu gejowskiego w Stanach Zjednoczonych. Nie minęły dwie godziny, a zadzwonił telefon: „Jak można było do tego dopuścić?!”.

Irmina: Po strajku zostały mi niesmak i świadomość, że wszyscy zrobią swoje, mając mnie głęboko gdzieś.

Moje dzieciaki były wtedy w ósmej klasie, strajk pozbawił ich półtora miesiąca nauki.

Powiedziały potem: „Mamo, nikomu się już teraz nic nie chce”. Ja też strajkowałam, choć mogłam wtedy pójść na zwolnienie, bo byłam świeżo po operacji żylaków. Z powodu strajku straciłam siedem stów z pensji. To był dla mnie straszny cios. Od Związku dostałam niecałe trzysta, bo mieli pieniądze dla osób w najtrudniejszej sytuacji, ale i tak było mi ciężko. A najgorsze były teksty dzieci w szkole: „I co, nie wstyd pani?”.

Odpowiedziałam: „Nie wydaje mi się, żebyś był partnerem do tego typu rozmowy”. Bo o moich decyzjach politycznych nie będę rozmawiać z dziesięciolatkiem. Ale uczucie niesmaku pozostało.

Jarosław: Niektórzy koledzy należą do ZNP, niektórzy do „Solidarności”, niektórzy (jak ja) nie są związkowcami, ale to nie ma znaczenia. Strajk bardzo nas zjednoczył, osiemdziesiąt procent nauczycieli w mojej szkole wzięło w nim udział. A dyrektor, który nie mógł strajkować, ale bardzo nas wspierał, sprawił, że nie doszło do rozłamu na tych, którzy zostali w pracy, i na strajkujących. I to jest jego wielka zasługa, bo w innych szkołach bywało różnie. Mam kolegę, który wprost mówi, że jemu z obecną ekipą polityczną jest po drodze, bo za poprzedniej przedłużono wiek emerytalny, na czym stracił. Nie wziął udziału w protestach i był szykanowany, do szkoły musiał wchodzić ukradkiem, a koledzy nie chcieli mu podać ręki.

Dla mnie udział w strajku był oczywisty, bo uważam, że my, nauczyciele, straciliśmy autorytet u wszystkich. U rodziców, u uczniów, u rządzących. Bo nie podobają mi się te ustawy głosowane po nocach, podstawy programowe pisane na kolanie, bez konsultacji z nauczycielami. Ale rozumiem ludzi, którzy nie strajkowali, i nie będę ich piętnować. Normalnie ze sobą rozmawiamy, jak przedtem.

Aneta Korycińska: Zamiłowanie do „cnót niewieścich” to śmiech prosto w twarz dzisiejszego społeczeństwa, które w końcu zaczęło odrabiać lekcję z nierówności społecznych. Chcę uczyć, że piękno jest tylko konstruktem społecznym, sztucznie utworzoną konwencją, a narzucanie ról głównie dziewczynkom sprawia, że blokuje się ich potencjał. Na świecie jest za dużo smutku i nieszczęścia osób, które znoszą krzywdę w milczeniu, a pielęgnowanie cnót tylko umacnia te zachowania.

Cnotą powinna być nauka rozmowy i szacunku do drugiego człowieka, a nie traktowanie dziewczynek jako obiektów seksualnych. Oczywiście nie mówię tu o chodzeniu w samym staniku do szkoły, ale ciało to tylko ciało, a szkoła jest właśnie tym okresem w rozwoju człowieka, w którym kształtuje on swoją osobowość i przechodzi wiele przemian. Powinno się na nie pozwalać i dbać o to, by zachodziły w bezpiecznym środowisku.

A.: Przyszłam tu do pracy w 1988 roku, jeszcze za PRL-u. Ówczesna dyrektorka należała do PZPR, ale nie zmuszała nas do chodzenia na pochody pierwszomajowe. To była prywatna decyzja każdego nauczyciela. A teraz? Wszyscy muszą dąć w jedną tubę i nie wolno mi powiedzieć, że ja nie będę chodziła z dziećmi na marsze klimatyczne. Nie zgadzam się na to! Nie zgadzam się, żeby w szkole obowiązywała ideologia!

Problemem nie jest to, że uczniowie myślą inaczej. Mam w klasie bardzo zdolnego chłopca, ateistę i lewicowca, non stop się spieramy. Ale to jest dyskusja. Kłócimy się o Dostojewskiego, on nie chce przyjąć ujęcia prawosławnego, widzi problem norm społecznych narzuconych jednostce tak, jak to widział Raskolnikow. Kłócimy się o Norwida, ale możemy rozmawiać. A z koleżankami, które strajkowały, nie umiem rozmawiać.

Anna: Moja klasa organizowała dzień praw kobiet. Pomogłam im zaprosić gości, uczniowie ułożyli program, rozwiesili plakaty. Wieczorem, w przeddzień imprezy dzwoni do mnie dyrekcja, która uznała, że niektóre plakaty są zbyt odważne: „Masz to odwołać”. Żałuję, że nie powiedziałam dyrektorce, by sama obdzwoniła gości i sama przekazała uczniom informację o swojej decyzji.

Jarosław: Przez całą karierę zawodową czekam na stabilizację. Polityka obecnego ministra nie gwarantuje spokojnej pracy. Nie

ma zmian perspektywicznych.

Żona podziela moje zdanie, a jako dyrektorka szkoły czuje się hamowana w swoich działaniach w rozwijaniu szkoły, uczniów, nauczycieli. Ktoś dobrze to ujął: być dyrektorem w obecnych czasach to tak jakby być „między młotem a kagańcem”.

Beata: Mówię czasem, że jeszcze trochę i będę się bała uczyć historii. To niby jest półzartem, ale czasem, kiedy widzę jakąś bzdurę... Nie umiałabym powiedzieć, że tak było, jeśli wiem, że to nieprawda. Ale najbardziej współczuję nauczycielom wychowania do życia w rodzinie. Oni to całkiem serio powinni się bać.

Dorota Oleszczak: Współczuję historykom.

Aneta Korycińska: Czy boję się, co będzie dalej ze szkołą? Jestem starą punkową (wiem, to oksymoron), ale życie niezmiennie mnie przekonuje, że dopóki o edukacji będzie decydowała aktualnie rządząca partia, dopóty nigdy nie będzie w niej spokoju, bo co władza, to zmiany, a dzieci stają się pionkami w tej grze.

Polska szkoła jest w stanie niekończącej się rewolucji. W ciągu ostatnich pięciu lat przemieliły ją kolejno:

- reforma z 2017 roku likwidująca gimnazja i wprowadzająca ośmioklasową szkołę podstawową oraz czteroletnie liceum,
- strajk nauczycieli i jego niepowodzenie, które zaowocowało odejściem wielu nauczycielek i nauczycieli z zawodu,
- pandemia COVID-19, która wymusiła błyskawiczne przejście na zdalne nauczanie i zmianę sposobu uczenia

i oceniania, i która spowodowała gwałtowne pogorszenie kondycji psychicznej dzieci.

Kiedy kończę pisać tę książkę, nauczyciele, rodzice, znane postaci świata kultury, apelują do prezydenta RP Andrzeja Dudy, żeby nie podpisywał Lex Czarnek – projektu ograniczającego niezależność, i tak dość wątlą, dyrektorów szkoły, ich pracownic i pracowników.

Projekt zakłada między innymi odpowiedzialność karną dyrekcji szkół, praktycznie zamyka szkoły i przedszkola przed organizacjami pozarządowymi i niezależnymi specjalistami, bardzo wzmacnia pozycję kuratoriów oświaty. Jeśli nowe przepisy wejdą w życie, polską szkołę czeka kolejna ciężka próba. Dojdzie do niej w wyjątkowym czasie, gdy w wyniku zbrojnej napaści Rosji na Ukrainę do Polski przybyło kilkaset tysięcy uciekinierów. Już w pierwszym tygodniu wojny niektóre polskie szkoły zaczęły przyjmować ukraińskich uczniów. To kolejne wyzwanie, przed którym w tej pięciolatce stają polscy nauczyciele. Jeśli im się uda, to raczej nie dzięki pomocy państwa, ale dzięki odwadze, mądrości i wsparciu rodziców uczniów. Oby nam tego wszystkiego nie zabrakło!

[1] *Chcemy procesu wychowawczego, który będzie uczył mądrości, roztropności, umiarkowania i wielu innych cnót, w tym również cnót niewieścich, które są niezwykle potrzebne – powiedział w audycji Sygnały dnia w Programie Pierwszym Polskiego Radia minister Przemysław Czarnek.*

Na zakończenie: Ginący zawód

Po stronie czynników skłaniających nauczycieli do myślenia o odejściu z zawodu znajdują się z jednej strony czynniki finansowe, a co za tym idzie, konieczność godzenia pracy w szkole z podejmowaniem dodatkowych zajęć. Z drugiej strony czynniki osobiste – poczucie wypalenia zawodowego, choroby zawodowe czy konieczność opieki nad chorym członkiem rodziny. Ważnym czynnikiem jest również klimat szkoły, w tym zła atmosfera w miejscu pracy, konflikty w szkole (zwłaszcza z przełożonym) oraz brak poczucia skuteczności i autonomii w działaniu[1].

Mój nauczyciel fizyki z liceum po kilkunastu latach pracy został dyrektorem. A po kolejnych parunastu odszedł z zawodu.

Część nauczycieli odchodzi ze szkoły z powodu pieniędzy. Nie ma już siły co miesiąc łątać dziur w domowym budżecie, pożyczać od przyjaciół, którzy mądrzej wybrali profesję, odmawiać dziecku, dopłacać do szkoleń zawodowych. Część jest wyczerpana przez uczniów, ich rodziców, przez swoich przełożonych i urzędników oświatowych. Jeszcze inni widzą w polskim systemie oświaty Babilon i nie chcą mu służyć. Kolejni szukają nowej przygody. Ostatnio, zapewne również ze względu na zapowiadane przez MEN zmiany i upolitycznienie szkoły, odejścia z zawodu są rekordowe. Późnym latem 2021 roku szacowano, że w Polsce brakuje kilkudziesięciu tysięcy nauczycieli: przedmiotowców, nauczycieli przedszkolnych i wychowawców klas I–III.

Na facebookowej grupie dla nauczycieli chcących zmienić zawód codziennie pojawia się kilkanaście nowych postów. Pisze nauczycielka zszokowana, że pani sprzątająca klatki w jej bloku

zarabia więcej od niej. Pisze kasjerka z Biedronki, że może jej praca nie jest lekka, ale mniej stresująca niż etat w szkole. Piszą osoby, które odeszły ze szkoły, bo chciały więcej zarabiać albo nie miały już siły walczyć. Piszą ci, którzy szykują plan B na wypadek, gdyby przeszedł pomysł zwiększenia pensum. Piszą osoby, które biją się z myślami, czy założyć swoją szkołę językową.

A może zacząć sprzedawać rękodzieło? Dużo tam smutku, dużo determinacji, dużo odwagi. Są historie z happy endem i bez niego.

Dorota Oleszczak: Chciałam odejść z zawodu, bo czułam się wypalona. Zdefiniowałam swoje umiejętności, także te pozaszkolne, na przykład znajomość języków. Porozsyłałam CV. Nic.

Dwa spotkania, na których dano mi do zrozumienia, że świetnie sprawdziłabym się w pracy z ludźmi, ale nie dostanę takiego stanowiska bez doświadczenia w branży. Miałam poczucie, że nikt mnie nie chce. Pomyślałam, że ta „nauczycielka” w moich papierach jest jak pocałunek śmierci.

Dostałam zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną do nowego liceum publicznego. Niechętnie poszłam na spotkanie, bo przecież miałam dość szkoły, i zachowywałam się tak, jakbym to ja dawała pracę. Ale nowa dyrektorka na wszystko, co o sobie opowiadałam, reagowała słowami: „Ale super!”. Zgodziłam się. Zrozumiałam, że nie byłam zmęczona moim zawodem, tylko miejscem pracy, brakiem wsparcia i docenienia ze strony szefostwa.

Irmina: Po kolejnych wakacjach okazało się, że nie ma dla mnie pracy. Przebranżowiłam się, zostałam intendentką w przedszkolu. Chcą mnie tu, a ja dałam radę!

Ewa Narożniak: Gdybym nie była nauczycielką, pewnie pracowałabym w jakiejś organizacji pozarządowej. Czasem kusi mnie, by zmienić pracę. Ale może nie pracę – chciałabym uczyć. Raczej chciałabym zmienić kraj, w którym to robię.

Radek: Kiedy zacząłem pracować jako barman, byłem na czwartym roku logopedii. Nie dałem rady, rzuciłem studia. Po paru latach w przedszkolu skończyłem je. I tak zacząłem wsiąkać w logopedię, że nie wyobrażałem swojej przyszłości jako wychowawcy, chciałem być terapeutą. Byłem już zmęczony robieniem ciągle tego samego, wymyślaniem nowych aktywności z okazji tych samych świąt i pór roku, miałem dość sprzątanania po dzieciach, dość przewijania pieluch w najmłodszej grupie.

Pracuję w tym samym przedszkolu, w szkole i w gabinecie stomatologicznym, gdzie jako logopeda wspieram proces leczenia ortodontycznego.

Sylwia Chwedorczyk: Trudno jest odejść ze szkoły. Nigdy nie ma na to dobrego momentu.

Gdy człowiek przywiązuje się do dzieci, czuje ich emocje, to nie ma kiedy odejść, bo zawsze zostawi je albo w środku roku szkolnego, albo przed egzaminem, albo w połowie cyklu nauczania. Trzeba by mieć wszystkie klasy z jednego rocznika, wtedy można doprowadzić je do końca podstawówki i odejść.

Dlaczego odeszłam z zawodu? Nie widziałam siebie w szkole za ileś lat, chciałam się dalej rozwijać, choć nie wiedziałam gdzie – to jeden powód. A drugi? Miałam poczucie niesprawiedliwości systemu oświaty. Moja szkoła była wspaniała, ale funkcjonowała w złym systemie. Nie chciałam być jego częścią. Odeszłam, choć uczniowie prosili, żebym z nimi została do matury.

Miałam pomysł na książkę, biografię Anny Kowalskiej, pisarki, partnerki Marii Dąbrowskiej. Długo o niej myślałam. Dzięki

znajomym dostałam pracę na planie filmowym – robiłam research, opiekowałam się aktorami. To było tylko sześć tygodni, ale dobre zarobki. Pozwoliło mi to utrzymać się, kiedy pisałam.

Nie spodziewałam się tak dobrego odbioru. *Kowalska. Ta od Dąbrowskiej* miała dodruk.

Weronika: Gdy zaczynałam pracę, miałam trudnych uczniów, ale świetnych rodziców, którzy nie uważali, że najważniejszym celem chodzenia dziecka do szkoły są oceny i wyniki w olimpiadach przedmiotowych. Dla nich najważniejsze było to, żeby ich dziecko traktowano z szacunkiem, po partnersku.

A potem, z biegiem lat, wszystko zaczęło się zmieniać. Dla rodziców coraz mniej liczyła się atmosfera w szkole, a coraz bardziej nauka. Zaczęli cisnąć na oceny. A to nie były już wartości dla mnie ważne. Odeszłam ze szkoły. W porównaniu z pracą w szkole praca na uczelni jest luksusem. Nie muszę myśleć o emocjach moich studentów, o tym, co się z nimi dzieje, co u nich w rodzinie. Przychodzę do pracy, żeby ich czegoś nauczyć, oni przychodzą po to, żeby się uczyć – i tyle.

Aneta: Nigdy nie myślałam o odejściu ze szkoły. Jako uczennica lubiłam szkołę i zawsze ten rytm dwóch semestrów i wakacji był dla mnie naturalny. Kolejny rok to dla mnie rok szkolny, a nie kalendarzowy.

[1] M. Smak, D. Walczak, op.cit., s. 5.

O moich rozmówcach

A. – polonistka w liceum ogólnokształcącym w mieście wojewódzkim – całe życie zawodowe związana jest z tą samą szkołą średnią.

Aneta – anglistka. Jako nastolatka chciała zostać weterynarzem. Co roku, przez dwanaście lat, w wakacje zajmowała się zwierzętami: była wolontariuszką w fokarium na Helu, ptasim azylu, schronisku dla psów i koni w Korabiewicach, w Tiger Temple w Tajlandii, świątyni tygrysiej, prowadzonej przez buddyjskich mnichów, o której mówi: „straszne miejsce”. W Kapsztadzie oczyszczała pingwiny z ropy naftowej, w hiszpańskiej Maladze opiekowała się osłami. Ma psa, któremu codziennie między jedną a drugą pracą stara się zapewnić długie spacery. Po roku pracy w prywatnym liceum wróciła do liceum państwowego i jest szczęśliwa.

Aneta Korycińska – kiedy rozmawialiśmy, uczyła w I Społecznym Liceum Ogólnokształcącym w Warszawie. W 2022 roku odeszła ze szkoły, nadal udziela korepetycji. Terminy na nadchodzący rok szkolny znikają w marcu, gdy tylko ogłasza zapisy. Między innymi dlatego udostępnia w internecie podcasty ze swoich lekcji. Zaczęła je nagrywać podczas pandemii. Prowadzi stronę „Baba od polskiego”, gdzie radzi, jak pisać rozprawki i interpretować szkolne lektury. Opiekuje się psami ze schroniska. Jednego z nich ugryzła, gdy źle się zachowywał. Pomogło, pies zrozumiał, kto tu jest opiekunem.

Aniela – chemiczka. Jest emerytką, udziela korepetycji. Ma pięcioro dzieci i troje wnucząt.

Anna – anglistka, metodyk. Przez dwadzieścia trzy lata uczyła przyszłych pedagogów. Zaczęła, mając zaledwie trzyletnie doświadczenie w nauczaniu i dwa lata intensywnych szkoleń, które zorganizowano dla metodyków. Uczyła się między innymi w Danii i Wielkiej Brytanii. Dziś mówi, że trzyletnie kolegium nauczania języka angielskiego, które współtworzyła, wydało na świat kilkanaście roczników rewelacyjnych nauczycieli. Przez piętnaście lat pisała podręczniki, z których wciąż korzysta się na całym świecie. Odeszła z kolegium, gdy zaczęło przygotowywać nauczycieli klas I–III. Uważa bowiem, że nie zna się na nauczaniu małych dzieci. Przeszła na emeryturę, ale nadal pracuje. Przyjaciele od lat proszą ją, by napisała książkę na podstawie swoich przemyśleń i szkolnych anegdot.

B. – dyrektorka niepublicznego zespołu szkół w niedużej miejscowości, edukacja jest jej pasją. Ma dwoje dzieci, raz do roku zostawia je pod opieką męża i rusza z przyjaciółkami w egzotyczną podróż.

Basia – uczy muzyki i WF-u w Młodzieżowym Ośrodku Socjoterapeutycznym. Nawet na imprezach opowiada o swojej pracy. Inni tańczą, piją alkohol, palą skręty, a Basia mówi o tym, jak bardzo mało czasu ludzie poświęcają dzieciom. Jest mężatką, ma dwoje dzieci.

Beata – historyczka w publicznej szkole podstawowej. Jest ciepła, serdeczna, łatwo zdobywa sympatię i dzieci, i ich rodziców.

C. – nauczycielka z wiejskiej szkoły na Podkarpaciu, mimo wielu ofert pracy, nie chce zatrudnić się w mieście.

Danusia – nauczycielka klas I–III w gminnej szkole na Podlasiu. Przez blisko trzydzieści lat mieszkała w zakładowej kawalerce w malutkim budynku tuż przy szkole. Wszyscy jej znajomi

dziwili się, że składa podanie o służbowe mieszkanie, skoro w domu rodziców miała dobre warunki. Ona jednak postawiła na swoim: chciała być u siebie. Było tak, jakby mieszkała w szkole. Kiedy z okna kawalerki widziała, że ktoś zapomniał zgasić światło w sali, szła na górę i je gasiła. Gdy usłyszała szum wody, w porę zareagowała na awarię. Kiedy gmina zdecydowała, że budynek, w którym mieszka Danusia, trzeba zburzyć, bo oszpeca centrum miejscowości, koleżanki ją pocieszały, że teraz wróci do rodziców i będzie miała więcej spokoju i czasu dla siebie. Bracia, pracujący w Belgii, zaoferowali się, że zapłacą za remont domu.

Dorota Oleszczak – polonistka z warszawskiego liceum. Lubi gry RPG, zwłaszcza komputerowe, i haft krzyżykowy. Ostatnio ucieka od złych wiadomości w układanie puzzli. Razem z narzeczonym, a obecnie mężem, adoptowali starego, chorego na cukrzycę kota rosyjskiego.

Ewa Narożniak – biologka w Wielokulturowym Liceum Humanistycznym im. Jacka Kuronia. Zaczęła pracować w szkole, gdy miała dwadzieścia lat. Uczy w społecznym, demokratycznym i krytycznym liceum w Warszawie. Skończyła liceum im. Batorego, z którym była długo związana. Uczył ją Jarek Szulski. W trakcie studiów doktoranckich współtworzyła Naukę dla Przyrody – ruch społeczny zrzeszający naukowców z całej Polski powstały początkowo w celu ochrony Puszczy Białowieskiej przed wycinką. Aktywistka na rzecz klimatu.

Ewelina – chemiczka, zaczęła uczyć jako studentka, udzielając korepetycji. Ma świetne podejście do dzieci i łatwość przedstawiania w zrozumiały sposób trudnych kwestii. Tuż po obronie pracy magisterskiej znalazła zatrudnienie w szkole.

Irmina – była nauczycielka WF-u. Jest samotną mamą bliźniąt. Ma duże wsparcie ze strony swojej mamy, brata i jego żony. Jej

dzieci nie znają dziadków od strony taty. Jest waleczna i nigdy się nie poddaje. Gdy kilka lat temu wracała z dziećmiakami z wakacji, padła jej skrzynia biegów w samochodzie. Wróciła na lawecie do ośrodka wczasowego, w holu ustawiła słoik na datki i zebrała od znajomych na naprawę.

Jarosław – nauczyciel wychowania fizycznego w kieleckiej szkole podstawowej, ojciec dwóch synów (studenta i licealisty). Jego żona jest dyrektorką szkoły. Oboje pracują w różnych placówkach. W szkole podstawowej trenował narciarstwo biegowe i grał w ping-ponga. Skończył technikum mechaniczne, a potem Akademię Wychowania Fizycznego. Jako młody nauczyciel był obiektem westchnień wielu uczennic. Do dziś dorosłe już panie robią maślane oczy na samo wspomnienie o nim. To one znalazły dla mnie kontakt do dawnego ulubionego nauczyciela i zaaranżowały nasze spotkanie.

K. – matematyczka, często zmienia pracę. Potrafi dostrzec brylant nawet w trudnym uczniu.

Katarzyna Kabzińska – matematyczka i fizyczka, dyrektorka niepublicznego zespołu szkół w Warszawie. Jest samotną mamą, lubi podróżować, chodzi po górach.

Ksiądz Marek – katecheta w integracyjnej szkole podstawowej w „złej” dzielnicy dużego miasta. Mieszka w dużym, ładnym pokoju z łazienką i minianeksem kuchennym w domu księży. Gra na gitarze.

M. – dyrektorka w popularnej warszawskiej niepublicznej szkole, jest związana z oświatą od ponad trzydziestu lat. Ma troje wnucząt, lubi podróżować.

Mariusz – wychowawca w świetlicy. Przez lata grał w zespole rockowym i dorabiał do szkolnej pensji jako muzyk i wodzirej

na weselach. Myśli o napisaniu książki reporterskiej o tym, jak Polacy balują. Niedawno urodziło mu się pierwsze dziecko.

N. – polonistka, pracuje na niecały etat, bo ma dwoje dzieci w wieku wczesnoszkolnym, które musi wozić i odbierać ze szkoły. Uwielbia swojego psa i pracę w ogródku.

Olga Skolimowska – nauczycielka przedszkolna, która przez semestr studiowała w Finlandii. Powiedziała o sobie zdanie, które zapadło mi w pamięć: „Zawsze chciałam mieć wpływ na to, co się dzieje na świecie”. Dlatego już drugą kadencję jest radną z ramienia KO. Przewodniczy komisji edukacji w swojej gminie. Skończyła podyplomowe studia z zarządzania oświatą. Lubi rękodzieło.

Piotr Śmiałkowski – nauczyciel edukacji początkowej, angielskiego, historii i etyki. Był wychowawcą mojego najstarszego dziecka. Uczy w publicznej szkole podstawowej, ma troje dzieci. Starsze chodzą do rejonowej podstawówki w podwarszawskiej miejscowości. I Piotr, i jego żona, która również jest nauczycielką, pracują w warszawskich szkołach (każde w innej). Choć to byłoby wygodne, żadne z nich nie chciało, by ich dzieci uczyły się w placówce, w której oni pracują. Latem 2022 roku zdecydował się na zmianę pracy: został wicedyrektorem w innej publicznej szkole podstawowej.

Radek – absolwent logopedii, pedagogiki dorosłych, edukacji wczesnoszkolnej i przedszkolnej. Swoją żonę poznał w pracy – jej synek był w jego grupie. Teraz wychowują dwoje dzieci. Radek pracuje cały czas w tym samym przedszkolu, choć teraz w innej roli – jako logopeda, nie wychowawca. Prowadzi też terapię logopedyczną w prywatnej klinice stomatologicznej.

Renata – pedagog szkolny i nauczycielka wiedzy o społeczeństwie w prywatnej szkole podstawowej

i publicznym liceum w Warszawie. Kiedy przyszła do nowej szkoły, okazało się, że nie ma dla niej miejsca. Znalazła schowek, który wysprzątała i urządziła tak, by miejsce zachęcało do rozmów. Przyniosła dywan, fotele, lampkę, precelki i herbatę. Oprócz herbaty i precelków wszystko przytargała ze śmietnika.

Sylwia Chwedorczyk – doktor nauk humanistycznych. Po odejściu ze szkoły napisała książkę *Kowalska. Ta od Dąbrowskiej* o miłości dwóch pisarek – Anny Kowalskiej i Marii Dąbrowskiej. Myśli o kolejnej biografii, może napisze o żydowskiej fotoreporterce Julii Pirotte. Nie chce wracać do szkoły, ale tęskni za relacją nauczycielka–uczeń. Mówi, że radzi sobie z tym, sporadycznie udzielając prywatnych lekcji dzieciom znajomych.

Weronika – przez siedemnaście lat uczyła matematyki w niepublicznych liceach. Od niedawna jest wykładowczynią w szkole wyższej. Kocha zwierzęta. Ma dwa psy i trzy konie. Mieszka z rodziną w domu pod Warszawą, codziennie wozi swoją córkę, trenującą skoki, do stadniny odległej o trzydzieści kilometrów. Nie tęskni za pracą w szkole, jest zachwycona relacjami ze studentami.

Z. – trenerka w ośrodku szkoleń dla nauczycieli, mama dwójki dzieci.

Bibliografia

Magdalena Smak, Dominika Walczak, *Pozycja społeczno-zawodowa nauczycieli. Raport z badania jakościowego*, Instytut Badań Edukacyjnych 2015.

Jesper Juul, *Kryzys szkoły. Co możemy zrobić dla uczniów, nauczycieli i rodziców?*, MiND 2014.

Timothy D. Walker, *Fińskie dzieci uczą się najlepiej. Co możemy zrobić, aby nasze dzieci były szczęśliwsze, wierzyły w siebie i lubiły szkołę?*, Wydawnictwo Literackie 2017.

Jarek Szulski, *Nauczyciel z Polski*, JS&Company Dom Wydawniczy 2021.

Marta Zahorska, *O tym, jak Finowie reformowali swoje szkolnictwo... i dlaczego im się to udało*, w: „Krytyka Polityczna”; 4 września 2017.

Iga Kazimierczyk, *Oblicza nudy szkolnej*, Wydawnictwo Naukowe Scholar 2021.

Raport Edukacja zdalna w czasie pandemii Edycja I i II, Centrum Cyfrowe.

Rozmawiaj z klasą. Zdrowie psychiczne uczniów i uczennic oczami nauczycieli i nauczycielek. Raport z badania, Fundacja Szkoła z Klasą, www.szkolazklasa.org.pl.

Ewelina Czujko-Moszyk, *Sukcesy fińskiego systemu edukacji, czyli dlaczego Finlandia szczyli się jednym z najlepszych systemów szkolnictwa na świecie – porównawcze studium przypadku*, w: „Studia Edukacyjne” nr 48/2018.

Agnieszka Gromkowska-Melosik, *Feminizacja zawodu nauczycielskiego – „Różowe kołnierzyki” i paradoksy rynku pracy*, w: „Studia Edukacyjne” nr 25/2013.

Nauczyciele. Wielki zawód

Joanna Sokolińska

Współpraca: Justyna Mrowiec

© Wydawnictwo RM, 2023

Wydawnictwo RM, 03-808 Warszawa, ul. Mińska 25

rm@rm.com.pl

www.rm.com.pl

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.

Wszystkie nazwy handlowe i towarów występujące w niniejszej publikacji są znakami towarowymi zastrzeżonymi lub nazwami zastrzeżonymi odpowiednich firm odnośnych właścicieli.

Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książki, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji. Wydawnictwo RM nie jest w żadnym przypadku odpowiedzialne za jakąkolwiek szkodę będącą następstwem korzystania z informacji zawartych w niniejszej publikacji, nawet jeśli Wydawnictwo RM zostało zawiadomione o możliwości wystąpienia szkód.

ISBN 978-83-8151-299-2

ISBN 978-83-8151-300-5 (ePub)

ISBN 978-83-8151-301-2 (mobi)

Edytor: Justyna Mrowiec

Redaktor prowadząca: Barbara Ramza-Kołodziejczyk

Redakcja: Justyna Mrowiec

Korekta: Anita Rejch

Nadzór graficzny: Grażyna Jędrzejec

Projekt graficzny okładki: Magdalena Betlej

Projekt graficzny książki: Dolina Literek

Edytor wersji elektronicznej: Tomasz Zajbt

Opracowanie wersji elektronicznej: Marcin Fabijański

Weryfikacja wersji elektronicznej: Justyna Mrowiec

W razie trudności z zakupem tej książki prosimy o kontakt z wydawnictwem:

rm@rm.com.pl

Table of Contents

1. Oni

1. Strach
2. Jak zostać nauczycielką
3. Pierwsza lekcja
4. Metody i cele
5. Pokój nauczycielski
6. Źli nauczyciele
7. Kryminalna biurokracja
8. Bardzo małe pieniądze
9. Szkoły publiczne i prywatne
10. Mężczyźni w oświacie
11. O co chodzi z tą Finlandią?

2. My

1. Strach
2. Roszczeniowi rodzice
3. Nasze rozwydrzone dzieci
4. Najtrudniejsze przypadki i jak je ogarnąć
5. Poziom i program
6. Trudności i porażki
7. Szkolna polityka, polityka w szkole
8. Na zakończenie: Ginący zawód
9. O moich rozmówcach
10. Bibliografia

Table of Contents

Oni

Strach
Jak zostać nauczycielką
Pierwsza lekcja
Metody i cele
Pokój nauczycielski
Źli nauczyciele
Kryminalna biurokracja
Bardzo małe pieniądze
Szkoły publiczne i prywatne
Mężczyźni w oświacie
O co chodzi z tą Finlandią?

My

Strach
Roszczeniowi rodzice
Nasze rozwydrzone dzieci
Najtrudniejsze przypadki i jak je ogarnąć
Poziom i program
Trudności i porażki
Szkolna polityka, polityka w szkole
Na zakończenie: Ginący zawód
O moich rozmówcach
Bibliografia